II D23

ST. FRANCIS COLLEGE
ATHOL SPRINGS, N.Y.

RYCERZE
ŚPIĄCY W TATRACH

TOM DRUGI

Drukarnia p. f. K. Studenckiego, wł Spółki w Białej.

LUDWIK STASIAK

RYCERZE
śpiący w Tatrach

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

TOM DRUGI

W KRAKOWIE MCMVII.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA
I S-KI W KRAKOWIE, — GEBETHNER I WOLFF
W WARSZAWIE.

Zygmunt Jelen
Księgarnia, skład papieru
i materyałów piśmiennych
w TARNOWIE

Nieszczęśliwym tc był zaprawdę dzień, gdy na wyszehradzki tron powołał czeski lud rodzonego brata Chrobrego, syna Mieszka i Dąbrówki, Władywoja.*) Nie przyniósł książyc polski Czechom szczęścia. Na kamieniu nie zejdzie, nie zakwitnie róża, w złej duszy nie zrodzi się dobry zamiar, nie wyrośnie zbożny czyn.

Wiedział zapewne dobrze Bolesław, co czyni, gdy Władywoja i resztę swej braci od współrządu krajem odsunął. Chrobry miał do wyboru, albo uszanować ojcowską wolę i z krajem się z braćmi podzielić, albo uratować ojcowiznę, wydziedziczając pijanicę Władywoja... Wyrodził się ten

*) Rodzonego brata Chrobrego mylnie historycy nasi Władybojem zowią. Thiethmar pisze: Włodovejus qui potestas exercitus interpretatur. (Włodowej, co się tłumaczy: władza wojska). Zatem Władywoj, nie Władyboj.

człowiek, niegodzien gniazda z którego wyszedł, niegodzien krwi...

Niepokój ogarnął Chrobrego, gdy w Poznaniu zjawiło się poselstwo czeskie, wzywając Władywoja do Złotej Pragi. Gdyby Bolesław mniej lud harfiarzy kochał, ucieszyłby się może, że z Polski ubywa mu wewnętrzny wróg, wydziedziczony, rodzony brat. Nie radość, lecz wielki żal, wielkie pytanie się rodzi, wielki strach, aby Władywoj nie był nieszczęściem dla Złotej Pragi i ludu pieśniarzy... –

— Nie radość nam, lecz żałoba...

— Idź ty władyko — wołał Sobiebór, ty zajmij Pragę.

— Narodowi czeskiemu niechże czech przewodzi—odrzekł Bolesław.

— Wszak widzisz, co się w mej ojczyźnie dzieje. Bolesław Rudy wygnał rodzoną matkę z kraju, przebrała się już miara jego złoczyństw, jako okrutny bazyliszek niewypowiedzianie lud dręczy.**)

Mężobójstwo, krzywda ludzka, to codzienny jego czyn, nie politował się własnej krwi, brata rodzonego wytrzebił. Zbuntował się naród, wybuchło powszechne powstanie, wy-

**) Vice basilisci noxii regnans populum ineffabiliter constrinxit. Thieth. V. 15.

pędzono tyrana, księcia polskiego lud czeski na tron do Złotej Pragi woła. Idźże tam Bolesławie, idź!

— Lud nie mnie, lecz brata mego Władywoja powołał. Władywoj jednomyślnie księciem czeskim obrany.*)

— Wiem wiem—rzekł z goryczą Sobiebór.—Nie mogli wytrzymać ciężaru Bolesława Rudego zbrodni**) z dwojga więc złego, wybrali mniejsze...

— Jakto?

— W miejsce okrutnika, wybrano...

— Nie wspominaj! Zamilcz!!

— Ustatkuje się, pocieszał króla Wdały Walgierz, upamięta...

— Pomazanie pańskie da mu rozum potrzebny do rządzenia serdecznym ludem.

— Dajże to Boże—rzekł Bolesław Chrobry.

Nie mógł uspokoić się rozżalony Sobiebór, nie przestał ostrzegać przed Władywojem, a Chrobrego kusić...— — —

— O losy narodu rzucacie kości, w grę szaloną się wdajecie, gdy o dolę mej ojczyzny idzie?! Nie jednego człowieka los się rozstrzyga, nie o jednę rodzinę i o jedno

*) Populus Bohemiorum... Wlodowejum de Polonia vocans unanimiter electum collocavit. Tamże.

**) Vita. Henr.

grodno tu chodzi. Wy mówicie: ustatkuje się, opamięta może... „Może!“ Na lodzie ślizkiego słowa stawiacie przyszłość czeskiego ludu?

— Woli narodu się zadość dzieje.

Bolesław Chrobry rzekł:

— Niechże każdy naród rządzi się swem prawem, niechże o losach swych postanawia sam. Złe jego prawa?! Ale jego własne! Wara nam narzucać innym swą wolę, biada temu, kto wyciąga rękę po cudzą własność, kto targnie się na cudzy dorobek. Własne prawo, to największy Wszechmocnego Boga dar. Kto narodowi przyrodzone prawo wydziera, nad tego głową wisi straszny miecz pomsty Bożej...

Tak mówił król. A w sercu jego był smutek wielki, w sercu panował okropny strach...

* * *

Niepłonne były obawy Chrobrego, jakby przewidział jutro mędrzec wielki.

. . . . . .

W modrej Wełtawie Wyszehrad się przegląda, na skalnem urwisku wisi stary gród. Sto okien ma zamczysko, we wszystkich oknach światła płoną, na fali rzeki sto świateł huśta się i kołysze. Huczna gędźba dźwię-

czy, okrzyki z modrzewiowego zamku słychać, jako barć pszczelna muzyką roju, tak dworzec książęcy krzykiem, śmiechem, gwarem gra.

To Władywoj, nowy książę czeski ucztuje. Ciżba rycerstwa go otacza, tłum pijanych ludzi się bawi, zachęcany do kielicha i rozpusty przez wyrodnego Piasta. Z kraju świata czarownice krasne dziewki sprowadzają, za nic wstyd, zapomniano o cnotach ojców, o skromności macierzy... Chrztem zmyte to rycerstwo, a przecież w orgiach pogańskie zabawy wskrzesza, bezwstydne pieśni śpiewa, pogańskim boginiom hołd oddaje. Doli Jerycha czeski lud się nie boi, z krewnemi niewiastami jako z żonami obcują, mąż każdy ma tyle żon ile chce, *) pijaństwo, rozpusta i gędźba, oto ich jedyne pragnienie, jedyny życia cel. W ogromnych komnatach Wyszehradu stu harfiarzy przygrywa, wino i miód potokami się leją, w kielichu i w pocałunkach krasawic pamięć rycerstwo traci, świat z oczu traci...

A na czele wszystkich szaleje Władywoj, wieniec wszetecznic go otacza, **) czarę za czarą dziewoja mu do ust niesie, nietrzeźwym śmiechem książę za trunek dziękuje,

*) Vita S. Adalberti. **) Thiethmar.

usta swe do ust pijanych dziewek niesie. Popadł wreszcie w szał, po kilku miesiącach bezwstydnego życia i pijaństwa, wpadł w okropny nałóg. „O Władywoju rzecz nie do uwierzenia mówię, lecz nie naśladujcie tego chrześcianie, że on ani jednej godziny bez trunku wytrzymać nie może." *)

Straszne wieści z Czech do Polski lecą, złość, żal, wstyd za hańbę brata sercem Bolesława targa, gniewem wreszcie zapłonął król, gdy gońce przyniosły wieść, która radę królewską do głębi wzburzyła...— —

Władywoj, aby panowanie swe utrwalić, aby w spokoju i bezpieczeństwie pijaństwu się oddawać i rozpuście, Czechy królowi niemieckiemu poddał. „Z pokorną uległością i poddaństwem" pośpieszył do Ratyzbony, Henrykowi hołd złożył, w zamian za upokorzenie i hańbę, na księstwie czeskiem został zatwierdzonym. Na rękę była władcy niemieckiemu ta uległość i to poddanie się; skwapliwie hołd Władywoja przyjęto, a Henryk, „aby sobie zjednać jego przychylność, poczcił go słowem i czynem więcej, niż się Władywojowi należało."**)

— Hańba! Okropna hańba!

---

*) Nunquam sine potu unam horam perdurare valuerit Th.V. 15. **) Adelbold „Vita Henr."

— Z wrogami naszymi się, brata!

— Wyrzucić go!!

— Pozbawić władzy, którą splugawił!!

— Idźże Bolesławie do Pragi! — wołał arcybiskup gnieźnieński, Radzym, ty obejm dziedzictwo wyrodnego brata!

— Niechże Czechy i Polska jedną rzeszą i jednem mocarstwem się staną!

— Władajże Bolesławie nami, — mówił czech Sobiebór.

Zamyślił się król...

— I tyże mi raisz to, Sobieborze?

— Ja.

— Nie rozumiem cię, słów twych nie pojmuję. Wygląda to tak, jakbyś ty we własny kraj obce wojska prowadził...

— Obce?!

— Jakbyś sam nawoływał nieprzyjacioły do twej ziemi.

Bystro spojrzał na króla Sobiebór.

— Pierwszy raz takie słowa z ust twych królu słyszę. Nie sądziłem zaprawdę, że ty władco nieprzyjacielem moim jesteś, żeś ty dla mnie, dla mego narodu człowiekiem... obcym...

Rozjaśniło się oblicze króla, przeleciał przez nie pogodny i szczery śmiech.

A Sobieborowi iskrzyły się oczy, gdy pytał się tłumu:

— Słuchajcie bracia, a kogo to Bolesław arcybiskupem gnieźnieńskim uczynił?

— Czecha! Radzyma!

— Czy ksiądz Radzym dla was polanie jest człowiekiem obcym?!

— Nie! Nie! To brat serdeczny!! To krew nasza!! Niech żyje nasz arcybiskup!! Niech żyje ksiądz Radzym Sławnik!

— Niech żyją czesi!

Zwrócił oczy Sobiebór na króla i rzecze:

— A ty panie mniemasz, że nam w Złotej Pradze będziesz obcym?

— Nie, odrzekł Chrobry, rozradowany zgodą braci, zgodą ludzi jednej krwi...

— Znam cię królu, znam twe serce, które cierpia złego, pozoru złego się boi. Kusiłeś panie duszę moją, doświadczałeś myśli mojej, na ustach twych był śmiech, boś nie wierzył we własne swe słowa. Tobie dworować wolno. Ale gdyby ktoś inny nie żartem mię doświadczając, lecz w prawdzie mi rzekł: odszczepieńcem jesteś, wrogów wiedziesz na czeską, ojczystą ziemię, to czoło moje, na którem wypisana będzie hańba, krwią jego obmyję.

— Niech żyje Sobiebór!

— Słuchajcie bracia! — mówił Sobiebór Sławnik. Czy wy wiecie, co się z lutykami nad Łabą dzieje?

— Mrą w niewoli, giną na szubienicach!

— Wiecież, jaka dola naszych braci, co mieszkają nad szafirowem morzem?

— Jako bydło na targach są sprzedawani!

— Gdzież nadzieja nasza?

— W zgodzie, jedności, skupieniu sił, zjednoczeniu się...

— Kogo Bóg namaścił łaską, kto mocen połączyć narody niewolników, dać im wolność, zdeptać ciemiężycieli?!

— Bolesław!!!

Zwrócił się Sławnik do króla.

— I ty panie się pytasz, czemu cię do Złotej Pragi wzywam?

Bolesław bije się z myślami, walkę ciężką toczy jego duch.

— Czechami rządzi, dobrowolnie na tron przez lud czeski powołany, Władywoj.

— Wyrodny twój brat...

Do izby poznańskiego dworca wbiegł goniec ze Złotej Pragi. Słyszy, że o Władywoju mowa...

— Wyrodkiem go zowiesz?... pyta się Sobiebora.

— Tak jest, sprzedał niemcom słowiańskie dziedzictwo.

— Nie nam o nim wyrok wydawać. Niechże go sądzi Bóg!—rzekł poseł, pochylając głowę ku ziemi.

— Jakto? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Smutną, żałobną wieść niosę...

— Jaką?

— Władywoj umarł.

— Umarł?!!

— Patrzyłem sam na jego straszny zgon.

— Co mówisz? Tydzień temu zdrowym go widziano...

— Wyprawił ucztę na cześć posłów, którzy mu dary od króla niemieckiego przynieśli. Zasiadło do stołu rycerstwo, krasny wieniec dziewek księcia i posłów otoczył, w śmiechach i pijaństwie stracili miarę, gardła od piosnek chrypły, oczy od wina się iskrzyły. Porwał pijany Władywoj kielich ogromny, uciszył rozszalałą krzykiem gromadę, wzniósł puhar kołyszącą się ręką w górę i rzekł: Mój opiekun i pan, król niemiecki, Henryk, niech żyje! Przytknął czarę do ust, kielich wypadł mu z ręki, wino prysło na oblicza dziewcząt, które się do niemców mizdrzyły, otwarł Władywoj szeroko usta,

jakby chciał powietrza złapać i runął nieżywy na ziemię.

— Jakie życie, taka śmierć!—rzekł Zdzieszko.

— Niechże mu Bóg przebaczy winy! — zawołał Stoigniew.

— Teraz nam w drogę.

— Dokąd?

— I ty się pytasz? Do Pragi?

— Do Złotej Pragi!

— Objąć dziedzictwo Władywoja!

— Rodzonego twego brata, królu!

— Ty władco na Wyszehradzie panować będziesz.

Niech żyje nasz pan! krzyknęli czesi.

— Niech żyją złączone słowiańskie narody.

— Niech żyje Bolesław Chrobry!!

— Niechże wojsko w kotły uderzy!

— Na wyprawę daleką pułki nasze idą.

— Dokąd?!—zapytał król.

— Do Pragi! Wziąć Pragę!!

. . . . . .

— Nie!—zawołał Bolesław.

— Jakto?!

— Co ty władyko mówisz?!

Cisza zapanowała wielka. Wszyscy zwró-

cili oczy na Bolesława, który zerwał się z ławy, i rzekł głosem przekonania:

— Czechami, niech włada czech!!

Głos króla piorunem przez sejm przeleciał, nikt się woli władyki sprzeciwić nie waży, choć z wolą jego nikt się widać nie zgadza. Pytanie w oczach rycerstwa, z szarego końca szeleści ciche echo, jakby tłumiony protest i tłumiony gniew.

— Jakto panie nasz, — ośmielił się wreszcie zapytać Stoigniew, zatem chcesz, aby niewolnie Jaromir czechami rządził?

— Ten sługa i podnóżek cesarza?

— Może Oldrzych?

— Wszak on na dworze cesarskim siedzi.

— Obaj duszę cesarzowi zaprzedali.

— Na stół jego patrzą, czy nie spadnie im okruszyna łaski...

— Precz z nimi!!—woła Sławnik.

— Człowieka niemasz...

— Kto władać będzie Pragą? Kto?

Kto?! — zapytał król, — Prawy dziedzic Czech!

— Jakto?! Bolesław Rudy?!

— On!—rzekł Chrobry.

— Ten mężobójca! Ten bazyliszek!

— Upamięta się, poprawi się.

— Wygnał matkę, wygnał braci.

— Przebłaga ich.

— Złoczyńca!

— Czesi wygnali go z kraju!!

— Widząc jego poprawę, przyjmą go do kraju.

— To być nie może.

— Mojej woli zadość się stanie — rzekł Bolesław Chrobry.

* * *

Król polski wysłał natychmiast gońca do Francyi, do hrabiego Hecyla, z którym łączyła go długoletnia znajomość i stosunki, przed okiem cesarza niemieckiego ukrywane. Tam w grodnie hrabiego, w wieży zamkniętym był książę czeski Bolesław. Poseł Chrobrego rozmówił się z więźniem, przedłożył mu żądania i warunki polskiego władcy, gdy zaś Bolesław Rudy woli Chrobrego się poddał, z zamiarami jego się pogodził, goniec zażądał imieniem swego pana, aby wydano mu więźnia. Zdjęto z rąk Rudego kajdany, wypuszczono go na wolność, z poselstwem bolesławowskiem przez kraj cesarza do Polski książe czeski śpieszy.

* * *

W świetlicy dworca poznańskiego przed Ukrzyżowanym Chrystusem świece goreją, dwaj Bolesławowie, cioteczni bracia, długą rozmowę prowadzą. Zamknięto wszystkie drzwi, we wszystkich wierzejach zasunięto wrzeciądze.

— Przysięgniesz mi? — zapytał Rudego Bolesław Chrobry.

— Sługą mojego ludu będę, łzy uciśnionych osuszę, krzywdy nagrodzę, dla sierot, które z mej winy ojca straciły, żywicielem będę i opiekunem...

— Słuchaj, mój bracie! Ty wiesz, że wszyscy czescy wojewodowie za wyborem brata mego głos oddali, wiesz, że potężna rodzina Wrszowców powołała go na czeski tron.

— Uszedłem przed ich pomstą.

— Odebrano władzę tobie, dano ją bratu memu.

— Z twej ręki bracie znowu ją otrzymam.

— Nieinaczej. Wiedz jednak, że ci, co cię władzy pozbawili, to druhowie i przyjaciele moi, to lud, który na Polskę oczy ma zwrócone, któremu podobało się w mej ojojczyznie ojca sobie szukać. Czy ty nie będziesz się na nich mścić, czy zapomnisz przeszłość, czy przebaczysz im?!

— Przebaczę!

— Przez Boga żywego cię pytam, sąż oni przed twą pomstą bezpieczni?

— Włos im nie spadnie z głowy.

— Przysięgniej mi przed wizerunkiem Boga!

— Przysięgam!!

— Słyszał, bracie, słowa twoje Bóg!

* * *

Mróz styczniowy okrutny, iskrzy się ścięty zimnem śnieg, niebieskie mgły spowiły stopnie tronu, na którym król światła, złote i różowe słońce wschodzi. Sosny długie, sine rzucają cienie, na stokach zachodnich szarzyzna jeszcze i pomroka, a szczyty gór, którym najpierw danem było oglądać wielki majestat wschodzącego słońca, barwią się złotem i czerwienią róż. Mróz piecze, szczypie i pali, a na białem morzu pól dwadzieścia tysięcy koni parą bucha, dwadzieścia tysięcy stalowych hełmów iskrzy się w słonku i złoci. Pełna życia, pełna ruchu równina; konie parskają, przyzwyczajona snać do mrozu i wojny drużyna, wesołe śpiewy słychać; rycerstwo śmiechem i gwarem powitało pogodny, iskrzący się światłem dzień.

Na czele niezmiernej jazdy starszyzna jedzie, chorągwie z zimnym wiatrem się biją, przed chorągwiami dwaj wodzowie cwałują, otucha w oczach polskiego króla, pogoda na licach, na wargach przyjacielskie dla brata czeskiego słowa. Ten iskrzącem okiem w dal patrzy, słowom Chrobrego potakuje, z oczu jednak jego wyczytasz, że nie o radach bratnich dusza ta myśli, że w niej huczą burze, rosną postanowienia, których usta nie śmią zdradzić, boją się wydać, wyspowiadać przed polskim bratem. Na nawoływanie jego, aby zbożnie wrogom przebaczył, usta Rudego odpowiadają: tak! tak! a szyderczy uśmiech pod czerwonym wąsem przeczy słowom kłamliwym i mówi: nie! nie A wojsko dalej jedzie i jedzie. Z Poznania przez Głogów i Lignicę jadą, Śląsk przeszli, w czeską wstąpili ziemię.

* * *

W Czechach rządzą już Niemcy. Z ramienia cesarza zajęli Pragę dwaj bracia Bolesława Rudego, Jaromir i Oldrzych. Niemiec ich osadził na tronie, niemieckie rycerstwo zajęło czeskie grody. Wygnać je, wyrzucić wasali niemieckich jadą pułki morawskie i polskie. Wojna to zaprawdę dzi-

wna. Walka, w której miecza dobywać nie trzeba. Gdy Bolesław Chrobry przekroczył czeską granicę, załogi cesarza z zamczysk uciekają, sam widok niezmiernego wojska płoszy ich z każdego grodna i każdej warowni.

Jaromir i Oldrzych nie oparli swej władzy na woli czeskiego ludu, toteż czeski lud nie troszczy się o ich losy. Idą wojska w głąb kraju idą, twierdza za twierdzą się poddaje, we wszystkich grodnach Bolesław polskie i morawskie załogi zostawia. Zjawił się wreszcie pod Pragą, Jaromir i Oldrzych, którzy jak błyskawica w Czechach się zjawili, teraz jak błyskawica z Pragi znikli. Na dwór króla niemieckiego uciekli, zostawiając wojskom polskim otwarte bramy Złotej Pragi.

* * *

„Między obydwoma Bolesławami zawiązała się przyjaźń nieszczera, serdeczność kłamliwa i podstępna. Ciagle i ciągle jeden drugiego na uczty zaprasza, szumnemi i wesołemi biesiadami się raczą.“*) Rudy przysięgi swe dane Bolesławowi powtarza, zapomnienie i przebaczenie win obiecuje;

*) Adelbold, życie Henryka.

Chrobry z radością na serdecznego brata patrzy, słodkich słów jego słucha. A jednak, gdy słowa jego przebrzmią i ścichną, powstaje w duszy polskiego króla myśl, że wszystkie zapewnienia czeskiego brata to kłamstwo i obłuda, że to kłamswo i mydlenie oczu, aby olśnione liczmanem serdeczności, strasznego obrazu jutra nie ujrzały. Odpycha dusza Chrobrego przeczucia i podejrzenia, zwleka Bolesław swoj odjazd z Pragi. Uspokojony wreszcie obietnicami i przysięgami Rudego, uśpiony szczerością, która z jego ócz biła, w jego słowach brzmiała, wrócił do Poznania.*)

* * *

*) Kronikarze niemieccy, zwłaszcza zaś całą duszą nienawidzący Bolesława Chrobrego, Thiethmar, twierdzi, że osadzenie na tronie czeskim Rudego było podstępną grą Chrobrego, komedyą zainscenizowaną po to, aby dać Rudemu pole popisu do zbrodni i przez to panowanie w Czechach zagarnąć. Skąd Thiethmar wie wszystkie najtajniejsze myśli Bolesława, pojąć i domyśleć się niepodobna; dość jednak przeczytać te podejrzenia, aby dopatrzeć się w nich jeśli nie oszczerstwa, to co najmniej stronniczości. Władywoj umiera w styczniu 1003, w styczniu osadza Chrobry w Czechach Rudego, w lutym tegoż roku wypędza go i sam władzę obejmuje. Gdyby Chrobremu chodziło o pozory, toć najlepszym do objęcia Czech była śmierć rodzonego brata, co zaś przeprowadził polski król w lutym 1003 r, tego mógł by dokonać i miesiąc temu, w styczniu.

Spokój zapanował w wesołej Pradze, z ufnością spoglądali w przyszłość wrogowie Bolesława Rudego, patrząc na jego życie, na łaskawość, z jaką ich słodkiemi obsypywał słowy. Odmienił się z gruntu i nie do poznania: dla nieprzyjaciół swych serdeczny i wylany, do rany go przyłóż, chlebem odjętym od ust się podzieli, zdaje się, że w biedzie ostatnią odda ci koszulę. Ci, co bunt niegdyś przeciw księciu podnieśli, żałują swego czynu, patrząc na ustatkowanie się władcy, na pełne cnót jego życie. To nie mężobójca krwawy i „bazyliszek“, to brat serdeczny, przyjaciel wylany. Uciszyły się strachy, uspokoiły umysły, zabrzmiała Praga gędźbą w zapusty, każdy dom tańcem huczy, kipi hałasem ludzkich śmiechów, bawi sie młodzież, piękne krasawic lica śmiechem się wdzięczą, tuli młodzieniec kochankę, z ust jej słodycz pije, lud się cieszy, „szkaradnym tego świata uciechom oddany, “*) Wre miasto ucztami, przypomnieli sobie wojewodowie, jakto książe Władywój ich podejmował; na ucztach harfiarze grają, wino się leje, dziewczęta krasne jak róże się śmieją...— —

*) Tkieth. *V.* 18.

W ostatni dzień zapust książe Bolesław Rudy wielką ucztę na Wyszehradzie wydaje. Wszystkich dawnych wrogów na gody zaprosił, ze wszystkich miast Czech wojewodowie i władyki do Złotej Pragi jadą.

Kazał Bolesław Rudy zawezwać rodzoną swą córkę.

— Stronisz dziecko odemnie?

— Woli męża zadość czynię.

— On mnie nienawidzi...

— Ciebie ojcze? Nie. On nienawidzi zbrodni twoich.

— Kłamstwo! Mąż twój, to nieodrodny Wrszowiec. Wrogami niegdyś Wrszowce i Sławniki byli, dziś złączyli się, aby przeciw mnie lud burzyć, aby odebrać mi dziedzictwo ojców moich.

— W błędzie jesteś, mój ojcze.

— Na Polskę oczy wasze zwrócone, wyście ciało i dusze polakom sprzedali.

— Całą duszą ojczystą ziemię kochamy.

— Sprowadziliście z Polski Władywoja?

— Tak jest.

— Mąż twój stał na czele powstania, które mię z tronu rzuciło, Piastom ziemię czeską wydało.

— Czy on temu winien?

— Któż więc?

— Czyny twoje.

— Czyny moje‘ mówisz? Dobrze. Niech i tak będzie. Zatem bunt twego męża był skutkiem, a przyczyną buntu moja zbrodnia. Jeśli jednak prawdą jest, że wy walczyliście nie ze mną, lecz ze zbrodnią, to dziś jeśli upadła, jeśli umarła przyczyna...— —

Królewna się rozpłakała.

— Dajże Boże, aby ona na zawsze umarła.

— Płaczesz córko? Wątpisz?

— Ja Boga o zmianę doli mojej proszę.

— Twej doli? Nieszczęśliwą jesteś?

— I ty się pytasz ojcze?! Czyż można być szczęśliwą, gdy serce rozdarto, gdy serce krwawi się i płacze. Wszak dzieckiem twem jestem i kocham cię całą duszą moją. Należało do ciebie ojcze całe serce... Lat temu dziesięć przyszedł do ciebie sokół, któremu mię za żonę odałeś. Rzekłeś do mnie, zostań jego żoną, idź w jego dom, oddaj mu serce... Rozdzieliłam je ojcze między ciebie i męża mojego i dom mój... Przyszła straszna chwila... serce zalało się krwią... Boże! Boże!!.— —

— Uspokój się moje dziecko. Nie płacz.

— Jak nie płakać rodzicu ukochany... Gdy mieczem tniesz człowieka, przychodzi

śmierć, szczęśliwa śmierć, która niesie zapomnienie bólu i śmiertelnej rany... patrz ojcze: serce me mieczem rozcięte na dwie połowy, w krwi się pławi, a ono żyje, musi żyć... ono nie rażony żelazem człowiek.. —nie umiera, serce umrzeć nie może... Ty Boże słyszałeś prośby moje, aby nadszedł skon...

Przybiegł Bolesław do zanoszącej się od płaczu córy, ujął ją w ramiona, tulił i spokoił.

— Przebacz mi dziecko. Przebacz słowa niebaczne.

— Niech ci ojcze Bóg przebaczy.

— Zawezwałem cię przecie nie po to, aby stare rany drażnić, aby jątrzyć serce, które się goi...

— Czego żądasz odemnie?

Z uczuciem wielkiem i rozrzewnieniem patrzał Bolesław Rudy na córkę i zawołał, rozłożywszy ramiona:

— Przyjaźni twej żądam!

— Masz ją.

— O serce twego męża cię proszę. Niech mi przebaczy, niech mi synem będzie.

Zdziwienie w oczach królewskiej córy i pytanie wielkie.

— Jakto ojcze? Jakto?

— Pojednać się z nim pragnę, do serca go przycisnąć.

— Ty ojcze? Ty?

— Ja.

Osłupiała Bolesławowa córka, powieki się jej rozchyliły, otwarły się różowe usta. Wnet w oczach zjawiła się radość niezmierna, z wybuchem szczęścia rzuciła się na szyję ojca, z radości płacząc...— —

— Dożyłam zatem tego... Boże mój...

— Ty wiesz, dziecię, że odmieniłem się, że życie moje dzisiaj...

— Wiem. Cały kraj o tem mówi, cały naród z radością patrzy...

— Jeśli przebaczyłem wszystkim, jeślim zdobył miłość wszystkich, to przedewszystkiem chcę zaskarbić miłość waszą. Wszak Wrszowiec jest mężem mego dziecka... Zapomnij o przeszłości...

— O, zapomniemy ojcze.

— Niechże ona minie jako śnieżyca grudniowa.

— Wiosna! Wiosna wschodzi...

— Przyprowadź mi twego męża. Niechże przyjdzie na ucztę w zapusty.

— Do stóp twych upadnie.

— O sercu mem przekonają go moje łzy...

* * *

Wielka uczta. Dawno takiej radości nie widziała Praga, dawno takiej gędźby nie słyszały Wyszehradu modrzewiowe ściany. Śmiertelni niegdyś wrogowie księcia, dziś jego gośćmi, kielichy krążą, dworzec gwarem rozradowanego ludu wre, kipi i huczy. Z nad słowiańskiego szafirowego morza sto teleg przywiozło wina, zza morza, zza świata, sprowadzono do jadła korzenie. Zasiedli władykowie przy stołach, o sprawie pospolitej gwarzą, wino piją, na zjawienie się księcia Bolesława czekają.

Zjawił się wreszcie.

Jakby we wierzejach otwartych gwiazdy się zaiskrzyły, promienieje książę Bolesław blaskiem świątecznego stroju, migotem złotych łańcuchów, jaśnieje książęca korona rosą pereł i drogich kamieni. Na purpurowy płaszcz czerwonych włosów spada fala, na złotem wybijanym pasie wisi krótki, spowity w rzemienie miecz. Jako w księżycową noc woda, wśród szarej calizny szuwarów, żywem srebrem się błyszczy, jak ze skórzanego spowicia jaskrawi się blask wyostrzonej stali...

Stanął w progu Bolesław Rudy, uśmiechem serdecznym zgromadzonych powitał. Dobroć na jego licu, prostota i miłość

w oczach, miłością przeleciały jego oczy po zgromadzonym tłumie, otwarły się ramiona, jakby chciały uściskiem objąć biesiadników, którzy na widok księcia i pana powstali.

— Jesteście mi nad życie drodzy...

Usiadł Rudy książę przy stole, klasnął w dłonie, dwudziestu pachołków na znak władcy przybiegło. Na złotych naczyniach łososie wełtawskie i szumawskie pstrągi wnoszą, jelenie udźce na stół kładą. Uczta się zaczyna, książę je żubrze mięso łakomie, kości psom myśliwskim pod stół ciska, dziesięć psów pod stołem o kości się ujada.

— Puste już wasze czary? Wina!

Chwycili pachołkowie próżne miedziane dzbany, do ciemnych piwnic śpieszą, z beczek ogromnych napój toczą, złote kielichy przed rycerstwem stawiają. Na naczynia, które przyniesiono z zimnej piwnicy, siadła w parnej izbie rosa...

— Pijcie bracia mili!

— Nim przyszedłeś, morze wina się przelało. Za twoje zdrowie tysiąc kielichów spełniono.

— Zdrowie wasze teraz wniosę!

— Żyj nam!

— Jedzcie, pijcie. Ostatnia chwila, ostatni czas. Wszak dziś zapusty, ostatnia naszej zabawy godzina, wnet żałobą zawyje popielcowy dzwon...— —

— Pijmy.

— A spełna!..

— Duszkiem!

— Hola! Harfiarze! Czy palce wasze paraliż ruszył?!

— Pan grać każe!

— Grajcie od ucha! Spoczniecie jutro. Jutro w popielec zamilknie pieśń i harfa wasza będzie jako łan szczerbaty grudą styczniową: dopóki wiosna, dopóki lato, niechże gęśl wasza tęczą kwiatów zagra, niechże się wdzięczy pieśnią, jako łąka kwiatem. W post spoczną harfy, jako rola w zimie...— —

Zadźwięczały struny, zakipiała izba radością i weselem. Roztajały serca dobrocią i łaską księcia, który gościom pilnie w kielichy patrzy, własną ręką miód z dzbanów leje. Z dawnymi wrogami czarą się trąca, starszyznę ściska i całuje, kobietom dworskie słówka prawi, raz za razem za zdrowie męża lub brata czaszę w ręce białogłów chyląc. Zapłonęło mu ogniem lice, zai-

skrzyły się oczy, Bolesław chwieje się już na nogach pijany...— —

Wspierając się na ramionach biesiadników wrócił na szczyt stołu, wszedł na stopień książęcego stolca, zmarszczyła się brew, zachmurzyło czoło, w źrenicy iskra ognia płonie; powiódł okiem po wrejącej śmiechem i gędźbą sali, jakby liczył pijany tłum...

— Hej! Północ nadchodzi!

— Popielec!

— Niechże jeszcze gędźba gra!

— Pijcie!!

— Dzbanem!

— Za mną!!

Chwycił Rudy książę oburącz dzban, do ust go przychylił, sto kielichów wzniesiono w górę, wszystkie harfy zagrały, wszystkie usta się zaśmiały...— —

Wtem...— —

Dzwon zahuczał.

Na wieży kościelnej ozwał się o północy na znak popielca. Bolesław Rudy naczynie z mocą rzucił na ziemię. Zaszumiał płyn, w kaskadach rozprysł się po podłodze, zadzwoniła miedź tocząc się po ziemi.

— Precz z pieśnią!!!

— Nadszedł czas pokuty i żałoby.

— Głowy popiołem posypiem.

— Harfiarze za drzwi!! Za drzwi!!

Pijany Bolesław spojrzał na tłum, śmiechem jakimś dziwnym rozszerzyły mu się usta.

Mówił powoli przez zęby, słowo po słowie.

— Płakać za grzechy, rozpamiętywać zbrodnie teraz będziemy.

— Modlić się wraz z tobą...— —

— Módl się bracie, módl. Tobie bardzo w tej chwili modlitwy potrzeba.

— Jakto?! Jakto panie?

— Zaraz mię zrozumiesz dobry przyjacielu. Wszak to ty jeździłeś do Poznania w poselstwie, aby dziedzictwo moje objął syn Mieszków, Władywój?

— Ja władco.

— I ja! I ja!

— Przebaczyłeś nam!

— Tak jest, najmilsi!—rzekł z czułością wielką Bolesław—tak jest! Przebaczyłem.

— Zapomniałeś uraz.

— Kocham was całą duszą moją.

— I my ciebie!! I my!! Ojcze!!

— Milczcie—krzyknął Rudy książę. Popielec!

— Boże przebacz nam grzechy nasze.

— Bóg wam je przebaczy. Widzę wśród was wielu dworzan polskiego władyki Bolesława.

— Chrobremu władcy wierni jesteśmy.

— Wierni mu byli nietylko jego poddani. Wszyscy, jak tu zgromadzeni jesteście, ciągle i ciągle mieliście na Polskę oczy zwrócone, pomocy u Chrobrego szukając, zbawcę czeskiej ziemi w nim widząc, śląc do niego poselstwa, aby objął czeski tron...— —

— Zapomniałeś nasze winy.

Zachwiał się Bolesław na nogach, oparł się o stolec książęcy, aby nie runąć, chwycił się ręką za piersi, jakby chciał zatamować bicie serca, jakby chciał zdusić śmiech, który się z zaciśniętych zębów dobywał.

— Zapomniałem?! Przypomniał mi ten dzwon, dzień pomsty i żałoby. Słyszycie? Jęczy on i płacze, jako płakało serce me, gdy z ziemi ojczystej uciekać musiałem. Jak ten dzwon huczy! Jakby miotał w przestrzenie milion spiżowych łéz, kwili jako niebo, które z wieczora żali się losu ziemskich jestestw i łzami rosy nad nieszczęściem bytu płacze.

Biesiadnicy zdziwionemi oczami patrzyli na Rudego księcia. Śmiech na jego licach,

a przecież złością i gniewem krzywi się twarz, jako przed burzą słoneczko jasne przez chmury się przedrze i nie szczerem złotem, lecz rdzawemi plamy i krwią sosnowe pnie zaczerwieni.

— Pijany...— —

— Co ty mówisz książę?

— Mówię, że dziś dzień przekleństwa! Po zapustach życia, wyje ten dzwon głosem śmierci i zagłady.

Popłoch wśród zgromadzonych zapanował.

— O śmierci i zagładzie mówi...

— Zapomnie o prawach gościa — o danem słowie...

— Uciekajmy!

— Nieszczęście patrzy mu z oczu. Źrenice jego blaskiem jagody wroniego oka się świecą.

— Uciekajmy! Pijany!

— Oszalał trunkiem ten człowiek.

— Wymorduje nas!

Zaśmiał się dziko pijanica...

— Uciekać chcecie?! Opuścić mnie, który was całem sercem kocham? O nie! Wy stąd nie wyjdziecie! Nie puści was gościnny mój dom...— —

— Jakto?...

— Nie pójdziecie stąd... Żywi nie wyjdziecie.

— Co? Co on mówi...

— Żywi nie wyjdziemy...

— Szalejesz...

— Mordem twych gości splamisz twoje progi?

— Tak nam zapłacisz za ufność naszą?

— Zawierzyliśmy ci i oddali się tobie...

— Bez broni i oręża weszliśmy pod twoją strzechę.

Z kocich lic Rudego księcia szczezł śmiech.

— A więc tak?! Podejrzywacie mnie o mord i zbrodnię. Także to płacicie za dobre serce moje, za miłość, którą do was płonie dusza moja? Żarty! To były żarty! Figiel na zapusty. Jestem pijany, żartów mi się chce.

Posmutniał nagle książę, jakby w oczach jego był wyrzut i żal. Wilgotniały oczy ohydnego kłamcy, rozrzewniła się dusza pijanego człowieka, poczerwieniały powieki, z pod powiek jęły się sypać perły łez.

— Płacze...

— Omyliliśmy się.

— Zacna to i poczciwa dusza.

— Brat serdeczny i dobry pan.

Przyskoczyli goście do Bolesława, jęli się tulić do niego, do kolan się chylić się jako kwiaty łąki chylą się do stóp kosiarza...

— Panie nasz!

A Rudy wołał z płaczem:

— Do mnie dzieci, do mnie! Chciałbym was wszystkich do serca przytulić.

— Do grobu wierni ci będziem!

— Chodźże do mnie Sławniku!

— Jestem, panie!

— Nie, nie. Najprzód zięć, najprzód córka, najprzód krew moja!

— Do nóg Bolesława Rudego upadł zięć jego Wrszowiec i jego żona.

— Ojcze nad życie kochany!

Ujął Bolesław zięcia w ramiona.

— Wstań, mówię ci, wstań.

— Ojcze! Ojcze nasz!

— Wstań! Mówić chcę z tobą, serce przed tobą otworzyć.

— Rozkazałeś ojcze.

— Moja ty zacna krwi! Synu mój! Córko moja! Widzisz, dawniej... dawniej byliśmy wrogami. Czekaj. Nie mogę mówić, napiję się wina. Jeszcze wina. Jeszcze. Usta wyschły... Popielec! Przecie ten dzwon nie wywabi wina, które w mej głowie szaleje.

Chwycił ze stołu w ręce niedopitą konew i długo chylił do ust.

— Teraz mi lżej. Dawniej tyś zięciu stał na czele powstania wymierzonego przeciw mnie.

— Znowu przypominasz?

Pijany człowiek nic nie odpowiada, milczy długo, śmieje się dziwnie...— —

— Jako kot... Jako kot...

— Co ty mówisz?

— Okrutną rozkosz sprawia strach myszy.

— Nie rozumiemy cię.

— Co? nie rozumiesz? Czekaj...

Ujął Bolesław Rudy kielich złoty w jedną, a ogromny pusty dzban w drugą rękę i z całej siły złotem w miedziane naczynie bije. Gra metal i jęczy, z głosem dzwonów jaskrawy jego dźwięk się kłóci i przecherza.

Posłyszała straż znak...

— Co czynisz ojcze?!

— Dzwonię!

— Po co?

— Ciekawyś? Patrz!

Straszny mruk ludzki w okół izby słychać, z hukiem otwierają się drzwi, świeci się broń w oknach i wierzejach.

— Boże!!!

— Wszystkie drzwi i okna wojskiem obsadzone.

— Dziesięć oszczepów iskrzy się w każdej paszczy drzwi.

A Bolesław Rudy pyta się:

— Tyś wprowadził, zięciu, na tron Piasta Władywoja.

— Ja...

Błyskawicą zaświecił Bolesława miecz, straszliwem pchnięciem wpadł w pierś Wrszowca; z piersi książęcego zięcia buchnęła kaskada krwi.

Gromada ludzi zebrana koło księcia rozpierzchła się we wszystkie kąty izby, na zwłoki męża upada córka Bolesławowa...—

— Zbóju! Mężobójco!!

Jak zwierzę dzikie rzucił się Bolesław na kobietę, chwycił ją za włosy, od męża ciągnie, szarpie bez litości, od konającego człowieka odrywa.

— Ty wyrodne dziecko...

Nie mógł Bolesław Rudy podołać oporowi niewiasty, przypadł ze wściekłością do szamocącej się kobiety...— —

— Krwi jego chcesz? Bliższa ci od mojej?! Droższa od krwi rodzica?! Dobrze!!

Ujął w obie ręce białą szyję córki, przemocą głowę ku piersi zabitego męża kieru-

je, siłą straszną przytyka usta do buchającej krwią piersi, a urągając, szatańskim śmiechem szepce:

— Pij! Pijże krew!.. Jego krew!... Pij!

Zachłysła, zakrztusiła się córka Bolesława falą w płuca wchłoniętej krwi...— —

. . . . . .

Osłupieni bez czucia, bez zmysłów, patrzyli na mordercę biesiadnicy, kilku z nich rzuciło się na oszczepy do drzwi, podjęli śmiertelną walkę, aby się na wolność wydostać. Z przebitą piersią, z rozpłataną głową padali u stóp wierzei...

Trzej Wrszowcy, w których krew zakipiała, przypadli do krwawego mordercy, aby go oderwać od córki i od zwłok... Gdy dotknęli szat Rudego księcia, zawarczały psy i rozjuszone rzuciły się na napastników. Dziesięć bestyj na bezbronnych ludzi spadło, szarpią się wojewodowie i biją, oto biały ogromny bryś w mięso, chwycił Sławnika za gardło, wbił zęby krew trysła z pod psich zębów, zwierzę dławi człowieka i dławi...— —

Podniósł głowę Bolesław Rudy i rzekł do pachołków:

— Do żniwa!!

Kilkuset ludzi do izby wpadło, mord się zaczął i rzeź: krzyki rozpaczy grają tu, gdzie przed chwilą gędźba grała, ludzie padają, wino rozlane na podłodze miesza się z gorącą krwią... Padł jeden i drugi pachołek z rozbitą czaszką, zawył inny z boleści, któremu bezbronny człowiek wybił zęby, broniąc się przed mordem...— —

Ale wrzawa coraz bardziej cichnie, tu i tam zajęczy konający człowiek, zacharczą płuca, którym brak tchu. Pobito wojewodów, nie ma już kto stawić oporu, pachołek rannych ludzi dobija. Wstał Bolesław Rudy z nad zwłok zięcia, ujął pusty dzban ze stołu i swej zanoszącej się od płaczu na pół umarłej córce, głowę nim rozwalił...—

Popatrzył po izbie, ogarnął, policzył ciała.

— Wszyscy... szepce, wszyscy...*)

Śmiał się, wodząc okiem po izbie, w której czuć było świeżyznę krwi...

— Serca biły dla Polski... Ścichnie huczący górski potok, gdy żar słońca wypije z niego wodę; po podłodze płynie krew, którą te serca biły...

Zwrócił się Rudy książe do tłumu pachoł-

*) Scenę wymordowania panów czeskich przez Bolesława Rudego w noc popielcową r. 1003 opisuje Thiethmar V. 18.

ków, którzy go krwawym wieńcem otoczyli.

— Idźcie precz!

— Rozkazałeś panie!

— Rozbijcie piwnice! krzyczy szaleniec. Ukąpcie się w winie.

— Idziemy panie!

— Stój!... Harfiarzy zawołaj!

— Popielec, władco... Dzwon bez końca gra...

— Popielec mówisz?

— Czas pokuty i żałoby.

Wykrzywiły się usta pijanicy śmiechem piekła...— —

— Dotąd był mój post i moja żałoba. Dotąd popiołem kłamstwa farbowałem me lice. I byłem jako grób, który zgniliznę swej treści przepychem kwiatów zakrywa. Dziś zaczęły się zapusty...— —

— Wrogowie twoi padli! Rycerstwo polskie wybite.

— Ich czescy przyjaciele pomarli.

— Niemasz ich!! Wina! Hej! Wina!!! Wina i harfiarzy!!

Do chat na stokach Wyszehradu pachołek bieży, harfiarzy do księcia sprowadza.

— Grajcie mi od ucha.

Chwycił Bolesław Rudy konew wina pije i pije... Harfiarze, patrząc na trupy,

na zsiadłą ludzką krew, drżącą ręką w struny uderzają, błądzi ich ręka, struna płacze i skrzeczy, głos dzwonu mąci się z okropnym jękiem harf w muzykę godną piekła, dziesięć psów okropnie wyje... Rozparł się na złotym stolcu Bolesław Rudy, psy i harfiarze wieńcem stopnie tronu otoczyli, on wsłuchany w wycie psów, w jęki dzwonu w straszny płacz harf, duma, śmieje się i marzy...— —

— Zapusty... moje zapusty.

Wstał, chwycił dzban, chce go do ust podnieść... ręka służbę wypowiedziała, zachwiał się Rudy książę, pochylił się, upadł na tron, splózł się z krzesła i runął na schody...

Przyskoczył do pana wierny pies...

XII.

Wicher świszczy po zeschłych ostach, huczy i skowycze w puszczy, gwiżdże w tatarakach, z boru wypadł na wieś, chwycił za włosy brzezinę, targa jej gałęziami, biedne drzewo żali się i płacze. Uderzył w ziemię, pokrytą płachtą śniegu, porwał białą caliznę, w dal niesie; tam, gdzie bieliła się ziemia, goły grunt widać; tam znowu, gdzie był czarnoziem, górę śniegową huragan buduje. Zasypała śnieżyca jary leśne i przepaście, szaleją po świecie śnieżne tumany, ujął wicher pod ramię chmurę śniegu, tańcuje z nią, leci we wściekłym wirze przez pola i lasy, wiruje z nią trąbą powietrzną, po świecie, zdaje się, że szatan zstąpił na

świat i piekielną orgią odbywa swe niecne zapusty...— —

A przecie dniem i nocą wojska z północy lecą, w zadymkę, wichurę, gna żelazne rycerstwo. Wdały Walgierz pułki z Poznania do Czech prowadzi. Przedziera się wojsko przez leśne mateczniki, czasem równa droga złudzi oko żołnierza, wszedł człowiek na śnieżną płaszczyznę, w zasypanej śnieżycą paryi tonie, bracia go ratują od śmierci, idą dalej i dalej...— —

Po strasznych trudach dopadł Walgierz koryta Odry, na niezmierne lody wojska kieruje. Gładka już i równa droga, korytem rzeki, po grubym lodzie jedzie konnica, jadą wojenne telegi. Minęli Wrocław, wnet Odrę opuszczają, korytem Nisy idą, maleje coraz bardziej rzeka, coraz węższą kolumną idzie po lodach rycerstwo, w coraz dłuższą linię wojsko się wyciągnęło, oto już granica czeska, trzeba opuścić wygodną drogę, przedzierać się na nowo przez lasy i wyboje...— —

Bez odpoczynku prawie wojsko idzie, i zbrojny lud i wodzów żądza pomsty rozpala, wśród starszyzny znajdziesz wielu ludzi, którym krewnych Bolesław wymordo-

wał, wybił podstępnie najlepszych Polski przyjaciół.

Idą polskie wojska do Czech, bo je wezwał tam czeski naród:

„Cały lud, niezmiernie zdjęty trwogą, wyprawił tajnych posłów do Bolesława polskiego, którzyby mu przedstawili okropność dokonanej zbrodni, zażądali odeń ochrony przed przyszłą srogością Rudego.“*)

— Na mieczach mordercę rozniesiem!

— Złotą Pragę siłą weźmiem!

— Odpokutuje mężobójca za swoje zbrodnie.

— Żeby go dopaść!

— Bić się z nim i zwyciężyć.

— Nie przewidujesz jednej rzeczy: podstępu.

— Jakto?

— Nie rozumiesz mię? Powiedz mi, co się stanie, jeśli Bolesław Rudy nie stawi nam czoła i w ucieczce ratunku szukać będzie.

— Zwycięstwo po naszej stronie.

— Tak, zwycięstwo. Tymczasem morderca umknie do cesarza i pomsty jego na Czechy i Polskę wzywać będzie.

— Prawda!!—krzyknęło sto głosów.

— Krwawy książe ujdzie!

*) Adelb. „Vitk Hern.“ 45.

— To się stać nie może.

— Stanie się! Gdy go wieść o naszem przybyciu doleci, ujdzie do Niemiec.

— Cóż nam pozostało?

— Podstęp.

— Zdradą go weźmiem!

— To niegodne!

— Niegodne? A jakąż to bronią Bolesław Rudy walczy?! Wszak twój brat w Pradze zamordowany. Zaprosił go na ucztę i pobił...

— Zdradą!

— To bazyliszek jadowity!

— Niechże padnie ofiarą własnej broni— zdrady.

— Dostać go w ręce musim.

— Nieszkodliwym uczynić.

— Król Chrobry do nas rzekł: W więzieniu dożywotnem odpokutuje za swe niecne czyny.

— Odciąć mu drogę do Niemiec.

— Bolesław Rudy jako lis.

— W poprzek drogi stanąć lisim zamiarom.

— Zaprosim go na ucztę, jako on naszych sprosił w straszną popielcową noc...

— Niemasz zaprawdę innej drogi.

Na granicy Czech zatrzymały sie polskie wojska, oczekiwane przez czeskie tłumy.

Wyprawiono gońców do Bolesława Rudego, że rycerstwo go na ucztę prosi. Wzywa go, aby przybył do jednego z pogranicznych grodów, kielichem się z wojskiem zabawił.

Dziwna zaprawdę rzecz, że chytry książe w szczerość zaprosin uwierzył. Z pocztem rycerzy ku granicom czeskim wyjechał, do wojska polskiego się zbliża. A tam w Walgierzowym obozie wojska się podwoiły: tłum rycerzy i władyków czeskich się zgromadził o pomstę wołając, kary na mordercę się domagając. Osierocone wdowy mężobójcę przeklinają, dzieci, którym Rudy książę ojców wymordował, do krwawej zemsty żołnierzy nawołują.

Wjechał Bolesław na skalne zamczysko, nie przewidział podstępu, nie przeczuł chytry lis zdrady. Nie wie o tem, że ze wszech stron zamek otoczono, każdego wyjścia pilnują żołnierze ukryci, na każde drzwi oko ludzkie patrzy. Wszystkie drogi pilnowane, koryto górskiego potoka strzeżone, w wąwozach nawet leśnych zbrojni dniem i nocą stoją.

Ci, którzy na zamek, na pokoje księcia weszli, mieli w oczach przyjaźń i szczerość wielką. Lica ich kłamały miłość dla mordercy, piekło wściekłości, wrejące w duszach na ustach zjawiło się kwietnym deszczem pochlebnych słów. Byli oni jak ziemia, której brud i zgnilizna tęczę rozkosznych kwiatów wydaje, tęczą kwiatów się śmieje.

— W gościnę przyszliśmy do ciebie.

— Wczasu w twem dziedzictwie zażyć.

— Kielich wina z tobą władco wychylić.

— Wina chcecie?!— zawołał Bolesław Rudy. Klasnął w dłonie, służbę zamkową do siebie woła.

— Gędźby nam trzeba i wina.

Zaczęła się uczta, nie liczono kielichów, bez upamiętania, na umór pijąc. W górnych izbach zamczyska książę z rycerstwem ucztuje, na dole żołnierstwo wierne jego, z przybyłem wojskiem się brata...— —

Zapadała ciemna, ponura noc lutowa. Po mrozach i zawiejach ciepły, zaduszny jakiś zawiał wiatr, śnieg na strzechach taje, ześlizgnął się z mokrej strzechy ogromny bałwan śniegu i z głuchym łoskotem na pułap drewnianych, dolnych budynków spada. Gwiżdże wiatr, wyje huragan, że krokwie ściany trzeszczą, wpadła wichura do komina

jękiem chychotem zagrała...— —

Choć ludzie pijani, straszy ich ta ciemna noc, ta muzyka lutowej wichury. Goreją w izbach smolne kagańce, płoną głowy rozpalone winem, a przecie strach serca ima, jakby przeczucie nieszczęścia żre serce Bolesława, wszystkie jego zmysły niepokoi...

— Okropna noc.

— Słyszysz, jak wicher wyje?

— Powiesił się ktoś, całe piekło się po duszę wisielca zleciało, chmura szatanów mąci żywioły i burzy.

Świat chce obalić huragan.

Z dolnych izb co chwila krzyk jakiś słychać, jakby ktoś o pomoc wołał, urywane wrzaski, jakby głos czyjś dławiono, usta zatykano.

— Co tam się dzieje—pyta się Bolesław, kielich od ust odejmuiąc.

— Nic, nic, spokoją go ludzie, którzy dobrze wiedzą, że tam pachołków Bolesława w pęta wiążą.

— Wołania o pomoc słyszę.

— To wicher tak w kominie wyje.

— Rozruch jakiś i szczęk broni na dole.

— W gałęziach lip płacze rota szatanów.

— Przekonać się muszę.

— Uspokój się, panie.

— O ratunek żołnierz mój woła.

— Słuch cię łudzi.

— Puść mię!!

— Nie pójdziesz!!!

— Precz!! Zdradę i podstęp czuję!

— Na krok tych progów nie przejdziesz.

— Piekło!!! Co to??

Donośnem echem ozwał się na dole zamku głos rogu.

— Co to wszystko znaczy?!!

Na głos rogu zerwało się od stołów dwudziestu ludzi, żelaznym wieńcem Bolesława Rudego otaczając.

— Chcesz wiedzieć, co to znaczy?!

— Wy...

— Jesteś w mocy naszej, jesteś więźniem naszym.

— Ratunku!!! — wrzasnął Bolesław.

— Próżno ratunku i pomocy wołasz. Z naszych rąk sam szatan cię nie wyrwie.

— Żołnierze moi...

— Jako snopy żytnie związani pokotem leżą. Słyszałeś ten róg? To znak, że ani jeden z twych obrońców ręką, ni nogą nie władnie.

Zaiskrzyły się oczy Rudego księcia, dobył z rzemiennej pochwy miecza, aby się

na śmierć i życie bić, aby jeśli nie zwyciężyć, sprzedać przynajmniej drogo życię.

— Zapóźno.

Rzucili się na niego żołnierze, jako pająk muchę spowili, skrępowane ma Bolesław ręce i nogi, jako kłoda drzewa na ziemi leży...

— W więzieniu za twe zbrodnie pokutować będziesz.

— Żywcem cię w wieży zakopią.

— Chlebem i wodą długie lata żyć będziesz.

— Dożywotnią katuszą zapłacisz za twe zbrodnie.

Zawył krzykiem rozpaczy Bolesław, chce rozerwać pęta, choć wie, że ich przerwać nie jest zdolny, jako człowiek śmiertelnie chory, który ma nadzieję, choć wie, że już nie ma dla niego nadziei...

Tymczasem w dolnych izbach zamkowych wszczął się rozruch dziwny, krzyki straszliwe tysiąca ludzi słychać, wycie i wrzask tłumów rozdziera powietrze. Zdumieni żołnierze odskoczyli od spętanego człowieka, strach i pytanie w ich oczach...— —

Co się tam dzieje?

— Odsiecz Bolesławowi Rudemu?

— Pojąć zaprawdę nie mogę.

— Ktoś się z polskiem wojskiem bije.
— Słychać okrzyki rozpaczy.
— Boże! Czerń się do zamku wdarła!
— Żołnierze nasi napróżno wejścia bronią.
— Uległo polskie rycerstwo przemocy!

Tumult okropny zbliża się i rośnie, stu ludzi do górnych izb leci, wrze, motłoch krzyczy i wyje... Dopadli drzwi, w których ucztował Bolesław...

— Puszczaj!
— Ktoście wy?
— Otwórz!!!
— Nikomu wejść nie wolno! odpowiada polski żołnierz.
— Drzwi wywalim!!!

Posłyszał Bolesław Rudy głosy, które wrzały za drzwiami. Krew uciekła z lic, usta się strachem otwarły, jakby płucom brakło tchu. Zwrócił oczy swe do polaków, którzy ręce jego związali, ich, nieprzyjaciół, o pomoc przed nawałą prosi...— —

— Nie wydajcie mnie!!
— Oporem staniem!
— Ratujcie mnie z rąk tej tłuszczy!
— Ty drzysz?
— To mordercy moi! Słyszysz te wycia? Ulituj się! Ratuj!..— —

Przypadli rycerze do drzwi, ze wszystkich sił chwiejące się wierzeje wspierają, walczą z naporem tłumu ludzi...— —

Zarzegotały topory. Cios za ciosem modrzewiowe drzwi wali, huczy drzewo i trzeszczy, wnet odstrzeliła pierwsza trzaska, pierwszy otwór we drzwiach się zjawił, piekielne wycie przezeń do izb wpadło.

Runęły drzwi, runęła rzesza wściekłego motłochu, obalono żołnierzy, którzy swego jeńca zasłaniali, ćma ludu na Bolesława Rudego spadła, jako kruki i sępy.

Płacz, skowyt katowanego człowieka słychać. Jęk i łkanie...— —

— Ooo!..

— Kotłują się ludzkie ciała... Ręce, jak drapieżne szpony...

— Czyn straszny... Czyn okropny...— —

Rudemu księciu oczy wydarto...

. . . . . .

Krwawią się, strugą krwi płaczą puste oczów doły...— (*)

* * *

*) Kronikarze, którzy Bolesława pośrednim lub bezpośrednim sprawcą wyłupienia oczów Rudemu mienią, piszą o tej sprawie sprzecznie, niejasno i bałamutnie. Nasz Gall nie wspomina o tem w opisie panowania Chrobrego, nawiasowo dopiero mówiąc o Mieszku II podaje to, nie jako zdanie od siebie powiedziane wprost, lecz jako oskarżenie

A za pułkami Walgierza wielkie wojsko idzie, prowadzi je sam polski władyka, Bolesław.

Nikt oporem nie staje: „lud czeski wita go radośnie, jako oswobodziciela do Złotej Pragi wprowadza." (**) Piękna ziemia czeska z ziemią polską złączona, wielkim zamysłom mocarza zdaje się uśmiechać

---

czechów, których księcia „*rex Bolesłaus excecaverat.*" Autor, „Vita Henr." pisze „Wśród godów rycerstwo otoczyło czeskiego bazyliszka a ci (kto?) do takich skinień (do jakich?) przyuczeni (?) wywiedli okrutnika z komnaty, aby mu oczy wyłupić." Gdyby nienawidzący z całego serca Chrobrego niemiecki kronikarz napewne to wiedział, byłby nie oszczędzał Bolesława, lecz napisał wprost: Bolesław Rudemu oczy wyłupił. To co „*Vita Henr.*" mówi jest naciąganiem, podejrzeniem, wyglądającem na oszczerstwo. Zadziwia nas bardziej jeszcze relacya Thiethmara: *Huic junior Bolislalvus ilico consentiens ad condictum locum perrexit, caritativeque ab eo primo susceptus, in sequenti nocte erutis sibi* (tak! Bolesław Rudy sam sobie oczy wyłupił??!) *oculisne unquam* ect. Gdyby nawet wyraz „*sibi*" uważać za pomyłkę i naszego Bolesława o okaleczenie Rudego obwinić, to podkreślmy, że oszczerca Bolesława Chrobrego, Thiethmar nie korzysta z tej okazyi i pisząc o tem, Bolesława błotem nie obrzuca, natomiast o kilka wierszy niżej oburza się bez granic, że po zajęciu Pragi „jeszcze większa, niż zwykle, pycha ogarnęła zapamiętały umysł Chrobrego." Bo czynu takiego nie można oceniać miarą dzisiejszej etyki; przypomnijmy sobie tylko ohydną i zwierzęcą zbrodnię, jakiej na Mieszku II dopuścili się sąsiedzi... Gdyby z powodu wyłupienia oczów na naszym Bolesławie ciężyła jakakolwiek plama, to śmiertelni je-

szczęście, zbliża się czas, w którym stanie olbrzymim gmachem wielka planów Chrobrego budowa. Nie „większa niż zwykle pycha owładnęła zapamiętały jego umysł po wzroście ziemskiej potęgi," jak twierdzi niemiecki jego oszczerca, ale szczęście wielkie, że Bóg dziełu jego błogosławi, że zbliża się czas sprawiedliwości dla ujarzmionych i wydziedziczonych. Nie z rąk cesarza Bolesław władzę bierze, z łaski Bożej i mocy własnej objął panowanie nad szeroką słowiańską ziemią, nie do zwyrodniałych ościennych tyranów, lecz do Namiestnika Chrystusowego, do Rzymu śle posły po ziemską, królewską koronę...— —

* * *

Wieść, że Bolesław Czechy z Polską połączył, wieść, że na granicach Niemiec wielkie państwo rośnie, że rzeczpospolita słowiańska się wzmaga, pogłoski, że Bolesław Chrobry, nie pytając się o zdanie i zgodę niemieckiego cesarza, do papieża posłów wysyła, o zatwierdzenie swe-

go wrogowie, rzucający na niego oszczerstwa na każdym kroku, byliby niewątpliwie z tego skorzystali, Bolesława piętnując. Oni zapisują podejrzenia niejasno, bałamutnie, bez słowa uwagi.

**) „Vita Henr." Thiethm. V. 18.

go stanu posiadania, o królewską koronę prosząc,—napełniła żalem i zgrozą niesłychaną serce cesarza Henryka...— —

. . . . . .

Dostał cesarz napadu ciężkiej choroby, jął się kajać, że wszelkie nieszczęścia za jego grzechy Bóg na Niemcy zsyła. Pradziad jego i dziad na ciężkie kolki w boku cierpiał, w ojcu jego Henryku Kłótniku choroba się wzmogła. (*) Dziedziczna choroba nietylko nie ustępowała, ale z ojca na syna rosła, o przykrą boleść cesarza Niemiec przyprawiając. Gdy goniec z Pragi przybył o zwycięstwie Bolesława donosząc, z goryczy i żalu znowu kolka szkaradna cesarza chwyciła. Upośledzony na ciele, kulawy na nogę (**) chroma cesarz po złocistej komnacie, wlecze za sobą nogę, mokrą, konopną chustą, zbolały bok sobie okłada.

Zakołatał ktoś we drzwi, raz i drugi.

— Hej! Pachołku!

— Na rozkazy twe jestem wielki monarcho.

— Ktoś we drzwi wali.

— Mogęż go wpuścić?

— Zaraza go zaprawdę niesie, w chwili gdy mem ciałem ból kręci.

*) „Vita H." **) Tamże.

— Radziłem waszemu majestatowi bok kurzem zielem obłożyć.

— Kurzem zielem?

— Tak jest! Jadu żmijego raz na dzień zażyć.

— Idź do djabła. Leczże psy, nie ludzi.

— Tak wskazał znachor.

— Zażywałem wasze lekarstwo wczoraj; gębę mi wykrzywiło, myślałem, że me szczęki paraliż połamie.

— Co dzień trzeba zażywać.

— Wali ktoś we drzwi. Ogłuchłeś?

— Wpuścić?

— Zobacz co zacz.

Pacholik odsunął żelazne wrzeciądze... uchylił drzwi...

— Jego wielebność Thiethmar.

— On?! Mój drogi przyjaciel.—A chodźże, chodź.

— Na pokoje cesarskie wszedł biskup Thiethmar. Pochylił czoło ku ziemi i rzekł:

— Czołem przed twym majestatem uderzam.

* * *

Uczony domownik magrafa wschodniego, Thiethmar, po krótkich a przykrych doświadczeniach miłosnych, wnet poznał, że nie

jemu prowadzić świeckie życie, ubiegać się o marne rozkosze i przyjemności, jakie daje świat. Wzgardził ponętami niewiast i w sam dzień Wszystkich Świętych zapisanym został w poczet wikarych u Św. Maurycego w Dziewinie. Rozradowany nowem swem powołaniem, wydał ucztę, która dwa dni i dwie noce trwała (*) „a wszystkim bardzo się podobała." Ale wnet przestał się uśmiechać los, a na znakomitego uczonego przyszły straszne chwile. Już w następnym roku umarł mu ojciec Sygfryd. Chorował bardzo długo. Od czasu nieszczęśliwej bitwy pod Cydyną, w której polski Mieszko wraz ze swym bratem Czciborem zbili wojska cesarza, ciągła się ojca Thiethmarowego choroba. Dzięki swemu nadzwyczajnemu talentowi wojennemu, zdołał on wprawdzie wówczas z pola walki umknąć, uszedł jednak ze srodze okaleczałą nogą, w której

*) Ten i następne szczegóły z życia Thiethmara wypisane z jego własnej kroniki. Oszczerca Bolesława przyznaje się w swym pamiętniku do symonii i ciężkich przestępstw, nie tai się nawet z tem, że suknię kapłańską przyjął dla własnego interesu. Biskup merseburski Thiethmar w świetle własnej kroniki pełnej mimowolnego zapewne humoru jest antytezą jasnej, czystej, świetlanej postaci jaką był współczesny mu apostoł Prus, święty Wojciech, antytezą polskiego duchowieństwa, biskupa Radzyma i opata tynieckiego.

go wiecznie darł reumatyzm i wszelkie dyabelskie chimery. Przewidział swój skon na wiele lat. Gdy w r. 983 bawił w Kolonii, usłyszał we śnie głos: „Sygfrydzie obudź się i pamiętaj, że od dnia dzisiejszego niezawodnie za ośm lat umrzesz!" Proroctwo spełniło się co do godziny. Nieszczęście jako zwykle, taki teraz nie przyszło samo, lecz w parze. Oto trzej wujowie znakomitego uczonego, Henryk, Udo i Sygryf Thiethmarowie poszli na orężną wyprawę przeciw zbójom normandzkim, którzy ich włości pustoszyli. Poszli po śmierć i hańbę. Udon został ścięty, Sygfryd zaś i Henryk popadli w niewolę. Postanowił znakomity nasz wikary, poświęcić się za ukochanych stryjów, wdział na siebie strój świecki, wziął kostur w rękę i umyślił oddać się normanom na zakładnika, aby za cenę własnej niewoli, kupić wolność swych krewnych. Wybrał się w drogę, gdy doleciała uszu jego wieść, że jeden jego stryj umknął z więzienia, innym zaś jeńcom poodrzynali bezbożni normani nosy i wypędzili ich do domu. Przeraził się srodze Thiethmar i rzekł:

— Ja wolę do domu wracać z nosem.

„Odwiedziłem więc tylko dalekich krewnych w Stade i Hersefeld i wróciłem do

Dziewina." Nastąpiły przykre spory rodzinne o majątek ojcowski. Kłótnie o schedę oparły się o majestat cesarski, wreszcie wywalczył Thiethmar tyle, że przyznano mu połowę majątku, który należał do Thiethmarów, wśród włości zaś te, które rodzina jego lennem od klasztoru w Walbek dzierżyła. Chciał Thiethmar koniecznie zostać opatem tego bogatego i możnego klasztoru. Wpływ na mnichów miał stryj jego Sutar, przekupił go więc, dając mu wieś jednę. Gdy zaś z powodu zbrodni symonii gryzło go sumienie, postanowił uczynić zadość cnocie i uspokoić wzburzonego ducha. Nie złożył wprawdzie nabytej przekupstwem godności opata, za to w pergaminach swych w sposób uroczysty ostrzegł przyszłe pokolenia, aby z niego wzoru nie brały i w ten sposób do opactw nie dochodziły. (*)

Opatem Walbeku był lat siedm „a nie zachowywał się zbyt bogobojnie."

Szatan zesłał ciężkie i straszne na niego pokusy. Kajał się srodze Thiethmar, bolał nad słabością swego ducha, a jednak oprzeć się czarcim podszeptom nie mógł. Najsmutniejsze wspomnienie, najcięższy wyrzut sumienia! Gdy konająca bratowa prosiła

*) Prawdziwe—Chron. Th.

go, aby ją wspaniale za jej pieniądze pochował, opat Thiethmar, chcąc zaoszczędzić grosza na trumnę, kazał wyrzucić z trumny jednego z poprzedników swoich, opata Wiligiza, a w uzyskany w ten sposób sprzęt, bratowę swoją włożyć... Gdy otwarł trumnę zakonnika, zobaczył w jego rękach szczerozłoty kielich...—Błyszczy kosztowny kruszec, do oczów się śmieje... wabi...— — Jak się oprzeć pokusie było, jakże wzgardzić?

Podszept szatana zwyciężył, wziął Thiethmar złote naczynie i schował pod bekieszę...

Noc w noc chodzi opat Wiligiz bez kielicha w ręce i woła: „Ja to jestem, ja Wiligiz z twojej winy po świecie teraz się błąkam." (*)

Strach śmiertelny Thietmara przejmuje, żal za grzech czuje wielki, poprawę obiecuje i złe naprawić postanawia: kielicha wprawdzie nie oddał, pieniądze, usyskane ze sprzedaży, wgłąb kalety schował—w pergaminach za to zapisał kajanie się swoje, żal i ostrzeżenie dla potomnych pokoleń, aby tak jak on, cudzej własności sobie nie przyswajali...— —

* * *

*) „Chron." VI. 30.

Długo się cesarz Henryk namyślał, ciężką walkę ducha staczał, gdy arcybiskup Tagino gorąco mu Thiethmara na osierocone biskupstwo merseburskie polecał.

— Syn hrabiego Sygfryda jest gorliwy w wypełnianiu obowiązków i w obyczajach nienaganny—mówił arcybiskup Tagino.

— Znam go, znam—rzekł, niechętnie król.

— Czemuż więc wasza cesarska mość się wahasz?...

Namyślał się cesarz, coby przewielebnemu odpowiedzieć.

— Bo... widzisz... Thiethmar pochodzi z wysokiego rodu, przodkowie i krewni jego wielkiem męstwem wojennem się odznaczali, może wzgardzi tem, może pnie się do czegoś wyższego...

— Nie wzgardzi władco, ja wiem, że nie wzgardzi.

Uśmiechnął się Henryk złośliwie.

— A jednak ja...

— Tajemnicę jakąś monarcho ukrywasz?

— Nie inaczej. Mogęż z tobą najprzewielebniejszy mówić szczerze?

— Mów panie.

— U was Thiethmar za świątobliwego uchodzi... ja zaś inne zebrałem o nim wieści.

— Jakie?

W opactwie niezbożny prowadził żywot, sam na własne oczy widziałem jak przed pierwszym dzwonkiem wymykał się z klasztoru*)

— Ludzka to rzecz monarcho błądzić...

— Ucieszę się, jeśli zmienię moje zdanie.

Wnet też Henryk o Thiethmarze zdanie swoje zmienił. Po kilkakrotnej ze znakomitym uczonym rozmowie polubił go i przywiązał się do niego. Nieszczęście ludzi ze sobą łączy i wiąże, a i Henryka i Thiethmara prześladował ten sam przeklęty los. Obaj chorowici, obaj wiecznie kwękający, obaj wreszcie kulawi, z tą tylko różnicą, że Thiethmar na prawą, a Henryk na lewą nogę utykał. Spodobały się wreszcie cesarzowi dziwnie trzeźwe sądy o ludziach, jakie wygłaszał Thiethmar. Na nikim suchej nitki nie zostawił, o nikim dobrego słowa nie powiedział.

Pyta się go cesarz Henryk:

— Co mniemasz o wielkim księciu Włodzimierzu.

— To sodomski, sprośny lubieżnik.

— Bolesław polski...

— Lew ryczący i wyrodek.

*) Dyalog historyczny. „Mon, Pol.“ 232.

— Władywój zmarły brat jego?

— Opój i padalec jadowity.

— Węgierski Gejz?

— Okrutnik.

— Jego żona Adelajda, siostra Mieszkowa?

— Pijaczka zapalczywa.

— Mniemam, że zyskał twe względy dostojny książe duński, Kanut.

— On?! Ten pomiot jaszczurczy?!

— Był u nas niedawno opat tyniecki Zdzieszko...

— Tego lisa w mniszej sukni władco wspominasz?

— Wraz ze Stoigniewem.

— Tym łgarzem wiekuistym!

Otworzył cesarz Henryk szeroko usta i oczy.

— A cóż ty mój Thiethmarze o sobie mniemasz? Czemże ty jesteś?

— Wyrodkiem z nieczystego nasienia poczętym, który tarzał się w błocie jak niechlujny wieprz.*)

Ujęła cesarza ta pokora ducha, ten sąd surowy o sobie samym. Zabawiał go zresztą Thiethmar opowiadaniem ciekawych

*) Własne mniemania Thiethmara o współczesnych i sobie, zapisane w jego kronice.

wydarzeń, jakie sam na własne oczy widział, lub od wiarygodnych ludzi słyszał. Sny Thiethmar cesarzowi tłómaczyć umie, ciekawe historye o cielęciu z dwoma ogonami opowiada. Opowiada dziwy, że wszystkim, co do jednego, jego znajomym wyśniła się zawsze śmierć, prawi jakie proroctwa i przepowiednie otrzymywała od ludzi zmarłych jego rodzina. Wszak niedawno temu widziała siostra Brygida, jak umarli z grobu powstawali, prowadząc na cmentarzu o rzeczach strasznych ze sobą rozmowy. Poszła gromada z grobu powstałych ludzi do śpiącego proboszcza, z łóżkiem go wyrzucili, gdy zaś na drugą noc znowu spać poszedł, otwarli drzwi kościelne i przed ołtarzem go spalili.

— Sądzisz więc — zapytał cesarz — że umarli wstają?

— Tak jest w istocie.

— Widziałeś to?

— „Widziałem i zapisałem głównie dla nauki słowian, którzy mniemają, że ze śmiercią wszystko się kończy."*)

. . . . . .

Arcybiskup Tagino zaprowadził Thiethmara do kaplicy świętego Brunona, gdzie ce-

*) Thiethm. l. 7.

sarz na nich oczekiwał. Zaczął się przewielebny gotować do uroczystości, a Thiethmara przy boku królewskim zostawił. Zapytał jeszcze raz Henryk przytomnych, czy na wybór się zgadzają, widząc zaś potakiwanie jednozgodne, wręczył Thiethmarowi pastorał. Upadł merseburski dostojnik na kolana, uderzono we wszystkie dzwony, a śpiewak kościelny zaczął pieśń: *Venite benedicti patris mei.* Czcigodny pasterz wspaniałą ucztę wtedy wyprawił, poczem przez biskupa hawelberskiego Eryka na tron pasterski w Merseburgu został wprowadzonym.*)

* * *

Zaczem powiernikiem stał się i przyjacielem cesarza Henryka. Zwłaszcza w sprawach polskich prawą mu był ręką, Thiethmar bowiem po polsku dobrze umiał, czego dowody w pilnie spisywanych swych kronikach zostawił. Dziś choć cesarz chory, mile biskupa wita, sam go do siebie zawołał, aby o ważnych sprawach państwa go zawiadomić.

— Zawezwałeś mię, władco?

— Potrzebuję cię w tak ciężkiej chwili.

*) Tamże.

— Ciężka ona zaprawdę. Bolesław Pragę zdobył.

— Nie mów o tem, biskupie. Gdy to słyszę, kolka na nowo mię chwyta.

— Do papieża posłów po koronę posyła.

— W tej sprawie mówić dziś będziemy.

— Mówmy, wielki władco.

— Nie teraz. Nie. Pilniejsza rzecz inna...

— Słucham cię, monarcho.

— Ty wiesz, że pragnieniem mojem jest założyć biskupstwo bamberskie.

— Jako mróz roślinie zakwitnąć nie każe, tak ludzie na to nigdy się nie zgodzą.

— Wiem, wiem, wszyscy biskupi są temu przeciwni.

— Na uszczuplenie swych dyecezyi nie przystaną.

— Mówiłeś z nimi?

— Tak jest. Wszyscy są w sali obrad zebrani. Czekają na ciebie władco niecierpliwie.

— Straszna wieść z Pragi i ciężka choroba me kroki wstrzymała.

— Przecież chodź, królu...

— Idźże ty Thiethmarze, bądź orędownikiem i obrońcą sprawy mojej. Chcę zostawić trwały i wieczny pomnik po sobie na ziemi, chcę postawić przy biskupstwie

w Bambergu kościół, jakiego ludzkie oczy nie widziały. Cały swój majątek na to włożę. Aby wielki mój czyn w życie wprowadzić, potrzebuję jednego ich słowa: zgody.

— Daremniebym język swój na pokonanie oporu łamał.

— Nie zgodzą się?

— Wymowa moja ani jednej duszy nie przekona, ani jednego głosu nie zdobędzie.

— Cóż czynić?

— Zaniechać myśli o założeniu bamberskiego biskupstwa.

Zamyślił się cesarz, na smagłej twarzy smutek zrazu widać, rozchyliły się wnet usta, uśmiechem dziwnym, zwilgotniały oczy...— —

— Ja ich przekonam—rzekł Henryk.

— Nigdy.

— Przekonam ich, upór ich złamię.

— Czem?

— Pokorą.—Chodź przed synod ze mną Thiethmarze, chodź.

* * *

Wielka izba kapituły w złote mozaiki strojna, obrazy świętych, wizerunki cesarzy i biskupów z błyszczących ścian patrzą. Naprzeciw wejścia trony dla arcybiskupów

wzniesiono, poniżej biskupi w pontyfikalnych szatach i kapelani ich siedzą. A przed każdym cudnie malowana księga praw kościelnych, przy każdej księdze dwie woskowe świece goreją...— —

Otwarły się wierzeje, służba cesarza wchodzi, miecznik błyszczący miecz państwa niesie, kanclerz berło dierży i jabłko ze złota, obraz władzy nad światem. Zatrzymał się orszak przy drzwiach, miejsce dla władcy Niemiec czyni, wszedł w złotym płaszczu Henryk, powstaniem, ukłonem pełnym czci przez obecnych powitany. Idzie kulawym krokiem ku tronom monarcha, na środku sali się zatrzymał, powiódł okiem po zgromadzonym synodzie, ukląkł, pochylił się, czołem o ziemię uderza. Wyciągnął nogi, rozkrzyżował ramiona, krzyżem przed biskupami leży...— —

Szmer poleciał po sali.

— Modli się król królów...— —

Czekali zebrani, aż cesarz ukończy swe modlitwy, nikt nie chce aktu skruchy przerywać, długo cisza salę zalegała, gdy zaś cesarz nie wstaje, zaniepokojenie zjawiło się na twarzach, szept dziwny leci po sali.

— Zachorował.

— Może zemdlał.

— Przybiegł do mocarza biskup frankfurcki, ujął cesarza za ramiona, dźwiga go w górę...

— Płaczesz, najmiłościwszy panie.

— Niechże łzy moje zmiękczą wasze serca...— —

— Czego żądasz od nas?

— Łaski!

— Ty panie? I tobież to o łaskę nas prosić!?

— Litości waszej wołam i łaski...

— Mów!

— Chcę założyć biskupstwo w Bambergu.

Pomruk przez izbę przeleciał, pomruk niechęci i odmowy słychać.

— To być nie może.

— To uszczupla nasze dochody wołają biskupi.

— Bamberg klinem w nasze włości się wbije.

— Niepotrzebna zaiste nowość.

— Krzywda dla nas...— —

— Zgadzacie się?—zapytał cesarz.

— Nigdy!

— Za żadną cenę się nie zgodzimy!!

Jako kłos pszeniczny, podcięty, upadł cesarz Henryk znowu na ziemię, krzyżem przed arcybiskupem leży, płacze i płacze... — —

Popłoch wśród synodu i przerażenie panuje.

— On chory.

— Płacz go w gardle dławi...

— Kurczy jego ciałem...

— Podnieście go!

Otoczyli cesarza najprzewielebniejsi i podnieśli ze ziemi.

— Uspokój się.

— Niechże oschną twe łzy.

— Przestań płakać.

— Nie przestanę.

— Czemu?

— Bo duszy waszej nie zmiękczyły moje łzy.

— Żądasz od nas rzeczy niesłychanej.

— Dlaczego niesłychanej?

— Pytasz się? Ty opacie merseburski bądź rzecznikiem naszej sprawy, ty powiedz królowi królów, czemu jego woli zadość się nie stanie...— —

Jął opat wyłuszczać cesarzowi wszelkie przeciwieństwa i przeszkody, nie słyszy go już władca, który u stóp jego leży na ziemi...— —

— Powstań cesarzu!

— Zmień twoje zdanie...— —

— Nie płacz.

— Zmień twoje zdanie...— —

— Biskupstwa założyć nie można.

— Zmień twoje zdanie.

Przemawiał do cesarza arcybiskup Kolonii i Trewiru, biskup Eid myszneński, opaci z Akwisgranu i Bazylei.

Leży cesarz na ziemi i każdemu w odpowiedzi łka:

— Zmień twoje zdanie.

Jeszcze go raz przemocą księża z ziemi podźwignęli, najwymowniejszy ze wszystkich duchownych, kapelan biskupa wircburskiego do serca cesarza przemawia, przeciw zamiarom monarchy występuje — wyrwał się Henryk z rąk arcybiskupów, rzucił się przed nimi na ziemię, że głowa jego o marmury zadzwoniła...

— Zmień twoje zdanie. (*)

Łzami krwawemi, płaczem serdecznym zmiękczył serca kapituły, zgodzili się arcybiskupi na spełnienie woli cesarza. Henryk Kulawy ostatni wór złota mistrzom budowniczym ze skarbca wydać każe, kościół w Bambergu funduje, pobożnych kapłanów do zamku cesarskiego w gościnę zaprasza...— —

. . . . . .

*) Scena historyczna. Thiet. VI 23.

Jasnowłose pacholęta już trzeci raz srebrne miski zmieniały, cesarz Henryk, dla ukojenia dawnego płaczu i osuszenia wylanych łez, gęsto dno kielicha oglądał. Pocieszył się już i rozweselił, bo czy to skutkiem radości, czy sutej ilości trunku, kolka go dręczyć przestała,—gdy wszedł na pokoje zbrojny i Thiethmara na dworzec wywołał. Kilka pacierzy minęło, wrócił Thiethmar, do ucha Henrykowi słów kilka szepnął, obaj biesiadę opuścili, idąc do rycerskiej izby, gdzie na nich czekał Bernard Saski.

. . . . . .

— Wielkie skarby Bolesław do Rzymu przesyła, składając papieżowi hołd i dań.

— Pieniądze mówisz?!

— Listy tajemne...

— Któż posłem?

— Uczniowie Romualda.

— Gdzież są listy i pieniądze?

— W eremie kazimierzowskiej puszczy, w ręce zakonników je złożono.

— Ci zaś...

— Mnich Barnaba do stolicy świętej o koronę dla Bolesława prośbę zaniesie.

— Skąd wiesz o tem?

— Ja wszystko wiem — rzekł Bernard

Saski. W kwietnią niedzielę mnich do Rzymu ruszy...

— Stać się to nie może. Na granicy państwa wróg nasz mocnieje i rośnie. Jeśli zuchwały zaborca zdobędzie łaskę Rzymu...

— Bądź spokojny, miłościwy panie—rzekł Bernard Saski.

— Otuchy mi dodajesz?

— Tak jest. Wszystko przewidziałem, wszystko uczyniłem.

— O cóż więc chodzi?

— O przyzwolenie twe monarcho, o zapewnienie, że to, co uczynię, z twej woli uczynię.

— Czyń zatem, co trzeba.

— Zetrę wrogie zamysły pychy.

— Uczyń to!

* * *

W puszczy kazimierzowskiej nad brzegiem potoka śpiew cichy słychać, z szelestem fali głos wdal płynie, kłokot roztajałych wód wesołą pieśń o wiośnie opowiada, ludzki głos płaczem gra i żałobą. Wiosna, radośnie w puszczy ptaki świegocą, a pustelnicy, którzy nad potokiem klęczą, śpiewają pieśń smutku, grobu i żałoby. Oni zaparli się wesela, ani jednej myśli nie

oddadzą doczesnemu życiu, dusza za grób leci, za grobem pałace szczęścia buduje, nadzieje, marzenia ich zaczynają się od chwili, której na imię: skon. Gdy smutną pieśń *ad vesperum* odśpiewano, rozmyślają pustelnicy o sprawach, które strachem i zgrozą jestestwo ludzkie przejmują.— —

— O poczwarkę marną troszczy się człowiek.

— O lichy byt wstrętnego potwora...——

— Boi się chwili, gdy z obrzydliwej powłoki wyleci motyl...

— Wydać motyla, to poczwarki przeznaczenie i cel...

— Strachem ich przemiana napawa...——

— Radować się powinni na myśl o chwili, gdy wyleci motyl...— —

— Na zakwitłą łąkę poleci...— —

— Z wiatrem wonnym bujać będzie.

— Od kwiatu do kwiatu popłynie.

— Boją się narodzin motyla...

— Ćmy marne, ćmy!

— Wszak ćma słonecznego światła nie widzi! Ślepą jest w dzień. Do słońca nie poleci...— —

— Leci do świecy...

— Do światła! Do światła leci rój nocnych ciem. Dusze pragnieniem światła żyją,

światło to ich cel. I zobaczą każdą świecę i zobaczą każdy cuchnący kaganek. To ich światło. A żadna ćma do jasności dziennej nie leci, do oczywistego morza światła, które płonie w dzień.

— Wielkiej, oczywistej prawdy nie widzą, nie uznają, lecą w śmiertelny zaduch swych marnych światełek...— —

— Wpadła ćma w kałużę kagańca i woła: zdobyłam światło, Boga nie masz!

— Zwątpienie ludzkie! Przebudź się ślepa ćmo, otwórz ślepie, bądź zdolną zobaczyć oczywistą jasność dnia.

— Patrz na ziemię....— — — Skrzydlate nasienie bukwi wpadło do ziemi...

— Ćmo ślepa! Czy widzisz?! Oto bukiew wpadła do grobu! Oto nasienie leży w grobie...— —

— Radujże się ślepa ćmo na grób...——

— Marne istnienie nasionka, w grobie prawdziwe życie zaczęło. Oto zielona igliczka w górę strzela, ku niebu rośnie; olbrzymie, fantastyczne istnienie od grobu się poczęło...

— Co było przed grobem, to plugawa marność życia, lichota i ohyda.

— Od mędrkowań ślepej ćmy zachowaj nas Panie.

— Zasiej nas w grób Panie!

— Niechże zejdzie z mogiły wspaniałe istnienie.

— Wyzuj nas z ohydnego trupa poczwarki.

— Z mogił naszych fantastyczne jestestwo wstanie.

— Nie pięć, ale sto zmysłów dasz barwnemu motylowi...— — —

— Raj twój zobaczy, w zapachach kwietnego wiatru płynąć będzie.

— Ujrzy Cię spłakana ludzka dusza.

— Przebacz Panie tym, którzy przeklinają i przeczą...— —

— Ćmy! Biedne, ćmy!

— One ślepe na oczywistą jasność dnia.

Noc już późna, modły skończone, pustelnicy upadli na zeschłem liściem wyścielone łoża. W wilgotnej jaskini cisza ogromna, słychać plusk kropli wody, które ze sklepienia jamy cieką, w głębi huczy potok, który podmył skały i na końcu jaskini jasny otwór wyżłobił. Wydra chyba przezeń przejść może, bo płynąca woda wyjście zakrywa, gąszcz leszczyn wązki otwór girlandami zielonych chabin zasłania. Tam, przy trzęsawisku, ma łoże mnich Barnabasz, tam nad kupą suchego listowia jest w caliźnie skalnej głęboka roz-

padlina, której nawet z pochodnią w ręku końca nie ujrzysz, krzywizn i załomów nie zbadasz. W jamę ogromną schował Barnabasz dany mu przez króla Bolesława skarbiec, wręczone mu przez polskich biskupów listy, w tajemnicy, której nawet w obliczu śmierci wydać nie wolno. W drogę się widać mnich wybiera. Oto nowo ustrugane sandały lipowe przy łożu, leszczynowy kij z końca w kabłąk zakrzywiony, węzełek na ziemi leży, w którym jest chleb suchy i przaśny, z barci leśnej wydobyty miód.

Sześciu ludzi zasnęło twardo...

. . . . . .

Każdego z wychudłych mnichów żelazne ręce trzymają jak kleszcze, ramiona i nogi spowijają w powrozy.

Skrępowany Barnabasz łykiem, ma na plecach łokcie związane. Jako ścięte chojaki sosnowe siedmiu zakonników zbójce przed jaskinię wynoszą, śmiechem tryumfu się dławią, wschodzące słońce w stali ich mieczów jaskrawie się świeci.

— Gdzie schowałeś listy Bolesława?!

— Nie wiem.

— Gdzie jest skarbiec Bolesława?—pyta się zbójca.

— Nie wiem.
— Mów, bo czeka cię śmierć.
— Nie wiem.
Żołnierz podniósł miecz w górę!
— Zginiesz!
— Zabij.
Spadło żelazo na głowę pustelnika, tępo i głucho zahuczała czaszka, na żelazie zjawiła się krew.

A nad potokiem drugi zakonnik z rozbitą toporem piersią kona. Z wychudłej, nędznej piersi strugą krew płynie, zabarwił się ponik, jakby makiem polnym i różą jego wody spłynęły, cierpi strasznie, śmiertelnie ranny człowiek, a przecie usta nie ból krzywi, lecz radosny uśmiech rozchyla...——
— Moty!!!! Motyl w przestrzenie poleci! Wolny motyl!
Wszystka krew z ciała ucieka, wargi sinieją i niebieszczeją, stracił zmysły człowiek, a te sine usta szepcą radośnie:
— Jasność... Jasność... Po kwietnej łące leci...
Zakonnik umarł.
Gdy zbrodniarz włócznią przebił pustelnika trzeciego, zahuczał głos dowódcy:
— Wara!!
— Życie im darujesz?

— Śmierć ich klęską naszą.

— Czemu?

— Bo gdy zgonem zmilkną ich usta, w grób pójdzie tajemnica, gdzie listy ukryte. One mają większy od pieniędzy skarb: tajemnice zamysłów króla Bolesława...— —

— Co zamierzasz czynić?

— Na ogniu mówić będą.

— Gdzie jest schowany skarbiec wyśpiewają.

— Pod rozpalonem żelazem wypaple mnich, co zamierza czynić ten gad jadowity, polski król...— —

— Odstąpcie!

Dziesięciu ludzi cofnęło się od trupów i od żyjących, którzy związani, leżeli jak trupy.

— Ogień rozpalić!

Wnet w sośninie nazbierano suchych gałęzi, żołdak za żołdakiem pełne ramiączko paliwa niesie, stos wielki około wejścia do pieczary układają, skrzesał zbójca ognia, w suche iglice z wydętych lic dmucha. Modry dym buchnął, złotem zaświecił się ogień, trzeszczy sośnina, ogień rośnie, objął wnet stos, pochodnią wielką płonie, jeden z morderców ciągłem dokładaniem suchych gałęzi żar syci i wznieca.

— Dalej z nim!

— Którego brać mamy?

— Pierwszego z brzegu.

Chwycił żołnierz pod wykręcone ramiona Barnabę i na miejsce męki wlecze...——

— Chodź, wywłoko marna. Chodź!

— Puść go!

— Czemu?

— Skóra i kości. Ten ma więcej ciała, prędzej ból odczuje...

Przy ogniu położono księdza Krystyna. W zarzewie wsadzono obuch, do białości rozpalono żelazo, dymi się, metal świeci jasno, jakby bielą światła słonecznego stal płonęła. Chciał ująć zbójca rękojeść broni, nawet zimna część obucha parzy ręce i pali. W konopną szmatę i leszczynową zieleń naręcze żelaza spowito, do ciała pustelnika morderca straszne narzędzie przykłada...— —

— Mów.

Mówi zakonnik...

— Jako jeleń źródeł wodnych, tak pragnie dusza moja Ciebie Boże...— —

— Wydaj listy Bolesława! Gdzie jest skarbiec?

— Pragnęła dusza moja Boga mocnego, żywego...— —

— Co on mówi?

— Psalmy Dawidowe śpiewa...

— Przypiecz...

Skoczył morderca, na nowo obuch rozpalony, pali,—żar przepalił skórę, żelazo przeżarło oponę brzucha, do wnętrza ciała, do trzew łacno już lezie...— —

— Wyznaj.

— Były mi łzy moje za chleb we dnie i w nocy, gdy mi mówią: Kędyż to jest Bóg twój...— — —

— Powiedz wszystko...

Nie mówi nic.

— Zemdlał.

— Przytomność stracił.

— Kona.

— Tamten mówi. Tamten!

Lecą żołnierze na drugą stronę ognia, gdzie uczeń i poseł świętego Romualda, ksiądz Benedykt straszliwe przecierpiał męki. Drzazgi wbijali żołnierze cesarscy za paznogcie, łaskotali pod pięty i pazuchy, żelazem ciało szarpią, ogniem boki pieką. A straszliwy, nieopisany ból, ciałem kręci, mięso ludzkie syczy i zapach pieczonej świeżyzny roznosi... Patrzą na zakonnika...

Pojąć, zrozumieć mordercy nie mogą...

Usta jego łapią powietrze, szepcą, straszną męczarnią urywane słowa:

— Nasienie w grób...

— Co ty mówisz?

— Wschodzi! Wschodzi! Nieopisanej urody kwiat wschodzi...

* * *

A przez puszczę, brzegiem potoka, szedł do eremu szybkim krokiem zbrojny rycerz. Pilno mu snać było, w ważnej sprawie przybywa, kamienie przeskakuje, gdy trzeba drogę skrócić, szybkim krokiem w bród wody leci. Zmęczył się olbrzymi człowiek, pod górę iść trzeba, zwolnił kroku, pot z czoła płynie, płucami, jako kowal miechem ciężko robi. Jest to poseł królewski, Stoigniew. Przez szczere, poczciwe oczy, szczerą i poczciwą duszę widać, usta tylko dziwnie się śmieją, jakby w tych wąsiskach mieszkały drwiny, jakby na tych wiśniowych wargach były gotowe słowa: w świat im lecieć, uczciwego przekonać, łotra okłamać, wydrwić i wyprowadzić w pole.

Przyspieszył kroku Stoigniew, łąką zieloną idzie, skały eremu już widać, wszedł w gąszcz olsz, które nad potokiem, koło

jaskini rosły.., Już ma wpaść, Boga pochwalić, szczerze się zaśmiać, gdy...—. —

Uciekł z jego ust śmiech, karmazyn zbladł. Zatrzymał się w gąszczu, przez gałęzie widzi okropną zbrodnię...

— Boże wielki...—

Krok przed nim klęczy mnich Barnaba.

— Co to?—zaszeptał Stoigniew.

— Rabusie cesarscy, szepce Barnaba.

— Wydaliście listy?

— Nie.

Rzekł Stoigniew:

— Uchodź!!

— Kiedy więzy w ciało się wpijają.

Cięciem stali rozleciały się powrozy i łyka, Barnabasz wpadł do jaskini... Z gąszcz olszyn wyszedł Stoigniew, bystro na morderców patrzy, jakby ich okiem rachował. Wszyscy około konającego Benedykta zgromadzeni: w mękę jego wpatrzeni...

W dwóch kocich skokach karmazyn spadł na nich, ciężkie żelazo podniósł w górę, spuścił je z mocą straszliwą; jak runęło na środek łba, tak zatrzymało się niemocne dopiero na piątem ziobrze. Na ziemi krwawił się wódz nikczemnej bandy...

Rozskoczyła się na wszystkie strony gro-

mada, otwarte usta, otwarte oczy na Stoigniewa patrzą, osłupieli zbójcy...— —

— Cóżeś tak ślepie wytrzeszczył, byku jeden z drugim?!!

I spadł Stoigniew jak piorun na żołnierza, łeb mieczem mu rozwalił, na drugiego ma zlecieć, gdy przyszła do zmysłów zbójecka banda. Bronił dobyli, kilkunastu ludzi na Stoigniewa spada. Zmiarkował wnet karmazyn, że nie czas bić się z nimi, że wejścia do jamy bronić trzeba, choćby przyszło paść... — —

— Tam Kamaba...

Uciekł przed nawałą, w wylocie jaskini stanął, zwrócił się do pościgu, szyderczym śmiechem z gardła ich powitał...

— Chodźże dziadu, woła na żołnierza, chodź wywłoko, chodź...— —

Bezpiecznym był w gardle otchłani, tam tylko jeden pachołek bić się z nim i nacierać może. Ale gardzi Stoigniew bezpieczeństwem, ochota w nim straszna, wesołość jakaś okrutna... — — wsród bitki wypadł, wleciał w gromadę, jednego zbójcę powalił, zdyszał się nieco zamachem, cofa się znowu do jaskini, na resztę cesarskich morderców czeka...— —

— Boisz się?!—woła na pachołka.—

— Zginiesz!!

— Na mieczach cię rozniesiem! — woła otyły jakiś oprawca.

— Bywaj tu! Puszczę ci z brzucha krew!

Puszczę ci z brzucha parę!!

— Coś ty za jeden?

— Chcesz wiedzieć?! Stoigniewem, grabią i comesem cesarstwa rzymskiego jestem! Rozumiesz, psi pomiocie?

Zdumienie niezmierne...

— Ty?!

— Ja! Nie poznajesz tego durniu po dostojności mojego oblicza?;

Znowu do zmysłów doszła gromada.

— To łotr!

— Zabić go!

— Naprzód!!

Gromada lawiną na karmazyna leci—zasłonił się mieczem Stoigniew, kto wejdzie w szyję jamy, cofa się z otwartą piersią lub skaleczonym łbem. Wściekłość i zażartość zapala serca morderców, krew się gotuje, a jednak wstecz iść trzeba, w tym strasznym przesmyku wyrąbie ich olbrzym do jednego... tam króluje hańba i śmierć...— —

Wieńcem mieczów wchód do pieczary zamknęli—i jest ta jaskinia jako okropna żmija otwartą paszczą na żołnierstwo patrząca. Zatratą i śmiercią grozi łeb: oto wysunęło się z paszczy żmijej jadowite, błyszczące żądło, w brzuch żołnierza wpadło, oponę rozpruło, sypią się z brzucha trzewia, zbójca w strasznych mękach bólem skomli, wije się i ginie...— —

Rzucił żołnierz miecz, po włócznię leci. Niczem wobec niej żelazny Stoigniewa brzeszczot, sześć oszczepów w paszczę żmii wbiega, cofa się Stoigniew, szabliskiem w drzewca rąbie...

Obejrzał się w ciemną czeluść, wzrok wytężył. Śmiech radosny...

— Barnaba uszedł.

W obliczu śmierci zaśmiał się Stoigniew, rozradowało się serce wielkiego rycerza, ochoty snać nabrał do bitki, chce z jeżem włóczni się rąbać... Ale musiał porzucić zamiar. Ciasna szyja, rozmachu wziąć nie można...

— Jako robactwo was wygniotę!!!—wrzasnął,—piorunem przebiegł jaskinię, w wodę runął, przez duszną cieśninę się przeplózł, w olchy wleciał. Z leszczyn wybiegł na pagórek, w dal patrzy, wzrok wytęża...— —

. . . . . .

U stóp jego dalekie koryto rzeki wikliną zasłane, za wiklinami bór czarny. Przysłonił Stoigniew ręką oczy, bystro w dolinę patrzy, wzrok sokoli lata po świecie i szuka.

Znalazł...

— Jest, jest!

Oto przez gąszcz wiklin czarny habit leci, jako wydra nad potokiem się snuje, przeleciał potok, znowu caliznę szarych wiklin burzy, wleciał w bór...— —

Odetchnął Stoigniew głęboko...

— Ocalony.

Zwrócił się teraz do potoka, który podmywał upławy jaskini.

— Wnet wpadną na trop, przyjdą...

Ujął głownię miecza, taśmy rzemienne poprawia, rękę pręży i prostuje, aby po niej rozeszła się krew, piersi zdyszane spokoi, pina, bystrym wzrokiem na stok góry patrzy.

— Nim ze mną skończą, Barnabasz pół mili uleci. W puszczy przepadnie... — —

Zjawił się wreszcie żołnierz, który przebrnął przez czeluść wodną, reszta obiegła dookoła górę, ujrzeli wroga, po upłazach brzegu na Stoigniewa lecą. Sił im dodaje rozlana krew braci, w ramionach moc olbrzyma, w duszach straszna zemsta i gniew. Nie poje-

dynkiem na karmazyna idą, nie głupi żołnierz iść na pewną śmierć, zebrali się w grono, wspólnemi siłami napadają, razem pomsta ich na straszliwego męża niesie. Wie Stoigniew że zginie, jedno westchnienie ku niebu poleciało, jedno — a gdy gorejące serce rachunek z Bogiem skończyło, zimny rozum rządzi krwią...— —

— Długo zabawić ich muszę...— —

Świsnął miecz w powietrzu, jak wicher na żądła włóczni leci, przecina drzewco, strąca z zagłobień żelazo.

— Chciałem wam zrobić łaskę.

— Łaskę?!

— No, darować wam życie, psy!

— Psy cię pożrą.

— Za moją łaskę napadać mię śmiecie?

— Śmierć mu! Śmierć!!

Nie walka to zaiste, ale obława i gonitwa. Jako dzik osaczony w jarze ogarom się ogania, który się zbliży, temu białymi kłami, zniszczeniem i śmiercią grozi, tak Stoigniew błyskawicznymi ruchami miecza się ratuje, nie po to, aby ocalić życie, lecz walkę przedłużyć...

Gdy natrze na jednego niemca dwóch na niego z tyłu spada, zwrócił się wstecz na napastników, z tyłu wpada człowiek jako

rozjuszony pies, aby go zabić. Odegnał i tego, krwawem okiem zbliżającą się śmierć wita. Jeden z żołnierzy cesarskich mieczem go w pierś ciężko ranił, krew w karmazynie zawrzała, nie mógł dopaść uciekającego krzywdziciela, dał folgę taśmom, które miecz z ręką łączyły, rzucił w dal straszliwem żelazem, kości łotrowi zdruzgotał...

Leci za mieczem, porwał go, wraca, goni, leci, — ujął żołnierz procę, zaświszczał kamień, pocisk w sam łeb Stoigniewa uderzył, zaćmił się w oczach świat, mgły i iskry przed źrenicami latają, wpadło na oślepionego człowieka dwóch cesarskich rycerzy, obuchem go jeden w piersi wali, drugi rozpłatał mieczem łeb...— —

* * *

Wnet zmiarkowano, że Barnabasz z listami królewskimi, ze skarbcem, który Bolesław dla świętego Piotra złożył, zemknął, zasłonięty straszliwym mieczem Stoigniewa. Polecieli żołnierze w lasy, ślad przepadł za Barnabą, goniec do cesarza przyniósł wieść, że Barnaba do Włoch śpieszy...— —

— Wymordowaliśmy sześciu, Barnabasz uciekł.

— Trzeba było — rzekł cesarz, Barnabasza najprzód zamordować.

— Lasami przez Niemcy leci.

— Do grojców i miast konnych posłać trzeba. Niechże pilnują dróg, niech szpiegów rozpuszczą.

— Próżna i marna robota.

— Barnabasz puszczą podszytą ucieknie.

— Mnie się nie wymknie! — rzekł jeden z margrafów.

— Tobie? Co zamierzasz czynić?

— Przesmyki w Alpach osadzę.

— To myśl! To rozum! To mądra zaprawdę głowa.

. . . . . .

W przesmyku Brenner kilku zbrojnych ludzi w szałasie siedzi, szałas ukryty w zieloniutkiej gęstwinie limb, modry jak chaber dym tylko zdradza, że tam wśród skalisk ukrywa się człowiek. Żołnierz wraca do szałasu, przez kark ogromne cielsko upolowanego koziorożca zarzucił, złupili ze zwierzęcia zbrojni skórę, lędźwie odrzynają, gałęzie kosodrzewiny na ognisko dorzucają. Buchnął wonny, rozkoszny dym, udziec na żelazo zawdziali, mięso pieką, do uczty się gotują. A jeden z knechtów na urwisku

turni siedzi, skrył się za samoród, patrzy na przesmyk pilnie i patrzy...— —

Co pół dnia strażnik się zmienia, w nocy dwóch ludzi drożyny wązkiej pilnuje. Przesmykiem alpejskim musi iść każdy, kto się chce dostać do Włoch. Prowadzi do Rzymu droga przez turnie, ale tam w lodowcach, w urwiskach i przepaściach króluje śmierć...— —

Kilkanaście dni pilnują, wreszcie raz o północy zbudził tabor pachołek, wołając:

— Jest, jest!

Porwali się cesarscy słudzy z posłań, nad brzeg poniku lecą, żołnierz ich prowadzi...— —

. . . . . .

Sześciu ludzi na Barnabę spadło, zbójca uderzył go kijem w głowę, krew oblała ciężkie zawiniątko, które szeleściało monetą złotą. Rozerwali oprawcy worek... — —

— Złoto! Niezmierny skarb!

— Przez konopne płótno przesiąkła krew po dukatach płynie...

— Listów nie widzę.

— Pismo daj!

Rzucili się na zakonnika, targają jego szaty, mnie i maca żołnierz habit...

— Jest! Zaszyte w obdartej sukni...

— Wyrwij.

Mieczem suknie rozcięto. Z podszewki księżego habitu dwa pergaminy wydobyto, gęstem pismem zapisane.

— Bolesław pisze do papieża...— —

— Przeczytaj.

— Nie umiem czytać.

— Ani ja.

— Ani ja.

— Na dworzę cesarskim odczytają.

— Tam jest takie zbiorowisko mądrych głów, że co piąty człowiek czytać umie.

— Czasem zjawi się nawet taki, który umie pisać.

— Wracajmy.

— W nocy?

— Taki rozkaz.

Zawiązano księdzu postronek na szyję, pędzi go przed sobą zbójecka gromada. Gdy ksiądz Barnabasz, z którego głowy cieknie krew, zesłabnie i iść nie może, biją go kijem jak psa...— —

Do cesarza przyprowadzili pachołkowie jeńca, oddali mu dwie zapisane skóry i pół worka złota.

— Witajcie ukochane dzieci moje — zawołał cesarz.

— Jeńca wiedziem.

— Dziękuję wam najmilsi, poczciwi ludzie.

— Oto skarbiec Bolesława.

— Przezacne, szlachetne serca wasze.

— Pismo jego.

— Poczciwość wasza na wieki podbiła duszę moją.

— Możemyż odejść?

— Czekajcie przezacni bracia. Sakwa niepełna...

— Taka była.

— Tak biały gołąbku? Hej! Hola! Oszczepnicy!

— Na rozkazy twe jesteśmy, cesarzu.

— Przetrząście suknie tych poczciwców, zaglądnijcie im w kieszenie.

Rzucili się zbrojni na przybyłych z Alp pachołków, przemocą ich rozbierają, z kieszeń i zaszywek garście złotych pieniędzy wydobywają. Gdy już wszyscy byli bez grosza, rzekł do nich cesarz:

— Teraz już możecie iść, moi przezacni, poczciwi ludzie.

Kazał Henryk Barnabę wrzucić do ciemnego lochu (*) rozradował się wielce, że przeczytawszy listy wdarł się w tajemnice Bolesława, poznał zgubne jego dla cesarstwa zamysły, zdobył wreszcie złoty jego skarb.

*) „Vita S. Romualdi."

— Thiethmarze! Thiethmarze!

— Rozkazuj panie mój.

— Widzisz to złoto?!

— Rzetelna, niefałszowana moneta.

— Chodź do kościoła!

— Idę panie!

Wziął cesarz Henryk sakwę złota, szybko z Thiethmarem ku świątyni spieszy. Pilno snać kulawym ludziom, dziwnie zaprawdę ten pochód wygląda. Podczas gdy cesarz, mający koślawą nogę, chyli i kiwa się na prawo, Thiethmar tożsamo czyni na lewo.

Weszli do nowej, kamiennej, przez cesarza fundowanej bamberskiej świątyni, praca tam wre i kipi, snycerze i mularze nad ukończeniem wnętrza kościoła pracują. Zawołano przed majestat cesarski budowniczego.

— Zabrakło ci mistrzu pieniędzy?

— Nic monarcho nie płacisz, od dwóch tygodni na borg pracuję.

— Oto skarb na dokończenie świątyni.

— Szczere złoto.

— Weź je na chwałę świętego Wawrzyńca i Chrystusa Pana.

Architekt zanurzył rękę w głąb złotych dukatów i rzekł:

— Trzeba je będzie wodą obmyć.

— Czemu?

— Bo na nich zsiadła krew ludzka...—

* * *

Mądrze zaiste uczynił wielki i znakomity cesarz Henryk, że wieść o zdobyciu Pragi „zniósł z powagą cierpliwości umysłu, grzechom swym przypisując wszystko złe, co się działo w jego państwie. Poznał, iż rzeczą najrozumniejszą będzie nie pokazywać po sobie, co duszę rani i wyprawić posłów do Bolesława z wieścią, że zgodzi się i przyzwoli na panowanie polskie w Pradze, jeśli Bolesław ziemię czeską przyjąć zechce z łaski cesarza i wiernym będzie jego sługą. Inaczej opór z bronią w ręku zaborczym czynom Bolesława stawi." (**)

— Idź Avikonie do Pragi, hardy jego umysł do uległości skłoń.

— A co będzie potężny władco, jeśli się o wymordowaniu księży w kazimierskiej puszczy dowiedział?

— Bądź spokojnym. Zakonnicy śpią snem, z którego nikt się nie obudzi...— —

— Dowie się, że poseł złapany.

— Na dnie wieży z nikim on nie mówi.

. . . . . .

**) Thiethmar V. 19.

A poselstwo cesarskie wyprzedziła wieść, która Bolesława żalem i rozpaczą przejęła, zbrojne chłopstwo gniewem zapaliła.

— Księża wymordowani!

— W eremie puszczy kazimierzowskiej skały zbryzgane krwią!

— Listy przejęte! Świętopietrze zrabowane!

Kto to uczynił?

— A któżby? *Cui prodest.*

— Ten, czyja była w tem korzyść.

— Cesarz.

— To być nie może.

— Stoigniew nam powie.

— On tam był w dniu mordu.

— Pewnie i jego zamordowano.

— Nie, nie. Zostałby jego trup, zostałby jego ślad. Śladu nawet po nim niemasz.

— A ja wam mówię, że niemieccy zbóje to zrobili.

— Cicho! Posłowie cesarza na Wyszehrad idą.

. . . . . .

Przyszło poselstwo niemieckie do Pragi, w izbie na Wyszehradzie Bolesław je przyjmuje.

— Czego chcecie?—pyta się polski król.

— Jako lenno i dar cesarza otrzymasz zdobytą czeską ziemię!

— Przyjdź i upokórz się!

— Jeśli chcesz w Czechach panować, z łaski cesarza panować możesz!

— Wiernym musisz być mu sługą!

— Jedź do Bamberga i czołem uderz o stopnie złotego tronu!

Wzburzyło się zbrojne chłopstwo, krew w wojsku zawrzała, ciche przekleństwa lecą po sali. Wszyscy patrzą, na Bolesława, co on posłom odpowie...

Bolesław nie odrzekł nic. Tylko, stojący obok Chrobrego, ksiądz opat Zdzieszko zszedł ze stopni tronu, zbliżył się do przywódcy poselstwa, długo w oczy jego patrzył, długo kiwał nad nim brodą i rzekł do niego:

— Ty capie!!!

XIII.

Wojna. Oddawna wisiała ona w powietrzu, jako w parnym słonecznym dniu wisi nad światem burza i pioruny. A wojna ta wybuchła na kilku miejscach naraz, jako nagle pożar na strzesze wybucha. Pod dachem długo żarzył się płomień, tłumił się dym, pożoga strzechę rozgrzewała, przeżarła wreszcie pokrycie. Nie w jednem, lecz w dziesięciu miejscach żywioł się zjawia, nim domowinę zamieni w jedną okropną kolumnę płomieni.

Bo w pokoju Bolesław nad wojną pracował jako gospodarz mądry, który o głodach zimy rozmyśla w czasie dostatków jesieni; przyszły gmach wojny budowała w Czechach i w Polsce przezorność jego, w Niemczech pieniądze jego. Nim przyszło

do wojny, rozrzucił skarby po całem cesarstwie; zgnilizna moralna zachodu sprawiła, że każdy, kto w Niemczech miał znaczenie i urząd, był do kupienia, że nie było w cesarskiej radzie rąk, któreby się przekupstwem nie splamiły, nie było przekonania, któregoby Bolesław za gotowe pieniądze nie kupił. „Nieprzeliczone sumy" rozsypał w Niemczech polski król. (*) Płacił Bolesław spodlonych duków, płacił doradców, cesarza i wodzów jego; narzeka kronikarz merseburski, że wszyscy krewni jego są przekupieni, nienawidzi Chrobrego z całej duszy Thiethmar, „gadem jadowitym," „wściekłym bezczelnikiem" go nazywa, a przecie wyznaje, że on sam wziął łapówkę od Bolesława, że on, Thiethmar, jako płatny jurgieltnik polski, za pieniądze w interesie króla polskiego w radzie cesarskiej głosował. (**)

Jakby na dany znak z Pragi, połowa cesarstwa przeciw cesarzowi powstaje. Margraf Hecyl, stary, wypróbowany sojusznik króla polskiego, rokosz podnosi, margraf austryacki Ernest powstaje, rodzony brat cesarza, Bruno się buntuje, jurgeltnicy Bolesławowscy sieją po cesarstwie waśń

*) Thieth.
**) Jul. Bartoszewicz: „Hist. pierw. Polski."

i wojnę. Poza granicami słowiańskich ziem wre, cesarz z własnymi rodakami się boryka na południu, w Austryi i Bawaryi rokosz i bunt, goreją miasta i mrą ludzie, a na północ Bolesław sam korytem Łaby w cesarskie dzierżawy śpieszy. Przedarł się przez góry czeskie, przez żyzną ziemię Łużyczan idzie, do margrabstwa myszneńskiego wpada, chytrze margrafa Guncelina na tajemną schadzkę wzywa.

— Poddaj się, otwórz bramy Myszen.

— „Wszystko — odrzekł Guncelin, — co mi królu rozkażesz, uczynię chętnie, ale tego nie mogę, bo są u mnie ludzie cesarscy, którzy nie zgodzą się na to. Jeśli zaś nasze umowy na jaw wyjdą, wystawiam na hazard mienie i życie moje.“*)

Wziął Bolesław orędowników margrafa pod straż, sam bród na rzece bada, poselstwo od słowiańskiego miasta Strela przyjmuje.

— Niech z was nikt niczego się nie obawia—rzekł Chrobry do mieszczaństwa łużyckiego—nie z wami się biję, jam wasz brat, wasza krew.

Całą noc przeprawiało się wojsko przez Łabę, wczesnym rankiem na cztery oddzia-

*) Th. V 32.

ły Bolesław je dzieli, w cztery kierunki posyła, nakazując wieczorem zebrać się pod grodnem Cyryn. Na niemiecki sposób wojnę prowadzić będzie. W żywej pamięci są spełnione przez margrafów mordy i pożogi, za niszczenie kraju, zniszczeniem polskie wojska cesarstwu zapłacą. Zwołał Bolesław wojewodów i rozkazuje:

— Ziemie cesarskie złupić, sługi cesarskie zabrać w niewolę.

Rozbiegli się wojewodowie, lasami się przedzierają, milczkiem i chyłkiem do miast i wsi niemieckich ciągną. Tam leżą dostatki zrabowane na Łużyczanach w ciągu krwawych lat, tam pasą się chłopi sascy w cudzem gnieździe i na cudzej roli, jako rak, toczący ludu słowiańskiego ciało...— Dziś spadł na najeźdźców miecz, dziś zaciążyła na nich ręka Chrobrego. Wojska polskie się rozleciały, w jednym dniu cały kraj w ogniu stanął, w jednym dniu całą krainę wybornie uprawioną, ogniem i mieczem zniszczono, mieszkańców w niewolę zabrano, miasta ze szczętem spustoszono.*)

Bolesław w Cyrynie o zachodzie słońca u bram grodna czeka, zaroił się brzeg lasu ludzkim tłumem, ze wszech stron gromady

*) Thiethmar V. 22.

zbrojnych widać, ze wszech stron tłumy jeńców rycerstwo polskie prowadzi. Zwycięskie wojska zdobyczą się dzielą, panu swemu co najlepszą zdobycz oddają, niezmierne łupy do domu wyprawiają. „Było tam najmniej ze trzy tysiące jeńca, a niektórzy z obecnych opowiadają, że daleko więcej.“*)

* * *

Jako w czas burzy błyskawica na zachodzie niebo rozedrze, firmament w złote opony ustroi, aby wnet na wschodzie się zjawić, oczy ludzkie blaskiem oślepić, tak Bolesław zjawia się nagle, przerzuca się niespodziewanie tam, gdzie trzeba jego obecności, jego żelaznej ręki. Na wieść, że jego niemieckim sojusznikom źle się dzieje, piorunem w Pradze na powrót się zjawił.

. . . . . .

Cesarz Henryk, nim na Bolesława uderzy, postanowił zgnieść w kraju powstanie. Przedewszystkiem więc z wielką mocą wojska na buntowników wyruszył. Wkroczył na początku sierpnia do ziemi Hecyla i tak okropnie ją spustoszył, że strzechy nie stało pod którą mógł by się schować margraf. Dowiedział się pobożny cesarz, że jeden

*) Tamże.

z rycerzy Hecyla napadł na skarbiec wojskowy, pobił żołnierzy i z bogactwami uciekł do Amerthalu; ściga Henryk rabusia, idzie na warownię, w którą się schronił, machiny ogromne oblężnicze stawia, kusze wielkie głazy do twierdzy rzucają; nie mogło grodno wytrzymać napadu, wpadł weń Henryk, skarb odebrał, a miasto zburzył. Zaczem zwycięski władca na Kruśnę wyrusza; pod wałami tej twierdzy kilka bitew stoczono, sam margraf Hecyl na czele armii rokoszan stoi, rozpaczliwie broni wejścia do grodna w którem jest jego żona, jego dzieci, której załogą dowodzi jego rodzony brat... Nie oparł się przemożnej potędze, nie stawił czoła armii połączonych Niemiec. Cesarz rozbił jego wojska, pokonał zastępy rodzonego swego brata Brunona, cesarzewicz niemiecki wraz z margrafem Hecylem spieszą do Pragi, u Bolesława Chrobrego strzechy, pomocy i przytułku szukają. Nie zdołał umknąć Ernest, margraf austryacki. Stanął buntownik przed straszliwym sędzią, o rokosz, o sojusz ze „wściekłym bezczelnikiem“ Bolesławem Chrobrym oskarzony. Sąd wojenny wydał nań wyrok śmierci.

— Umrzesz !!—krzyknęli sędziowie.

— Albo zapłacisz!!—rzekł bogobojny, lecz wielce ziemską mamonę ceniący cesarz Henryk.

I za wstawieniem się arcybiskupa mogunckiego Wiligiza pozostał Ernest margraf austryacki przy życiu, wyliczywszy na ręce kulawego cesarza znaczniejszą ilość doczesnej marności.

A klęska sprzymierzeńców, niepowodzenie pierwsze, wzburzyło Bolesława krew, zapaliło żądzę odwetu; gdy brat niemieckiego cesarza, Bruno do Pragi przybył i wieść hiobową o pogromie swym zwiastował, zapalczywością wielką wybuchł król, prawica jego chwyciła miecz...— — —

— W Niemcy idziem!!!—krzyknął Bolesław Chrobry.

— Jako burzą!!

— Konne pułki sprawić!! Do Bawaryi!!

— Do Bawaryi!!

— Kiedy?

— Dziś!!!

Leci w granice niemieckie potęga niezmierna, król polski „za popędem własnej wściekłości“*) w głąb Bawaryi z ogromem wojska wpada, a jako niemcy szli na słowiańskie dzierżawy, cięli ludność w pień,

*) Thieth. V 22.

pożoga i śmierć szła z ich wojskiem, tak teraz w Bawaryi na wzór niemców Bolesław gospodaruje, „wielkie gwałty“ czyni, zbrojnych wycina, bezbronnych w niewolę bierze, pustki i spaleniska za sobą zostawia, z niezmiernym łupem do Pragi powraca. Okropne wieści doszły do uszu cesarza, który nie spodziewając się napadu, pobożnym praktykom się oddawał. Od miasta do miasta pielgrzymką szedł Henryk. W Kwedlinburgu Wielkanocne święta, w Merzeburgu dni Krzyżowe, w Halberstadzie Zielone święta odprawiał.

Kajanie się i pokutę wielkiego władcy wieść o „niecnem zuchwalstwie Bolesława“ przerywa, widzi Henryk, że tu już nie o pogrom polaków, lecz o obronę Niemiec idzie, że cesarstwo ratować trzeba; z rozkazu jego miecz po grodnach niosą, rycerstwo wołają, nowe pułki, nowe zastępy rycerstwa z Niemiec na Polskę ciągną. A przecie leniwo idzie cesarzowi wyprawa: dopiero z końcem zimy wojska się zebrały, z pierwszą wiosną w dzierżawy polskie ruszyły.

Wpadł cesarz do ziemi Milczan, zrabował, zniszczył najechany kraj. To wstęp do Polski, to pierwszy krok do pomsty

i podbicia dziedzictwa polskiego. I byłby tego cesarz niewątpliwie dokonał. „Ale topniejące śniegi zwycięski pochód cesarza wstrzymały, bo gdyby nie to, w tej ziemi żywa dusza by nie pozostała.“

Zawsze i zawsze żywioły stoją w zwycięskich wojnach cesarzowi na przeszkodzie! Ciągle żali się Thiethmar na nie, śniegom i słotom klęskę przypisuje; raz cofa się Henryk dlatego, że jest śnieg, drugi raz dlatego, że niema śniegu, raz ulewne deszcze wstrzymują pochody cesarskich wojsk, to znowu posucha naprzód im kroczyć nie daje. Tym razem stanął na przeszkodzie „roztajały śnieg.“

Z ziemi Milczan nastąpił „smutny odwrót.“*) Bardzo smutny!

* * *

Stracił cesarz Henryk rycerstwa i pieniędzy wiele, włości jego zrabowane, miasta bawarskie spalenizną się czernią, ludzie w niewolę uprowadzeni, ucieszył się przynajmniej tem, że zdobył dla cnoty jednę zatwardziałą w grzechu duszę. Rodzony brat cesarza, Bruno, pozostał wprawdzie w gościnie u Bolesława,**) jątrząc cały świat prze-

*) Tamże. **) Patrz „Mon. German.“ III 134.

ciw własnej rodzinie, margraf Hecyl za to skruszył się, postanowił pogodzić się z cesarzem. Za pośrednictwem arcybiskupa Tagina i Bernarda Saskiego o łaskę Henryka prosił. Zgodził się cesarz i przebaczenia swego nie odmówił. Przybył Hecyl do cesarza w stroju pokutnika, uderzył czołem o próg złotego tronu, ze skruchą przyznał się, że był przyjacielem i jurgieltnikiem, płatnym przez Bolesława, poczem w zamku arcybiskupim do więzienia wtrącony został. Kazał mu cesarz odbywać pokuty i umartwienia ciężkie, polecił rozdawać jałmużny. Sam cesarz do lochu więziennego wchodzi, w jego oczach, w jednym dniu „cały psałterz margraf musi odśpiewać i wybić sto pięćdziesiąt pokłonów."

Widok człowieka, który bez przestanku głową o kamienną podłogę wali, skruszył serce cesarza, wrócił Hecylowi przyjaźń i łaskę wielkiego monarchy.

* * *

Gorzko płacze Thiethmar nad zapamiętałą pychą Bolesława, nie zna głębi duszy wielkiego króla, nie wie, że tam nie pycha, lecz świadomość własnej siły jest węgłem, na którym on przyszłość buduje. Policzył

się ze siłami, do olbrzymich celów pewnym idzie krokiem, ogrom swych zamiarów w życie wprowadza.

Myśl ludzką jako nikłe ziarnko lipiny: a przecie w tym ziarnku olbrzymich konarów jest zaród, ludzkie oczy zadziwi jestestwo, które w tym nasionku się kryje. Popatrzy na niego słonko, zejdzie z ziemi igliczka zielona...

Na wielką myśl bolesławowską spojrzało słonko łaski Bożej...— —

. . . . . .

Na wschodzie cesarstwa niemieckiego wszystkie ludy słowiańskie razem złączyć, w jedną zlutować potęgę. Z obcych, wrogich pierwiastków Karol Wielki ogromne cesarstwo frankońskie złożył, Bolesław Chrobry z krewnych, bratnich narodów wielkie cesarstwo słowiańskie zbuduje.*) W żelazną zwiąże całość pokrewne ludy; niechże każdy z nich zachowa swój język, swoją pieśń, swą wiarę, swój zwyczaj, oby-

*) Powtarzam świetną hipotezę Juliana Bartoszewicza. Dzieje Bolesława na każdym kroku potwierdzają trafność wniosków historyka, który jasno wykazuje, że Bolesław Chrobry w olbrzymie cesarstwo chciał wszystkie słowiańskie ludy złączyć. Wszyscy historycy nasi godzą się na to, że celem życia Bolesława było złączenie słowian w jedną olbrzymią rzeczpospolitą.

czaj, niechże na wewnątrz kwitnie wolność i swoboda, ale na zewnątrz, w obliczu wroga, niech różne ludy we wspólnem spiżowym staną szeregu, aby bronić swych ojczystych zagród, swej słowiańskiej domowiny. Oto królewicz Mieszko do „złączenia się wszystkich słowian“ nawołuje, oto woła Bolesław Chrobry przez usta swego syna do słowian:

„Pomnijmy na wspólną naszą krew, zaprzestańmy niezgód, a połączeni razem wszystkich wrogów pokonamy.“

Leci przez wieki polityczne Bolesława Chrobrego wskazanie, woła na przyszłe pokolenia genialny budowniczy państwa polskiego, aby podjęli jego myśl, aby nie uronili dziedzictwa jego. Olbrzymie drzewo przyszłości zejść winno na tej roli, na której ją wielka myśl zasiała...— —

. . . . . .

Wstała myśl, jako błyskawica wstała, światłem jasnem po słowiańszczyznie przeleciała! Zbudzili się ludzie, najlepsi z nich duszę myśli oddali, oto płonie Bolesławowska idea w duszy Sobiebora, Borysa, Niezamysła, którzy z różnych pochodząc narodów, dla wspólnego dobra na ziemi polskiej ręce sobie podali.

Dotąd idea Chrobrego myślą i gorącem marzeniem serc była, ziarnem, w którem jest zarodek wspaniałego jestestwa rośliny. Zeszła wiosna, wschodzi roślina, wszystko co ma siłę do życia i istnienia buja. Wschodzą nasiona, które jesień w ziemię rzuciła, wschodzą ziarna, które w wybrane dusze zasiał Bóg. Marzenie zmienia się w czyn, jasna gwiazda Słowiańszczyzny wschodzi. Wszak już dziś Bolesław połowie narodów słowiańskich przewodzi, wszak już dziś polacy, czesi, słowacy, łużyczanie i słowińcy w jedno mocarstwo zespoleni, wszak już dziś sławne „morawskie pułki“ to prawa ręka Bolesława. Od Dunaju po Gdańsk ogromne mocarstwo się rozlega, dziś czas kończyć budowę państwa, które ogromem świat zadziwi, którego plan będzie drogowskazem dla przyszłych pokoleń... — — Roztropny i „chytry“ Bolesław wstrzymywał dotąd krewkie dusze i porywcze serca, dziś gorączce Sobiebora folgę daje: rycerstwo czeskie, polskie, słowackie i łużyckie śpieszy pod jego chorągwie, aby z odwiecznym ciemiężycielem rozpocząć zwycięzki bój.

. . . . . .

Bardziej od wojny, bardziej od złupionych niemieckich miast, bardziej od pożogi bawarskich siół, wieść o słowiańskiej unii cesarstwo przeraża, wszystkie wojska cesarz gromadzi, wszelkich, bez wyboru, środków używa, aby straszliwej zmorze przyszłości w poprzek stanąć drogi. Zgoda buduje? A więc, aby runął zamysłów „gada jadowitego" gmach, trzeba niezgody, trzeba posłać przeciw słowiańskim, zespolonym szeregom największą siłę i potęgę, która je zmoże i pokona: waśń.

. . . . . .

Najłatwiej poszło cesarzowi z wilkami i lutykami: tam oddawna niemcy wodę mąciły, kłócąc ze sobą dzieci jednej matki, aby tem łacniej nad rozdwojonymi panować. Pod wpływem niemieckim runęły tam patryarchalne, odwieczne prawa, nowy obyczaj teraz panuje, równi niegdyś w obliczu Boga i w obliczu prawa kmiecie, w jarzmo edelów zaprzągnięci. Starszyznę połabską pouczyło prawo niemieckie, że żołnierz ma przewodzić nad rybakiem, bartnikiem i rolnikiem. Niedawno temu lud połabski prawa własności nawet nie znał, ziemia, woda, las i barć pszczelna była własnością wspólną, własnością niczyją i własnością

każdego; wszystkich żywiła ziemia rodzicielka. Komu dał Bóg dar bytu, ten ma i prawo do bytu, kto się narodził, ten przecie musi jeść. Wszechmocny Jesse wszystkich zarówno darami obsypał i niebyło w Słowiańszczyznie sług i panów, lecz jeden Bóg i jedno dla wszystkich prawo. Przyszedł cesarz i wojowników połabskich nad lud wolny wyniósł, szlagtami ich uczynił...

. . . . . .

Do szlachty połabskiej sfora cesarskich szczwaczy dziś spieszy, przeciw Bolesławowi podjudza, nienawiść przeciw władyce polskiemu rozdmuchuje.

— Pod jego panowaniem pójdziecie w chłopy, mówi wysłannik monarchy do lutyckiego edela.

— Jako dziad twój, tak i ty chłopem będziesz.

— Przewodzicie kmieciom waszym z łaski cesarza.

— Bolesław na wasze przywileje zamach czyni.

— Wszak schłopił naród polski.

— Obyczajem Piastów z „chłopa robi sejmowego pana."

— Głosi, że rycerstwo jest po to, aby mienia chłopa strzegło [1]).

— Edel u niego, to sługa chama.

— Kmiecia serdecznie miłuje, słowem zacnem go darzy [2]).

— „Jak do rodzonego dziecka przemawia" [3]).

— „Opiekun włościanina, białogłowy biednej i każdej chudziny" [4]).

— „Sprawę biednego rozważa tak samo, jakby ona sprawą wielkiego pana była" [5]).

— „To nie król i pan, lecz chłopski ojciec łaskawy." (*)

— „Kocha go uboga czerń, z radością go wita, cały kraj na spotkanie jego bieży." (**)

— Dziś chce ziemie po Łabę zagarnąć.

— Z pana sługą cię uczynić.

— Parobkom waszym będziecie służyć. Bat ich smażyć będzie wasze plecy.

— Wszelkie dobrodziejstwa zlał na was rzymski cesarz.

— Co wam dał cesarz, odbierze polski król.

— Gdy niemcy „jadowitego gada" zmogą

---

[1]) Szajnocha „Bol. Chr." [2]) Jul. Bartoszewicz. [3]) Gall I. 9. [4]) Tamże. [5]) Tamże.

*) „Non dominus sed pius pater rusticorum." Gall I. 12. **) Tamże.

dukami was Henryk, hrabiami i komesami uczyni.

I przysięgli szlagtowie lutyccy cesarzowi dozgonną wierność, poszli do jego stolicy, i pocałowali ziemię przed jego tronem, ugięli kark pod jego stopy. Zapłacili wolnością swego ludu za własne przywileje, za władzę nad lutyckim kmieciem. Na nic się nie zdały zaklinania, prośby i groźby Borysa i Niezamysła, którzy naród swój z pod wpływów niemieckich uwolnić chcieli; widząc na co się zanosi, widząc strąszliwie przez niemców katowany lud, na dwór Bolesława uszli, szlachtę narodu swego przeklinając. Ta na szubienice przez niemców stawiane, na krzywdę własnych braci obojętnie patrzy, w jarzmo cesarskie się zaprzęga...— —

A byli tak wiernymi sługami cesarza, takimi wrogami polskiego króla, że cała szlachta połabska przekształciła się w jednę wielką armię niemieckich szpiegów: każdy krok Bolesława śledzą, o wszystkich zamiarach króla polskiego donoszą, jeden za drugim poseł z nad Łaby do Merseburga łeci, na Chrobrego szczuje, do wojny przeciw Bolesławowi podjudza (*). Przynoszą

*) Thiethmar.

wiadomości tak wrogie, tak ponure, że cesarz Henryk Kulawy mdłości dostaje, straszliwa kolka ciałem jego kręci...— —

. . . . . .

Zwrócił Henryk wzrok swój na czeski lud. Słudzy jego kmieciom czeskim o niepodległości narodu prawią, wolność obiecują, zrzucenie „jarzma" polskiego doradzają. Kto rozumny, rozśmiał się im w oczy, z pogardą odepchnął danaów, niosących czeskiemu narodowi dary. „Wszak tu w Czechach miał Bolesław polski oddawna najwierniejszych przyjaciół, cała rodzina Sławników mocno przy nim stała, a Sobiebor najdzielniejszą jego rządów był podporą. I nie byliby wcale żałowali czesi, że Bolesław zajął tron, gdyby król polski mógł tu na zawsze pozostać." (*)

Ale przecie było wielu i takich, którzy pamiętni swawoli i rozpusty, jaka kwitła za dawnych, dobrych Władywoja czasów, dali ucho ohydnej namowie. I podzielił się naród czeski na dwa obozy: jeden wiernie przy Bolesławie i słowiańszczyźnie stoi, drugi zaś „zawsze z odmiany księcia rad," z cesarzem Henrykiem spiskuje. Przypomniał sobie cesarz dwóch braci Bolesława

*) Tak pisze Palacky, wielki czeski historyk!

Rudego, Jaromira i Oldrzycha, przypomniał sobie ich do czeskiego książęcego tronu prawa. Przypomniał sobie ludzi, których prawami frymarczył, którzy mu bardziej obojętni byli, niż przeszłoroczny śnieg... Wszak cesarz dziedzictwo ich, w zamian za hołd, polakowi, Władywojowi, sprzedał, wszak gdy tego nie stało, ofiarował Bolesławowi Chrobremu, w zamian za uległość, czeski tron. Teraz zawołano z Niemiec wygnanych czeskich książąt: rzezaniec Jaromir przez Bolesława Rudego wytrzebiony i tegoż brat, Oldrzych, z ramienia cesarstwa przeciw słowiańskiemu mocarzowi stają.

. . . . . .

— Trzeba go otoczyć ze wszech stron, wieńcem wrogów ścisnąć i opasać.

Chyłkiem przez słowieńską i chorwacką ziemię, przez Węgry, posłowie cesarscy na Ruś, do Kijowa śpieszą, aby księcia Włodzimierza Wielkiego przeciw Bolesławowi podburzyć, sojusz z wielką Rusią zawiązać i wieczne przeciw Polsce przymierze.

— W mirze żyję z Bolesławem lackim— odrzekł posłom Włodzimierz, — zgoda panuje między nami i miłość. (*)

*) Nestor. 8.

— A czy nie widzisz władco, co ci ze strony połączonych słowian grozi?

— Przecie mój lud, to słowianie.

— Ale ty nim nie jesteś!!!

— Jakto?

— Tyś Konung normański!! Tyś Waldemar, nie Włodzimierz, twoi synowie to Burisleif i Jarosleif nie Świętopełek i Jarosław. Wodzowie twoi, to chłop w chłopa normanie, w których niemasz kropli słowiańkiej krwi. (*)

— Do czego zmierzasz?

— Toczysz walkę z niekarnem ruskiem chłopstwem,—biada ci, jeśli wróg do ognia oliwy doleje, jeśli między ciebie, normana, a słowiański lud wejdzie chytry Bolesław i zarzewie wojny przeciw tobie roznieci...—

— Syn mój, Świętopełk, córkę Bolesławową poślubił... Rusin to już nie norman...

— Ha!! Ha!! Małżeństwo to, to furtka, przez którą wejdą polacy na Ruś.

— Nie kuś mnie, niemcze, rzekł wielki Włodzimierz.

— Gdy na świętą Ruś nieszczęście spadnie, nie szatańską pokusą lecz proroctwem staną się słowa moje.

* * *

*) J. Bartoszewicz „H. P. P."

Cesarz Henryk przebiegle i chytrze plan wojny obmyślił. Wszystkie postanowienia zmierzały do tego, żeby Chrobrego podejść, żeby rozerwać jego siły, z nóg mocarza słowiańskiego zwalić. Zwołał cesarz niemiecki sasów, bawarów i ostfranków na koniec sierpnia „kiedy zebrane z pola zboże, obfitej wojsku żywności dostarcza," ze Saksonii mają wojska wyruszyć na polskie dziedziny. Od Dziewina aż do Cycyi cieśle łodzie na Łabie gotują, aby wojsko za rzekę przeprawić. Dowiaduje się Bolesław od „tajnych przyjaciół, przez których wie wszystkie sekrety cesarza Henryka," co się nad Łabą dzieje, opuszcza Pragę i szybko do Łużyc nad Łabę pospiesza.

Szpiegi doniosły o poselstwie cesarskiem na Ruś, niezwłocznie Bolesław Wdałego Walgierza na Ruś, do Kijowa, w poselstwie wysyła...— —

. . . . . .

Znowu nadaremny cesarski trud, znowu gorzkie rozczarowanie i serdeczny żal. Przybył cesarz Henryk nad Łabę, u stóp jego rój nowo wyciosanych łodzi i promów się bieli, wsiąść jeno i w Słowiańszczyznę wpaść.

— Co to?

Roi się coś na drugim brzegu i kotłuje świdno nad brzegiem Łaby to wielkie mrowisko, konnica piaski przebiega; między pułkami piechoty chorągwie barwne się jaskrawią. Wojsko ogromne...

— Bolesław! Bolesław!!

— Przewidział!!

— Przeczuł zamiary!

I cesarz nagle na południe się cofa, ogromną przestrzeń kraju przebywa, aby od Dunaju wpaść do Czech wtedy, gdy frankowie z bawarami uderzą na nie od zachodu.

I byłby niewątpliwie zatryumfował cesarz, gdyby to nie była „z gadem jadowitym" sprawa, „z lwem ryczącym," który jednem „machnięciem ogona," z „wrodzoną sobie wściekłością" jak piorun wpadł do Czech, wszystkie przesmyki górskie wojskami pozamykał, Czarny zaś Las (*) pułkiem celnych strzelców osadził.

I stanął pobożny Cesarz Henryk u granic czeskiej ziemi i nie wszedł do niej, dlatego „bo deszcze z nieba wielką mu były w pochodzie przeszkodą." (**)

* * *

*) Tak Bielowski tłómaczy „Miriquidui" w Thiethmarze. **) Thiethmar VI. 8.

Zwycięstwo za zwycięstwem uśpiło czynność wojska polskiego, przyniosło przecenienie własnych sił. Nie przypuszczali wojewodowie, żeby cesarz Henryk po pogromie bawarskim mógł się pokusić o Pragę, rozrzucił Bolesław po Czechach swoje wojska, zamiast je skupić w obliczu chytrego, w środkach nie przebierającego wroga. Zdawało się, że ten cesarz długie lata ręki podnieść nie zdolen, że nadszedł czas na odpoczynek po ciężkich wojennych trudach.

Oto Bolesław wielką ucztę na Wyszehradzie wydaje, wojewodów i biskupów na nią prosi, opata Zdzieszka między biskupami sadza, Sobiebora szczególniejszą łaską między rycerstwem wyróżnia. Zagrała od ucha gędźba, wino się w kieliszkach perli, Bolesław Chrobry duszkiem zdrowie gości pije. Mówiono o wojnie: jedni ostrożność i czujność wojskom polskim rają, inni są pewni, cesarz Pragi najść się nie poważy.

Przed zdradą i obłudą ostrzegał najsurowiej biskup kołobrzeski Rejnbern, gorąco ostrożność polecał wodzom jego kapelan.

— Nie zawsze zwycięża moc, czasem zwycięża i podstęp.

— My ucztujemy, a tu wróg idzie.

— Co ty mówisz, księże?—zapytał kapelana król.

— Nadejdą tu niemcy.

Zaśmiał się Bolesław, puhar wina wychylił, odjął czaszę od ust i rzekł:

— „Gdyby leźli jak żaby, byliby już przyleźli.“*)

Z pogodą i z pokojem oczekiwał jutra, drwił z wrogich zamysłów, nie lękał się knowań, o których wieści do Pragi leciały. I był ten pan na Pradze, władzca Polski, Czech, Moraw, Słowacczyzny i Łużyc jako dąb potężny: rozszalałym wichrom czoło stawi, huragan wichru zmoże, każdej burzy się oprze, ale zachwieje jego mocą marny potok, który chytrze, stopy jego podmywa...—

. . . . . .

Henryk Kulawy rozbitki zebrał, nowe zastępy rycerstwa z głębi Niemiec do obozu ściąga, dookoła Oldrzycha i rzezańca Jaromira coraz liczniejszy zastęp czeskich władyków się gromadzi. „Odjęto teraz wyprawie niemieckiej pozór cudzoziemskiej napaści,“ „cesarz wyprawiał do Czech Jaromira przed sobą na dowód, że nie idzie tutaj

*) Historyczne słowa. O uczcie tej pisze Thiethmar.

o cudzoziemską napaść na Czechy, ale o przywrócenie na tron Przemysławowiczów, o wsparcie narodowego powstania przeciw polakom.“*)

Wszyscy wrogowie władzy i ładu pod sztandarem powstania się gromadzą, wszyscy zwolennicy „dawnej rozpusty i swawoli“ razem z cesarzem na słowiańskie wojska idą. I podzielił się czeski naród na dwa obozy: jedni, którzy z Bolesławem łączyć się i zginąć z nim chcieli, którzy jak Thiethmar powiada, „nad swoich władców przenosili wroga wszystkich wiernych, Bolesława“ i drudzy, których nieprzyjacielem był w Czechach silny rząd, którzy u cesarza Niemiec pomocy przeciw własnym braciom szukali.

Podstąpił Henryk z całą swą mocą pod osadzoną polską załogą twierdzę Zatec i siłą gród zdobył. Wyrzucano obrońców z murów, kaleczono ich sromotnie, pastwiono się nad nimi okrutnie. W okopach twierdzy sprawili niemcy rzeź, niedobitki zaledwie z polskiego wojska ocalały, zamknięte przez Henryka w kościele. Spotkał Henryk przed twierdzą czeski pułk, zostający na żołdzie Bolesława. Jaromir jako ku-

*) Szajnocha, Bartoszewicz.

siciel między czeskich żołnierzy idzie, przekupił pułkowników, żołnierzom złote góry obiecuje, — opuściła czerń swego pana, z niemieckiem wojskiem się łączy. Wstęp zatem do kraju wolny, bramy Czech na oścież otwarte, iść tylko i zwyciężyć...

A jednak cesarz nie idzie, bo znowu niepomyślne wieści z kraju nadchodzą, znowu się chwieje zdrady i podstępu dzieło. Obudziło się w Czechach narodowe sumienie, wszyscy widzą, że w bratobójczą walkę się wdali, że z tej wojny korzyść odniesie nie polak i nie czech, ale niemiec, wspólny Czech i Polski wróg.

— Boję się darów z niemieckiej ręki, woła czeski władyka.

— Za Jaromirem i Oldrzychem kryje się cesarz.

— Frymarczy nami...— —

— Nie Jaromir, lecz cesarz w Czechach panować będzie.

— Dobrowolnie kajdany na ręce nasze kładziem.

— Bliższy nam Bolesław, niż niemiecki król.

I jeszcze raz dźwiga się przeciw niemcom reakcya i jeszcze raz górę bierze stronnictwo przychylne Polsce i słowiańskiej unii.*)

*) Bartoszewicz.

Wie cesarz o wszystkiem, do obozu jego gońcy hiobowe wieści znoszą. Straszna jest wojna z Bolesławem samym, straszniejsza jeśli z nim złączy się naród czeski. Zanosi się na to coraz bardziej, Bolesław Chrobry coraz liczniejszych zdobywa przyjaciół.

Chwieje się i wali wielkie dzieło cesarza, ziemi się w Czechach pod nogami wojskom niemieckim usuwa, gorzkiemi łzami zalewa się Henryk że los Bolesławowi, wrogowi jego daje wiktoryę.

Osuszyła łzy jego wieść nagła, która okrzyk radości w cesarskiem wojsku wywołała. Przybył goniec z Pragi, nowinę szczęśliwą niesie, upojeni niezmiernie w niemieckich szeregach, wszystkie kotły w obozie biją, trąby grają, niemcy pijani radością w objęcia sobie z rozczulenia wpadają.

— Padł gad jadowity!

— Bolesław Chrobry nie żyje!!!

— Wszyscy polacy wymordowani!!

— Zbuntowani prażanie króla polskiego zabili.

— Zczezła zmora, która nas prześladowała w noc i w dzień.

„I ucieszył się w Bogu cały dwór kró-

lewski i upadli na duchu podli jurgieltnicy Bolesławowscy.“*)

Sam przezacny kronikarz Thiethmar nie wiedział zaiste, czy na wieść o zamordowaniu Bolesława ma się cieszyć „w Bogu“, czy też ze względu na wziętą łapówkę upaść na duchu jako płatny jurgieltnik króla Bolesława. Mniemać należy, że w duszy znakomitego uczonego musiało brać górę uczucie łzawego smutku; bo jeśli Bolesław nie żyje, toć już i drugiej łapówki dać mu nie może; pozbędą się w prawdzie niemcy „pustoszyciela większej części cesarstwa“, kaleta jednak kronikarza niewątpliwie na tem straci. Niemniej jednak nie okazał niczem specyalnych uczuć, jakie w jego duszy się biły i do boku tryumfującego cesarza, do ziemi czeskiej pospieszył.

A cesarz nie mógł sobie z radości dać rady ni miejsca znaleść, wieść o śmierci Bolesława Chrobrego zrosiła jego lica radości łzami, cały obóz wre huraganem wesela, wszystkie dzwony biją, leży cesarz wraz z Thiethmarem krzyżem, serdecznie niebiosom za tak wielką łaskę, dwaj pobożni ludzie dziękują:

— „Skruszyłeś go jako proch. Owoc

*) Słowa Thiethmara.

jego wygub ze ziemi, a nasienie ich wytrać z synów ludzkich."

— „Niechaj mrą głodem jako psi, wylej na nich gniew Twój i zapalczywość gniewu Twego niech go ogarnie."

— „Niech szperuje lichwiarz majątek ich, a niech rozchwyta obcy pracę jego."

— „Dzieci ich niech będą zniszczone, synowie niech będą sierotami, a żona jego wdową."

— „Bóg pomsty pan! Bóg pomsty..."

Piękną tę i chrześcijańską modlitwę zacnego i pobożnego monarchy przerwał goniec, który szedł do namiotu cesarza.

— Modlisz się władco?

— Bóg pomsty skruszył go...

— Kogo?

— No... Bolesława.

— Jakto skruszył?

— Bo nie żyje, a jak nie żyje, to umarł.

— Kto?! Wszak wprost z Pragi gonię.

— Na pogrzebie byłeś?

— Na jakim pogrzebie? Bolesław nie zamierza wcale umierać.

— Żyje?!

— Niedość że żyje. Gdym ze złotej Pragi ruszał, okna Wyszehradu muzyką grzmiały, dzień w dzień Bolesław ucztuje, woj-

sko huraganem śmiechu wybucha, drwiąc z was, że na podbicie Czech leziecie jak żaby...

Nie słyszy cesarz Henryk ostatnich słów... Nie słyszy z bólu i żalu. Okropne kolki go w boku chwyciły, rozpacz, która jak żmija ukąsiła duszę, skowytem płaczu w gardle się zjawiła, z óczu popłynął strumień gorzkich łez żałoby, upadł cesarz przed krzyżem i woła:

— Nie zniszczyłeś go, nie będzie lichwiarz szperował jego majątku, jego synowie nie będą sierotami a żona wdową... —

* * *

Żal w niemieckim obozie, złość i rozgoryczenie po wielkiej radości nastąpiło. Fałszywa wieść o śmierci Bolesława, która runęła po kraju i „w całych Niemczech niezmierną radość wywołała“ nie sprawdziła się, za to sprawdzać się zaczęły wieści, że większość czechów za Bolesławem się oświadcza, że gromady ludu zwiększają jego szeregi. Aby ogólnemu powstaniu przeciw niemcom w drodze stanąć, trzeba iść na Pragę, ubiedz rokoszan, zgnieść w zarodku unię, która wytępieniem cesarskiego wojska grozi...

Wahanie zgubę niesie, każda chwila zwłoki wzmaga siły Bolesława. Od wiek wieka w Czechach na widok cesarskich wojsk krwawe budzą się wspomnienia, dziś patrząc na nieprzeliczone namioty niemieckich wojsk, każdy widzi, że tu nie o prawa Jaromira lecz o podbicie Czech się rozchodzi. Czas więc działać, rozpacz działać każe. Cesarz na Pragę „doborowe niemieckie rycerstwo wysyła," czescy sojusznicy z wojskiem na stolicę czeską idą. Jaromir i Oldrzych wyprawie przewodzą. Książęta czescy to przednia straż, za nią cesarz z niezmiernem wojskiem na zdobycie kraju rusza...

. . . . . .

Oldrzych wysłał tajnych orędowników do Pragi, poczem zaś z ośmiu władykami podstąpił cicho pod stolicę. Szczwacze rozlecieli się po mieście, lud burzą, wieść, że straszne wojsko niemieckie ciągnie, rozszerzają, opornym śmiercią okropną grożą.

U stóp Wyszehradu, na przedmieściu „mala strana", wojewoda Wyhań przedniejszych z pospólstwa zwołuje, ogólne powstanie uchwalono, uchwalono wyciąć nieliczne polskie wojska, wymordować zastępy czechów, którzy trwali wiernie w przymierzu z Bolesławem. Rychło świt na załogę polską

uderzą: gdy pastuch miejski o wschodzie słonka zagra na rogu, ozwą się na gwałt wszystkie dzwony na Wyszehradzie. Wtedy pogrom... wtedy rzeź...— —

. . . . . .

Marny i lichy kłokot leśny podmył podstępnie potężny dąb. Długo chyrzte stopy jego lizał...— —

Zapóźno dowiedział sie o powstaniu Bolosław, zapóźno aby je stłumić, dość wcześnie, aby klęsce i rzezi zapobiedz. Przeczuli nieszczęście czescy jego sprzymierzeńcy, ostrzegli go, gdy u Wyhana nad powstaniem radzono. Już Bolesław rozkazy wojsku swojemu wydaje. Czas nagli. Bo napadnięto go znagła. Wojska po kraju rozstrzelone, o obronie stolicy mowy być nie może.

Nie stracił serca ni otuchy Sobiebór, bić się chcą morawskie Bolesława pułki.

— Pragi bronić będziem!!

— Do upadłego!

— Niemcom jej nie wydamy!

— Choćby krew rozlać...— —

A Bolesław rzekł:

— Pragę opuścim!

— Dlaczego panie?

— Bo szkoda waszej krwi.

— Jakto?! jakto?!

— Krew i życie wasze potrzebne dla dzieł przyszłych dni.

We wrześniową noc, wśród rot Bolesława ruch niezmierny, jak błyskawice po pułkach rozkazy lecą, „chytry“ król nieszczęście uprzedzał, z klęski nawet wychodzi nie pobitym, lecz zwycięzcą.

Z wieczora oddział za oddziałem Wełtawę przechodzi, bez straty jednego człowieka wywiódł swe wojska znakomity wódz; gdy północ nadeszła, rzeka od tysiąca czółen i promów przewożących ludzi się roi.

Roi się rzeka, a przecie cisza niezmierna, plusk wody jeno słychać, niemota i głusza...

Wtem...

Zagrały dzwony na Wyszehradzie, kotły na gwałt biją.— —

Krzyk okropny z gardzieli tysiąca...

— Wymyka się chytry wróg, — wołają niemcy.

— Do broni!!! Do broni!!!

Czerń ludzka się na brzeg Wełtawy wali. Bolesław Chrobry sam przeprawy broni, na chłopstwo polskie ciżba motłochu leci, żelazną ręką król napad na łodzie wstrzymuje.

Przemoc niezmierna, Bolesław opadnięty. Patrzy z rozpaczą Sobiebór na przemoc

straszliwą, króla polskiego piersiami zasłania.— —

— Zabiją cię!...

— Idź stąd!

— Jakto? W straszliwą chwilę opuścić cię?

— Przejścia przez most bronić będziesz!! krzyknął Bolesław Chrobry.

Z garstką czechów przeleciał Sobiebór brzegiem i mielizną rzeki, na most się wdziera, rota słowiańska przejście przez most tamuje; ostatni to już czas, bo nawała sług cesarskich Wełtawy dopadła, obrońców wybiła, na most pchać się zaczyna. Jeśli motłoch przejdzie, odwrót słowiańskim wojskom odcięty, przebywszy Wełtawę niemcy z dwóch stron polskie rycerstwo otoczą. Dopadł Sobiebór mostu. Biją się czesi, ostrza ich mieczów tłum wstrzymały, kto na przęsła drewnianej budowli wejdzie, pada marnie na ziemię. Zgroza śmierci nie straszy śmiałków, którzy dla niemieckich pułków chcą most otworzyć, jeden niemiec za drugim po zgon leci, schody na most zawalone ludźmi którzy ranni, zalani krwią, męczą się w śmiertelnym bólu. Prożny trud. Zaprzestała czerń walki na miecze, cofa się, inną broń chwyta. Dobyli łuków

i proc, zdaleka tysiąc kamieni na obrońców mostu leci, świszczy kamień, chmura ich pada, na skórzanej, twardej tarczy, jakby grad na drewnianym dachu huczy, rzadziej trafi w człowieka, bo czarniawa pocisków na tarczach, na drewnianych belkach mostu marnieje. A Sobiebór do walki na śmierć i życie zachęca, do zasłonięcia odwrotu słowiańskich wojsk nawołuje.

Spojrzał na rzekę. Serbskie, morawskie i słowackie rycerstwo już Wełtawę przebyło, wściekły tłum niemców złorzeczeniem i przekleństwami na drugim brzegu huczy, niejeden na ochotnika w bród idzie, obuch żelazny w ręce dzierży, gdzie brodu niema przez Wełtawę płynie, prom ściga, dopadł wreszcie promu, dostał mieczem w łeb, krwią się zaczerwieniła woda i człowiek spłynął...— —

A łodzie ciągle i ciągle przez rzekę się krzyżują rycerstwo uwożąc, po nowe zastępy wracając, garstka około Bolesława coraz bardziej maleje, ubywa wojska, które przed rzezią się chroni.

Tam, gdzie łodzie do brzegu dobijają, sam Bolesław Chrobry.

On wśród ciemierwy wrogów, jak naczelnik okrętu pośród burzy: wszyscy ra-

tują życie, wszystko na łodzie ratunkowe wsiada, on jeden stoi na pokładzie tonącego okrętu i zejdzie z niego ostatni. Zejdzie lub zginie...— —

Kilku wojewodów do niego przypadło, na pomoc przybiegli, wszyscy chcą oddać życie za ojca i serdecznego pana...— —

— Zguba ci, zatrata. Idź, my cię zastąpim, my przeprawy bronić będziem.

— Odejdźcie wy! Wsiadać na łodzie!

— Tu króluje śmierć.

— A więc umrę.

— Nie tobie ginąć marnie.

— Czyńcie, co wam kazałem. Łódź odpływa...

— Śmierć!!

— Licha to kokosz, która w obliczu jastrzębia wybiera życie, skazując dzieci na śmierć.

— Panie, wysłuchaj nas!

— Rozkazałem...

Zamilkli ludzie, znowu trzy roty siadło na łódź i przez Wełtawę płynie. Przepłynęli. A tam na drugim brzegu, ludzi coraz w niej, maleńka gromadka przeciw tysiącom stoi...

Bolesław i kilku czeskich rycerzy są jak wyspa wśród szalejącego burzą oceanu.

Oni się biją. Biją się za te tysiące... I taka potęga, taka odwaga i moc w piersi olbrzyma, jakby tysiąc serc w niej biło. Wie, że z drugiego brzegu tysiące nań patrzą, on ich uczy, jak się za ojczyznę bić trzeba. Nad pokotem sinych śmiercią ludzi Bolesław z krwawym mieczem stoi, jako kosiarz nad pokosem traw; śmiech na jego ustach i oczy iskrzące wołają na wyjący niemiecki tłum: chodź a staniesz się jako ta mietlica, która na łące z wiatrem się kołysała, aż przyszedł kosiarz, co ją zmiótł. Bije się z nim motłoch, uderzają nań żelaźni niemieccy rycerze, zgrozę u wrogów straszna moc wywołuje, wszyscy pytają się, co to za rycerz, co to za olbrzym... Wnet w pułkach niemieckich wypowiedziano imię... przez szeregi leci głos:

— Bolesław!! Bolesław!!

— To Bolesław!!!

Jakby na chwilę się cofnęli... Imię ich przeraziło, zmarła w sercach odwaga, gdy usłyszeli słowo: Bolesław. A jako w pierwszym momencie popłoch i zgroza sercem grała, tak teraz wre zapalczywość bezmierna, że zjawił się człowiek bezczelnie śmiały, który jeden śmie z tysiącami wojować: sto oszczepów żądła wystawiło, sto cepów pod-

niesiono do góry, pomstą za zabitych braci wściekły tłum idzie, aby go zabić, aby go roztargać...— —

Ogarnął wzrokiem rzekę Bolesław, zaśmiał się...

Jeszcze raz straszny miecz błysnął, jeszcze raz ten kosiarz śmierci zagarnął okropne nicości żniwo...

Ostatni czas...— —

Łódź dobiła do brzegu, wnet szmaragdowa fala człowieka o lwiem sercu od wrejącego tłumu dzieli...

* * *

Płynie łodzią Bolesław, rycerstwo jego gromadę śmiałków ścigających go wpław odtrąca, świszczą kamienie z proc, gdy pocisk we wodę uderzy, kaskada piany w górę strzela, jeśli trafi w łeb ludzki, człowiek bez jęku idzie na dno. Grad kamieni ochrania niemieckich żołnierzy, którzy wpław idą. Oto dorwał się łodzi knecht, pazurami drzewa się chwyta, mignęła stal w powietrzu, krwawa ręka na promie zawisła. Wisiała chwilę kurczem śmierci, wnet wpadła we wodę. Ustał pościg, spoczął zmordowany król, spokój już na licach, uratowane wojska widzi, lecą pogodne oczy na most...

— Boże!!!

— Co ci jest panie?!

Wskazał ręką Bolesław...

— Ginie!!!

Krzyk rozpaczy, ból nad rozumem zapanował! Bolesław zerwał się, chce lecieć, ratować, wskoczyć w toń, umrzeć...

Dziesięciu ludzi się rzuciło; obłąkanego bólem człowieka w ramiona ujęli, on pasuje się, aby w odmęt skoczyć na śmierć, na zatracenie...—

— Już zapóźno! Już zapóźno!!

— Nie uratuje go panie nikt! Nie w ludzkiej to mocy...

. . . . . .

Biła się czeladź Sobiebora, napad za napadem odparto, maleje gromada, co chwilę żołnierz kamieniem w łeb uderzon pada martwy lub zgłuszony na ziemię. A bohater nad bohatery, Sobiebór, w obliczu zbliżającego się zgonu radość ma na licach, wzgardę dla śmierci, w wielkiej duszy przekonanie, że za zacną sprawę życie swe oddaje. Boże! Boże! Ostatnie już jego chwile, zbliża się życia kres. Rąbnął go w głowę niemiec, ześliznął się topór po kości, choć krew oczy zalała, ranny czech broni się i bije. Otarł rękawem ci-

snącą się do oczu krew, wśród straszliwej walki okiem na Wełtawę rzucił... Tam, przez krew, widzi uratowane wojska, widzi braci swych czechów, widzi pułki polskie, chłopstwo słoweńców, łużyczan, sorabów...

— Ocaleli!! — krzyczy radośnie Sławnik. Ocaleli!!

— Bolesław łodzie pali! — krzyczy drugi żołnierz.

— Ujdą z niemieckiej rzezi!

— Cesarz nowych łodzi nie zbuduje, wezbranej nie przejdzie rzeki.

Wojewoda krzyknął rozpaczliwie:

— Ale gdy nas nie stanie, przejdą przez most.

Krwawy Sobiebór zaprzeczył śmiechem:

— Nie przejdą!!!

— Co uczynisz?

— Nie przejdą!! Pale rąbać!

— Jakto?!

— Środek mostu runąć musi!

— Topory, hej! Topory!!

Dziesięciu ludzi po krokwiach mostu złazi, na fundamentach stają, kilku znalazło bród, ujęli z za pasa siekiery, kto topora niema, żelażcem miecza dębowe pale rąbie. Stary most, od dołu słupy pogniły, żelazo łacnie butwiejącego drzewa się ima, huczy robota

echem jako jesienią stodoła, w której młockarze pracują. Chwieje się most i drży...

Ludzie rąbią i rąbią. Zostawili na moście Sobiebora, który samotrzeć do ostatka mostu broni. Słyszy za sobą Sobiebór grad uderzeń toporów, myśl, że most runie, zdwaja jego siły, mdleją te ramiona straszliwą pracą dzisiejszego dnia, krew w oczy cieknie a przecież wysiłkowi jego rąk błogosławi los, jeszcze chwila... a dzieło jego ukończone... wielki czyn ratunku spełniony... —

Jeszcze raz opór pospólstwu stawił. Rzuciła się na niego nawała, cep zmiażdżył jego lewe ramię... —

— Zginiesz!! — niemiecki motłoch woła.

Zaśmiał się Sobiebór.

— Ale on zostanie! On! Bolesław!!

— Na mieczach cię rozniesiemy,

— Za moją krew on wam zapłaci!!!

Zahuczało coś okropnie, jakby piorun w świat uderzył, jakby granitowe szczyty gór w przepaście leciały, jakby ziemia wyszła z posad i w bezdeń spadała. Okrzyk przerażenia wśród niemców...

— Most się zawalił!!!

Runęła ogromna calizna, woda śliźga się po tramach, przęsła się chwieją, sto ciosów

żółta fala niesie, w długim moście wyłom, droga dla niemieckiej nawały odcięta...

Sobiebora opadły siły. Oparł się o poręcz dębową, patrzy za siebie...

— Boże mój! Dobry Boże!...— —

Dwaj towarzysze jego pod cepami już padli. Na rycerza bez skazy leci teraz czerń, świata już Sławnik nie widzi, w oczach nowa kaskada krwi, zasłonił się jeszcze raz mieczem, ręka mdleje...— —ciało mdleje...——

Wbił w niego oszczep niemiec, dziesiętnik obuchem rozwalił mu głowę,—nie żyje Sławnik, a przecież wściekły żołnierz siecze. Rąbią go, mszczą się niemcy na wrogu, którego ręka pomór w ich szeregi niosła, którego myśl śmiertelnym strachem cesarza Niemiec przejmowała...— —

Tak zginął rycerz wielki, człowiek o duszy nieskazitelnej, tak umarł Sobiebór Sławnik, rodzony brat świętego Wojciecha. Umarł, aby myśl jego wiecznie żyła... Poległ za Słowiańszszyznę, dał gardło za ideę Chrobrego. „Śmierć jego sprawiła wielką żałość wśród polaków, wielką radość wśród ich wrogów." (*)

. . . . . .

*) Thiethmar VI 9.

Przeminął czas. Bóg dał czechom człowieka o wielkiem sercu i wielkiej duszy, który na miejscu, gdzie zginął czech, Sobiebòr Sławnik, wieniec kamiennych posągów postawił. Poczerniały ze starości rzeźby, zdają się dziś dumać o zabitym bohaterze, który położył życie za swe przekonania, w którego sercu gorzała miłość do ludzi jednego słowa, do dzieci jednej matki, synów jednej ziemi... — — —

XIV.

Jakby wszystko wymarło w ogromnym zamku wiślickim, w ciemnych, ponurych gankach pustka i stęchlizna. Kto żył, kto młody i zdrów, na wojnę poszedł; opustoszały komnaty, które ucztami wrzały, izby czeladne, w których żołnierstwo huczało.

W kurytarzu zaskrzypiały żelazne drzwi, zawarczała rdza, która zawiasy z osiami łączyła, z żołnierskiej izby wyszedł człowiek z bochenkiem chleba pod pazuchą. W prawicy konew miedzianą niesie, u ucha naczynia długi, bardzo długi sznur. Krok starca echem głośnem z pustych piwnic wraca, wyszedł burgrabia na podwórzec, chleb na kamiennym żłobie cembrzyny położył, kołem wielkim obraca, wodę z głębokiej studni ciągnie. Wiele się namozolił, nim wiadro na świecie się zjawiło, ujął je

w silną ręką, w dzban miedziany wodę leje. Chwycił za ucho naczynie, podjął chleb i w kamienne wierzeje wraca.

Przeszedł ganek, jeden i drugi, zawiera za sobą drzwi, aby wicher przeciągu zatamować, schodami idzie w dół do piwnic. Przyszedł do ogromnego sklepu, ujął ciężką żelazną kratę, która na środku podłogi otwór do podziemia zagradzała, pochylił głowę ku ziemi, patrzy w czarny loch i słucha...— —

— Hej!!

Głuche stłumione echo odpowiedziało tępym głosem: hej! Nie echa burgrabia czeka; człowiek, na którego starzec wołał, nie odezwał się, cisza trumny zapanowała w okropnych zamku wiślickiego piwnicach...

— Hej!! Odezwij się!

Cisza i cisza...— —

Ukląkł starzec na ziemi, głowę do wylotu studni przyłożył, patrzy w głąb... Tam przez maleńkie okno słabe światło się wdziera, widzi burgrabia wnętrzne okropnej jamy...— —

— Chleb nie ruszony — szepce burgrabia. — Nic nie jadł.

— Hej! Hola! Hej!

Cisza...— —

— Odezwij się!

Echo jakby płaczem pogrzebu zawołało: odezwij się! Jeszcze raz patrzy w głąb... tam na klepisku jaskini rozciągnięty więzień leży...— —

— Umarł!!!

Zostawił starzec wodę i chleb.

Chybkim krokiem leci na górne pokoje do świetlic się spieszy, zdyszany, do Heligundy przybiegł...

— Co mi zwiastujesz?

— Bolesław Rudy ukończył krwawe swoje życie...

* * *

Dwaj ludzie po drabinach w dół zeszli, ciało skazańca w sosnową trumnę schowali, na powrozach ją wyciągli na świat, na upłazie zamczyska nieszczęsnego księcia czeskiego chowają. A choć zamek pusty, przecież niespodziewanie kilku nieznanych żałobnych gości się na pogrzebie zjawiło. Skąd się wzięli, wie jeden tylko książę Wiślicki, który obcym ludziom ręce serdecznie ściskał, jakby dawnych znajomych i przyjaciół witał.

— Na wasze, bracia, przyjęcie otwarte zamku wiślickiego podwoje.

— Otuchy nam dodajesz, drżym jednak ze strachu na myśl...

— Bądźcie spokojni. Ja za wasze bezpieczeństwo ręczę. Bolesław wojnę toczy, wojewodowie wszyscy przy jego boku...—

— Ręczysz? Tak? A w drodze doszła nas wieść...

— Jaka?

— Że naprzeciw nam idzie do Kijowa Wdały Walgierz.

Zbladł nagle Wiślicki...

— Kto ci to mówił?

— Wieść pewna. Co to? Twoje lice... Co tobie?

— Nic, to nic.

— Tyś blady...

— Wydaje wam się tylko. Chodźcie do zamku, wytoczę beczkę wina. Pić będziecie na stypie człowieka, który padł ofiarą chciwości i pychy króla Bolesława.

. . . . . .

Zasunięte wrzeciądze, ważne rozprawy się toczą, kielichy winem się perlą.

— Wracacie z Kijowa?

— Od cesarza, z Niemiec do Kuninga Włodzimierza wędrowaliśmy.

— Przez Polskę wasza droga?

— Najbliższa. Na Ruś szliśmy przez Węgry, na granicach ruskiej ziemi doszła nas jednak wieść, że bolesławowscy szpiedzy na Morawie i Słowacczyźnie na nasze życie dybią, że wydać nas w ręce Bolesława przyrzekł król Węgier... Chyłkiem lasami, nocą idziemy. Polska z wojska ogołocona, tu nas nie szukają, łatwiej się prześliźniemy...

— Podzielam waszą trwogę i strach, dobrzy przyjaciele. Los szczęsny dał mi spotkać was, gdym w puszczy polował. Stara przyjaźń. Wszak znam was z Frankonii i Niemiec?

— Tak jest. Zawsześ Wisławie wiernie Ottonowi i cesarstwu niemieckiemu służył.

— Lutnia ma dziewkom waszym czułe pieśni śpiewała. Mówicie zatem, że Wdały Walgierz...——Powiedzcież mi, jakie wieści z Kijowa niesiecie?

— Kuning ofiarowaną mu przyjaźń cesarza wdzięcznym sercem przyjął, broni jednak przeciw Polsce użyć wzdraga się i boi. Wre tam walka między Jarosławem a dziedzicem tronu, — dziś w łasce Świętopełk i królewna polska.

— Wdały Walgierz zaś?

— Jedzie światełko przychylności Wło-

dzimierzowej dla Polski w płomyk rozdmuchać, w wielkie ognisko zapalić.

Zamyślił się Wiślicki książę.

— Uda mu się to, zaprawdę!! — zawołał Wisław. Was złapie, wywiesza na przydrożnych drzewach, sam do Kijowa pójdzie... — —

— Jakto?! Wszak ręczyłeś za bezpieczeństwo nasze.

— Nie wiedziałem, że do Wiślicy idzie Wdały Walgierz.

— Uciekajmy więc!

— Co?! Uciekać?! Tchórz i głupiec haniebną ucieczkę wybiera wtedy, gdy jest do zdobycia zaszczyt i dank.

— O czem ty mówisz?

— Pytasz się? Powiedz mi, jakby przyjął niemiecki cesarz wieść, że z ręki waszej Walgierz...— —

— Śmierć?

— Śmierć!

— Jakto? Wszak tu, w świetlicy śpi jego żona...

— Żona mówisz?

— Heligunda.

— Ona nam do spełnienia czynu pomoże.

— Ona?!!

* * *

W Walgierzowej Wiślicy niemieckie rycerstwo siedzi, puste dotąd zamczysko po nocach wrzawą biesiad huczy. U stóp kamiennej wieży dzień i noc żołnierz czuwa, aby o przyjeździe Walgierza biesiadników ostrzedz, aby powołać do broni rycerstwo, które z Heligundą pije.

— Wpadnie w nasze ręce!

— A jeśli Wiślicę ominie?

— Nie ominie! On tu przyjedzie do ukochanej żony.

Zaśmiała się Heligunda. Odjęła wiśniowe wargi od kielicha i rzekła:

— Wiem, że do mnie przyjedzie... — —

. . . . . .

Dzień za dniem leci, bawią się ludzie i radują nie myślą o tem, że każdy dzień, to jeden więcej krok do grobu. W płaczu zejdzie czy w radości, wszystko jedno; tam u celu zamrze śmiech, zamrze wesele — zamrze płacz i przekleństwo. Ten, co życie przy winie i kobietach przeszalał i ten co przeklął, staną przed majestatem sądu. Straszliwy sędzia, łaski jego niczem nie kupisz, jeno perłami przyniesionych z życia ziemskiego łez. Tylko te perły przyniesione przez biednych, wydziedziczonych, zaciężą na szali. Bogactwem, zna-

czeniem kupisz względy głupców tej ziemi, nie kupisz litości sędziego. Zapowiedziany przez Chrystusa sędzia postawi ucho igielne: przejdzie przez nie ten, który ma skarb głodu, rozpaczy...— —

Tydzień minął jeden i drugi, żołnierstwo próżno Walgierza czeka. Dobrze im tu w Wiślicy: kilka beczek wina z piwnicy znikło, nowe napoje z za gór, z ziemi słowackiej wiciną przysłano. A pieśniarz Wisław, który drżał bojąc się o losy przyszłej walki, uspokoił się już winem, wróciła w serce cisza i otucha...— —

— Może nie przyjdzie. A jeśli przyjdzie... to bardziej odemnie zagrożone życie ich..—

Klęczy u stóp kochanki, czułą pieśń o miłości jej śpiewa. Biała dłoń kobiety wplątana w piękne trefione jego włosy; śmiejące się oczy, w dorodne lica młodzieńca patrzą, miłość mu obiecują... — —

Śpiewał czułą piosenkę, lutnię na ziemię porzucił, ręce ku drogiej kobiecie wyciąga, ujął jej ramię, niewieścią postać ku siebie pochyla.

— Kochaj mnie!...

Zakraśniała uśmiechem, jako zakwitła latem róża, wyciągła rękę, czoło młodzieńca zlekka odpycha...

— Nie, nie... teraz pij!

Zerwała się z niedźwiedzich skór, ręce zaplotła na Wisława szyi, oddech jej ciepły czuć, z wiśniowych ust czuć zapach wina. Wiedzie kochanka do stołu, gdzie kielichy stoją.

— Pijmy!!

Nalała kielich ogromny, rąbek naczynia zasrebrzył się u pięknych ust, chyliła długo puhar, aż spełniony duchem, brzękiem zadzwonił na stole.

— Pij!

Wiosenne słonko budzi w ziemi nasiona, to wino budzi ciepło słoneczne we krwi...

Wino wiosenne czary niesie...

— Zakwitnij! Kobieta jako dzwonek polny; gdy kocha, wtedy kwitnie...

— Nalej wina!

— Kochaj mię! Litość miej!

— Nie, nie!

— Wnet dnieć zacznie. Wypędzą mię od ciebie budzący się w zamku ludzie, wypędzi mię od ciebie dzień.

— Jutrznia jeszcze śpi.

— Wnet zejdzie, a ty bez litości oddalisz mię...

— Nie pójdziesz dziś. Boję się. Samotnej straszno...

— Czemu?

— Więzień wiślicki umarł, tu w podziemiach umarł, człowieka na stokach pochowano...

— O rudym księciu mówisz?

— Duch w nocy wstanie, straszne widmo przyjdzie...

— Uspokój się.

— Spokój na dnie kielicha. Pij jeszcze, pij.

— Za twoje zdrowie!

— Zbliż się. Gdy przy mnie jesteś, nie myślę o człowieku, który umarł, znika ze serca straszliwe widmo...

— Nie myśl o tem. Szczęście nam, radość i wesele.

Objął pieśniarz postać kobiety, jako powój złotą dziewannę tuli, przyciąga do siebie krasawicę, na wiśniowe usta, zwilżone winem, łakomie patrzy. Rzuciła Heligunda kielich, chwiejnym krokiem do krzesła idzie. Słania się zeznojone winem ciało, kochanek niesie prawie w objęciach tę młodą, bogatą rozkwitem postać. Siadł przy niej Wisław, oczy krasawicy wino mgłą przysłoniło, śmieją się usta, same lgną do pieśniarza ust, pił młodzian szczęście z wiśniowych ust Walgierzowej żony...

— Kochaj mię—zaszeptała kobieta.

Płonęły ich usta miłością i winem.

* * *

Nie dniało jeszcze, gdy z ciasnej, leśnej drożyny wyszło trzech mężów na równinę.

— Wiślica!

— Dom mój.

Szybkim krokiem krętą ścieżkę przebiegli, Wdały Walgierz zatrzymał swych towarzyszów przed bramą...

— Strażnik...

— Nie budźcie go...

— Co to? On przy bramie śpi?

— Zmysły jego uprzątł twardy sen.

— Oszczep z rąk mu wypadł, żołnierz głowę ku ziemi pochylił.

— Nie budźcie go.

— Czemu?

— Niechże nikt nie wie, że jestem w zamczysku.

— Rozkazałeś panie.

— Tam śpi moja żona. Niespodziewaną radość mem przybyciem sprawię. Niechże pierwszym będę, który jej mój powrót obwieści.

Trzej ludzie minęli strażnika, minęli bramę, przebiegli podwórze i znikli w nizkich drzwiach zamczyska.

Wdały Walgierz cicho po kamiennych schodach leci, wybiegł na górę...

— Co to?

Wierzeje dębowe strzeżuja żelazna stroi, przez otwór w zamku promyk światła się przedziera. Promyk światła, jak złota nitka wdal leci, na zbroję Walgierzową pada, na świecącym mieczu jego się migoce.

Serdeczny uśmiech szczęścia na licach Walgierza...

— Nie śpi kochanie moje...

Otwarł wierzeje silną dłonią, wszedł...— Skamieniał... Oczy jego patrzą... Przetarł oczy... chce iść... nogi posłuszeństwa odmawiają...— —jakby paraliż ruszył jego ręce i nogi...— — —

— O! O! O!!!

. . . . . .

— Żono!!!

— Czego chcesz?!

— Czy ja oszalałem?!! Czy zmysły moje...

Zerwała się pijana Heligunda...

— Zdrowe masz zmysły.

— Cóż więc widzę?...

— Widziałeś, jak się z mym kochankiem całowałam.

— Ty?

— Ja.

Rzucił się Walgierz na pobladłego lutnistę, palce jego rąk jako orle szpony zakrzywione. Wpadła wpół drogi Heligunda na męża, miecz z za pasa porywa. Świsnął w powietrzu błyszczący miecz, w okno wpada, wyleciał na pole, zadźwięczał na skalnym stoku zamczyska, jakby zapłakał ten Walgierzów miecz...

Chwycił rycerz Wisława w niedźwiedzie objęcia, straszne wołanie o ratunek powietrze rozdarło, pijaństwem szalona kobieta z tyłu męża dopada, za gardło chwyta, palce w ścięgna szyi wbija, brak Walgierzowi tchu, troje ludzi to jedna straszliwa calizna, która wije się bitwą, szarpie i kotłuje. Wie Heligunda, że dać Walgierzowi dech, to jej śmierć, to straszna zemsta, straszny skon. Krzyk kobiety słychać, śmiertelny krzyk Wisława, którego kości trzeszczą...— —

Wpadł nagi człowiek do świetlicy...

— Walgierz!!! Walgierz!!!

Wypadł w mgnieniu oka, wrócił z bronią, za nim wali się gromada żołnierstwa, na wpół nadzy, gezłem ledwo nagość ciała okryli, a każdy w ręku ma miecz, ma sznur...

Jako jastrzębie na Walgierza spadli, powróz na szyję zadzierzgnięto, wrzyna się

stryczek w szyję, dech odebrał przytomność, ręce ślepe ruchy czynią. Schwytano ręce, w powrozy je wiążą, ramiona, nogi spowite, pacierz nie minął a olbrzymi człowiek leży skrępowany, bezwładny jak trup...

* * *

Chcieli mu zbójcy straszną śmierć zadać, żona go zamordować nie dała. Dla niej musi żyć, dla jej uciechy życia postradać nie może. I Heligunda zrazu chciała skrępowanemu łeb rozbić, ale w ogniu okropnej hańby stajał jej zamiar... Bo gdy spowity powrozami zobaczył żonę, napluł jej w twarz i zawołał:

— Suko!!!

Zemsta, okropna zemsta. Za pohańbienie zapłaci... Paliła ślina... pali... wymyła twarz... a ślina pali.

Nie wydała go rozbójnikom cesarskim.

— Wy idźcie, idźcie! On w mych rękach bezpieczny, szkody wam nie zrobi.

Na rozstanie z poselstwem cesarskiem wielką ucztę w górnych izbach wydano, a gdy w świetlicy dźwięczały srebrne kielichy, którymi się pijani ludzie trącali, to tam w dole, w wilgotnych, ohydnych norach niewolny chłop pracuje: rąbie skałę,

do wielkiej piwnicy, w której Bolesław Rudy umarł się dobija, w caliźnie skalnej drogę kilofami wybija. Do tej straszliwej jamy było dotąd wejście tylko z powały: Heligunda chce ją z zamkiem połączyć, dostęp prosty do niej zrobić. Gdy wybito ganek, wyrąbano drzwi, do głównej ściany żelaza wbijają; w skałę wbity hak spiżową obręcz trzyma, u obręczy wisi łańcuch z obrożą na obie ręce i nogi. Kajdany gotowe. Człowiek, który tu przykutym zostanie, zawiśnie na tej ścianie, żelazem ze skałą związany...

Oprawcy nim opuścili zamek, do Walgierza zeszli, choć pęta na jego rękach, przecież do olbrzyma zbliżyć się boją; zdaleka sznury rzucają, ujęli znowu stryczkiem jego szyję, znowu na zemdlonego spadli, do lochu zanieśli, ręce jego i nogi w żelazne obroże zakuli. Wisi człowiek w powietrzu. Sama Heligunda klucze od kajdan wzięła, na szyi u bursztynów zawiesiła, na zemdlonego męża z radością i rozkoszą patrzy.

— Plwałeś?!! Teraz odpokutujesz!!

. . . . . .

U stóp Walgierza kości białe widać. Ludzie, co tu głodem dawno pomarli, w proch się już obrócili, tu zgnilizna straszna, tu pomiot ludzki, brud i ohyda. Drugą po-

łowę piwnicy czysto zamieciono, tu Heligunda kobierce z górnego zamku, skóry wilcze i złotogłowy znosić każe. Przyniesiono do piwnicy łoże, szkarłatem je okryto, ramiączko barwnych kwiatów Heligunda nazbierała, do piwnicy je niesie, łoże swoje kwieciem stroi. Nad łożnicą kobiety kobierce z Carogrodu rozwieszono, przy łożu stół zastawiono, miedziane dzbany widać, przy dzbankach dwa złote weneckie puhary.

. . . . . .

Wieczna tam uczta, nigdy nie ustające wesele. Wisław i Heligunda szaleją. Pijany Wisław, pijanej kochance pieśni pijane śpiewa, męką Walgierza, płaczem krwawym się weselą...— — Pije gorzkie łzy... ból okropny siły zwyciężył, nieprzytomność przyszła... zemdlał z bólu...— —

A rozmarzony lutnista szepce do swej miłej:

— Kochaj mnie.
— Nie! Teraz nie!
— Odmawiasz, piękna?
— On śpi!
— Zemdlał.
— Jeszcze śpi...
— Ustek mi daj wiśniowych.

— Aż się obudzi.

— On chory ciężko, drugi dzień nieprzytomny...

— Obudzę go...

— O miłość cię proszę...

— Czekaj! obudzić go trzeba.

Przystąpiła Heligunda do skutego męża i woła:

— Walgierzu! Hej! Walgierzu!

— Zemdlony...

— Budzi się...

— Walgierzu!!!

— Toś ty... zaszeptał na pół nieprzytomny człowiek.

— Obudził się!! Teraz kochanku! Patrz Walgierzu! Patrz!

— Ustek różanych daj...

Objęli się ramionami, jako powój kłos pszeniczny czule obejmuje, tak uścisnął Heligundę kochanek. Walgierz łzawem, krwawem okiem patrzy na ich miłość... Usta ich długim gorącym pocałunkiem związane. Heligunda ściska w nagich ramionach kochanka i tuli...— —

— Boże pomścij się!

— Obejmij mię kochanku ramieniem, bliżej tak bliżej...

— Boże pomścij się!

Opadł Walgierz na łańcuchy, zadzwoniły jakby jękiem i płaczem te żelaza, ciało się słania i opada.

— Zemdlał.

— Obudź go.

— Hola! W ręce puhary!

Nalali wina w złote kielichy. Wisław przyłożył przepełniony trunkiem kielich do ust męża Heligundy wiszącego na łańcuchach,—do ust jego kielich chyli...

— Walgierzu! Walgierzu!

— Obudź się!

— Boli!!—woła Walgierz, który nie wie, gdzie jest, co się z nim dzieje...

— Co ci?

— Żelazo wgryza się w ciało...

— To dobrze!

— Nieprzytomnie mówi.

— Ocuć go.

— Walgierzu!

— Kto tu?—zapytał cichym głosem męczennik, który wrócił do zmysłów.

— To ja...

— Zdrowie twoje pijem.

— Nikczemnico!

— Słyszysz?! Piję twe zdrowie! Zdrowie!! Obyś żył długo... bardzo długo... w tym lochu... tu...— —

* * *

Usiedli na kwietnem łożu, młodość i wino wiośniane rodzi pragnienia, patrzą na przykutnego do ściany człowieka, każde przebudzenie się jego, to hasło do serdecznych pocałunków, do miłosnych westchnień. Dnie straszliwej męki Walgierzowi płyną. Gdy w omdlenie i sen chory wpadnie, zapomina o świecie, o bólu okropnym, z przytomnością i świadomością wraca ból, męka okrutna...— —

— Boże zeszlijże śmierć!

A modlitwie jego o śmierć, szatańskie śmiechy towarzyszą, z półsnu piekielny śmiech katowanego przebudził człowieka, otworzył oczy szeroko....

— O! O! O!

Tam wśród kwiecia Wisław, tam w uścisku serdecznym mdleje miłością jego żona... (*)

*) Scena ta napisana podług kroniki wielkopolskiej Boguchwała z XIV. wieku.

XV.

Pomsta i odwet! Nabrał przekonania cesarz niemiecki, że teraz nadszedł czas skruszyć śmiertelnego wroga, pomścić się za doznane krzywdy, odebrać zagarniętą łużycką ziemię, zdobyć obadzony polskiemi wojskami Budziszyn i Strelę. Wszak dziś już w Mysznach Bolesław panuje, Elstera to państwa jego granica; o pomstę do cesarza wołają spalone niemieckie grody, zabrane w niewolę tysiące niemieckiego ludu. Czas pobić gada, który niedość, że w zuchwałej pysze odebrał niemcom wszystkie słowiańskie ziemie, ale na dworze cesarskim utrzymuje jurgieltników, którzy „kogo tylko można“ przeciw cesarzowi buntują. Porą jesienną ruszył Henryk przez ziemie milczan do Polski. Byłby niewątpliwie pan świata wszego całą Polskę wówczas zawojował,

gdyby nie ta okoliczność, że „uciążliwa nad wszelki wyraz droga“ stanęła na przeszkodzie. Na domiar nieszczęścia pokazało się, że taż sama droga nie była dla Bolesława wcale uciążliwą; dopadł Budziszyna, załogę w nim w zmocnił. Gdy nadszedł cesarz pod stołeczne łużyckie grodno, przekonał się, że zamiast iść do Polski, trzeba naprzód warowny Budziszyn zdobywać...— —

Dowództwo nad oblężeniem powierzył cesarz Henryk dwom sławnym rycerzom. Pierwszym z nich był znany w całych Niemczech ze swych cnót rycerskich duk Hemuza, drugim zaś „niezwyciężony, nieobłaskawiony Tommo“*) wielki żołnierz i zawołany myśliwy. Wybornie wojska sprawili, z niezmiernym impetem na Budziszyn uderzyli. Mrowisko ludu zbrojnego ze wszech stron na warownię leci; jako królowa chmurą pszczolego roju, tak Budziszyn ze wszech stron żelazem, rycerstwem otoczony. Poszli cieśle cesarscy w las, sosny ścinają, koło miasta łużyckiego wieże ogromne budują, na szczytach wież procarze ukryci gradem kamieni obrońców obsypują. Ustawiono pod miastem wielki prostokąt drzewa, na dwóch słupach oś w piastach

*) Thiethmar go nazywa: *indomitus* Tommo.

się obraca, na osi lata dźwignia osadzona, na kształt ogromnej łyżki: dziesięć lin w osi okręcono, aż trzeszczą prężeniem konopie; w pogłębieniu łyżki głaz straszny leży, pofolgowano tamę, rozprężyły się skręcone liny, straszliwym rzutem dźwignię w górę rzuciły; zaświszczało i zawarczało powietrze: to głaz mocą i chyżością niezmierną na twierdzę leci. A tam na wałach soraby łużyckie, tam mieszczaństwo budziszyńskie wrogom się urąga, tam przesławni bolesławowscy łucznicy chmurę strzał na niemieckie wojsko posyłają. Wściekłością zapłonęły cesarskie szeregi, sam cesarz w war bitwy leci, podbiegł na czele wojska pod mury, do boju i pomsty wzywa. Spostrzegł cesarza łucznik polski, poznał go po lśniącym hełmie, po kosztownym, od złota kapiącym stroju; ukrył się za szczerbę w murze, przymrużył oko, na cesarza patrzy... Długo mierzył i mierzył, napina ramię, wyciągnął z baranich kiszek skręconą strunę, aż łuk syczy i trzeszczy...—

Puścił...

Jak błyskawica grot przeleciał koło ucha cesarza, jak komar zapłakała świstem strzała, ocalał cesarz, strzała w pierś grafa uderza, przebiła odzież, wdarła się w pierś,

przeszła nawskróś serce. Przyjaciel cesarza trupem u stóp jego leży.*)

Spojrzała cesarzowi w oczy śmierć, trupi jej majestat krew w żyłach ścina; rzucił się do ucieczki, po stokach góry na łeb na szyję leci; zaleciał tam, gdzie strzała już nie sięga, gdzie nie świszczą kamienie z polskich proc. „Podniósł cesarz serce do Boga, chwaląc Stwórcę, że go ocalił.“

Opasany Budziszyn mocą zbrojnego ludu, mury jego otacza wieniec zabitych niemieckich żołnierzy.

Wielki wódz Hemuza ze zgrozą na pobitych własnych wojowników patrzy, do uszu jego dolatuje z wałów śmiech i urąganie. Wzburzyła się rycerska dusza, zakipiała w wojowniku krew. Za krew krwią postanowił zapłacić; przysiągł, że wymordowaniem załogi Budziszyna pomści wybitych cesarskich żołnierzy. Dojrzał miejsce, w którem warownia broniona najsłabiej, w którem palisady najniższe i mury najsłabsze. Wojsko zebrać i na to miejsce uderzyć postanowił, wśród ciemnej nocy na stromym stoku warowni wszystko rycerstwo gromadzi. Cicho idą pułki pod mury, zemstą dyszący Hemuza im przewodzi, już do pa-

*) Thiethmar.

lisad doszli, już mają na wały wpaść, już mają runąć...

Na wałach ruch jakiś dziwny. Ciemno zupełne, na tle jaśniejszych trochę od ziem chmur coś majaczeje, coś się kotłuje. Wytrzeszczył oczy Hemuza... Trzech żołnierzy polskich tam zaledwie stoi, pochylili się ku ziemi, jakby napadu nie widzieli, jakby po ciemku ciężar jakiś nieśli, trupy pobitych zbierali. Ostatni czas napaść, nim się spostrzegą. Jak huragan uderzył Hemuza na miasto, chmura wojska leci na górę, już ma twierdzy dostać gdy....

Trzej polscy żołnierze wypełzli na szczyt wałów, pracują ciężko, toczą ogrom... puścili...

— Boże !!!

Straszliwy młyński kamień leci jak burza po pagórku, spada, dopadł wojska...— —

— O! O! O!

Jako huragan w lesie pas stuletnich drzew wyłamie, jako żeniec zagon pszenicy wysiecze, tak w czerni ludzkiej ogromny pas wyścielony trupami, sposoczony krwią. Piekielny głaz w mózgi ludzkie i krew strojny leci, że ziemia dudni, że ziemia się trzęsie.

W połowie śmiertelnej swej drogi wpadł na wodza Hemuzę. Zmiażdżony, oblany

krwią, bez ducha wielki wojownik leży...—

A tam tysiące ludzi śmiechem huczy, przekleństwami zahuczała twierdza, urągowiska i naigrawania ze straszliwej klęski słychać. Mało im było pogromu. Wśród ciemnej nocy chmura ludzi z twierdzy wypadła, najbliższych wysiekli, porwali zmiażdżone ciało Hemuzy, do twierdzy je niosą, aby je zbezcześcić, aby je pogrzebem na niepoświęcanej ziemi pohańbić...

Wszak wówczas największem złem było zostać pochowanym w cudzym grobie, zakopanym w cudzej ziemi.

Zapłakał gorzko cesarz nad śmiercią komesa; na rozkaz jego pułkownik białą chorągiew rozwinął, do twierdzy poselstwo cesarskie idzie. Stanął hrabia Zygfryd Thiethmar przed polską nawałą i rzecze:

— Sprzedajcie mi trupa Hemuzy.

Podparł się pod bok zuchwały setnik i rzecze:

— Dawaj za niego sto złotych denarów.

— Opuść co, bracie.

— Nie mogę.

— Czemu?

— Dziś ten towar jeszcze drogi, za kilka dni dopiero potanieje.

— Dlaczego?

— Tak was wysieczem, że będziecie tańsi od baraniny.

Zapłacił pułkownik gotówką brzęczącą... „Trupa Hemuzy kupił brat mój Zygfried Thiethmar i zawiózł do ojczyzny.“*)

. . . . . .

W namiocie cesarskim przedniejsze rycerstwo się zebrało nad dalszem oblężeniem obradować, nowe sposoby zdobycia twierdzy Henrykowi poraić. Raz już trzeba zakończyć oblężenie, bo dla wojska chleba nie staje, głód daje się we znaki cesarskiej armii. W wojennym śpichlerzu dawno widać dno, wszystkie wsie okoliczne już zrabowane, Kitlicze, Radziborz, Nieszowice, Czarnów i Kraków**) już zniszczone. Po chleb trzeba wyprawiać się do Drażdżan, nawet do Lipska; małe oddziały, oderwane od wielkiej armii, lud łużycki tępi; żołnierze zamiast chleba, rany i trupów do obozu przynoszą. Trzeba twierdzę wziąć, bo tam dostatek chleba wielki. Oto podczas ataków czasem bochnami chleba, połciami słoniny z murów rzucają, a biedny niemiecki

*) Thiethmar VI, 11.

**) Koło Ponikowa nad rzeką Połcznicą, w dzisiejszej Saksonii.

żołnierz, lecąc do szturmu, zamiast bić, rzuca się, aby jeść...— —

O zakończeniu nieszczęsnego oblężenia w namiocie cesarskim radzą. Są tam: wielki wojownik Folkmar, Adelheid, sławny z męstwa lzyk, Wizon, młodzieńczy Ludolf i komes Dietrich. Ścichły głosy, które gwałtowne wzięcie fortecy doradzały; jedni namawiają, aby ustąpić ze twierdzy, drudzy sądzą, że trzeba zażyć podstępu i chytrością warownię dobyć. Wszyscy zezem patrzą na komesa Dietricha, niechętnie obecność jego na radzie widząc. Świadomi są wszyscy, że to tajny przyjaciel Bolesława, że to krewniak bawarskiego Hecyla i Wirynhara, mężów trzęsących niemieckiem państwem, którzy „nikczemną wobec Bolesława uniżonością i nie należytem służalstwem godność swą splamili.“*)

Szepty latają w namiocie sejmowym:

— Co my obradzim, jutro Bolesław wiedzieć będzie.

— Dietrych wszystko wyda.

— On wziął grubą łapówkę — zapewnia cesarz Henryk.

— Bazyliszkowe oczy Bolesława go podbiły.

*) Thiethmar V, 6.

Dopiero gdy komes, znużony jałowym sejmem, odszedł, zawołał nieobłaskawiony Tommo:

— Ja twierdzę wezmę!

Wszyscy spojrzeli na olbrzymiego męża, całe Niemcy jego nieustraszoną odwagę znają. Wszak on uzbrojony w krótki myśliwski nóż, sam na sam z niedzwiedziem się boryka, wszak on codzień idzie w puszczę i codzień krwawą skórę dzikiego zwierza do domu przynosi. Zmoże żubra, chwyciwszy go za rogi, młody dębczak wyrwie z korzeniem z ziemi. Tommo straszny dla wroga, jako dla dzikiego zwierza; że go nie ogładą dworską, jeno krwią i mordem czuć, rycerstwo go „nieobłaskawionnym mężem“ zwało.

I znowu w nocy wyprawa na Budziszyn idzie. Kilkunastu olbrzymich drabów wódz wybrał, gromada ludzi z Tommą na czele ku twierdzy zmierza; oni wedrą się chyłkiem, podstępem wejdą, bramy otworzą, znak dadzą. Na dany znak cała cesarska armia do Budziszyna wpadnie. Idzie Tommo brzegiem Sprewy, w śmiertelną drogę idzie, a przecież nie myśl o śmierci, jeno pogodę, pewność zwycięstwa widać na opalonem jego, zarosłem obliczu. On wie, jak w pu-

szczy podejść zwierza; on wie, jak oszukać czynność budziszyńskiej straszy...

Idą do miasta brzegami Sprewy. Rozsypali się, każdy swą drogą dąży, olsze nadbrzeżne ich kryją, żołnierz, jako derkacz, trawę brodzi, wiklinami się przemyka; gdzie pusty brzeg, na twarz upada i na czworakach zwolna się plezie. Przemknął się przez otwarte miejsce, znowu we wikliny buchnął, na przedzie rozsypanych żołnierzy Tommo ze straszliwym mieczem naprzód się posuwa...— —

Stanęli.

— To mury miasta.

— Sprewa je przerwała.

— Nad rzeką musi być straż.

— Bez wątpienia.

— Podejdę i zobaczę, szepnął żołnierz.

— Stój!—zaszeptał Tommo.—Ja pójdę sam.

— Czekamy na twój znak.

Wrócił wódz, brodząc rzeką.

— Straż?

— Obie strony rzeki pilnowane.

— Po lewej żołnierz śpi. Usiadł na ziemi, ręce na oszczepie wsparte, głowę zwiesił na ramię.

— Nie przewidują napadu...

— Uspiona ich czujność...

— Zabić go!

— Czekajcie. Ja załatwię się z nim sam.

— My zaś...

— Z waszych rąk drugi zemrzeć musi. Ten, co czuwa na kamieńcu. Jeśli wyda jęk, zgineliśmy...— —

— Obóz się obudzi, nadaremno nasz trud...

— Do dzieła!

— Do czynu!

Trzech ludzi wpełzło we wiklinę, na żołnierza oczy zwrócone, ten z mieczem w ręku chodzi brzegiem rzeki; gdy idzie ku niemcom, cicho w gąszczu wierzbowym siedzą bez ruchu, bez życia, żeby się nie zdradzić. Doszedł strażnik do wiklin, zwrócił się w przeciwną stronę, teraz pora iść naprzód, teraz czas... Przeszli gęste wikliny, do ziemi przykuci. Żołnierz się znowu zwrócił, ku nim idzie... Dziesięć kroków pięć, dwa... przy nich jest... chce iść z powrotem...— —

Dwóch chłopów skoczyło, czworo rąk gardło dławi; zacharczał żołnierz, oczy na wierzch wyszły, przyskoczył trzeci i mieczem przeszył strażnika na wylot.

. . . . . .

A po drugiej stronie Sprewy idzie sam Tommo, jak kot się do śpiącego człowieka

skrada—już jest koło niego... Ciął ogromnym mieczem w pochylony kark. Głosu żołnierz nie wydał, ani westchnienia; grobową ciszę przerywa tocząca się po spadzistym brzegu, krwią buchająca głowa, opadające ciało, włócznia, która wypadła z martwych rąk, krew która z kadłuba wrejącą kaskadą tryska i pluszcze...— —

— Naprzód!

Znowu cichutko ruszyło wojsko. W żołnierzu serce niepokojem i strachem bije, rzadsze tu już wikliny, chaty nad brzegiem rzeki widać, płótna na trawnikach się bielą, za trawnikami jabłonki się rozłożyły, głogowe żywopłoty się czernią. Wśród głogów i jabłoni poruszyło się coś zlekka...—

— Widzisz?

— Wiatr gałęzie chwieje.

— Tam jest człowiek.

— Nie. Żywej duszy niema.

— Słychać coś, jakby tłumiony ludzki gwar.

— Chodźmy dalej. Strach senne widziadła rodzi.

Uśmiech tryumfu na licach Tommy.

— Zwycięstwo!—szepce.

— Minęliśmy wały.

— Budziszyn nasz!

— Wszyscy na jednę bramę uderzym, jeśli jest straż, wybijem w pacierz, mieczem i toporem wyrąbiem drewniane wierzeje.

— Gdy brama runie, niech się ozwie róg.

— Na znak dany przez nas, całe wojsko wpadnie.

— Nim wpadnie, wytrzymamy nawałę, na łbach miecze szczerbić będziem.

— Naprzód! Naprzód!

— Cicho! Jako koty!

— Cicho! Krzyczeć tryumfem będziem, gdy miasto w ogniu stanie.

Uszli niewiele kroków...— —

— Dziwna zaprawdę rzecz.

— Co cię dziwi?

— Miasto jakby wymarło.

— Spią.

— Przeraża mnie ta grobowa cisza.

— Ta straszna cisza wyje w mem uchu słowem: „zdrada."

— Milcz! Głupiś!

— Naprzód!

Już mieli iść naprzód, gdy w tem...

. . . . . .

Obejrzał się za siebie Tommo... dreszcz strachu przebiegł przez krew mężnego rycerza, nieruchome oczy wlepił w wodę, tam

za nimi, gdzie woda mury miasta przerywała...

— Widzisz?

— Kotłuje się coś, tłumi.

— Srebrna fala poczerniała, jakby ją zawaliły głazy.

— To ludzie!!

— Tłum chłopstwa rzekę nam zagrodził!!

— Śmierć nam!!

Jako piorun ciszę przed burzą, tak straszny śmiech urągania, lecący od murów, przerwał spokój jesiennej nocy.

— Otoczyli nas!

— Spostrzegli nas, rozmyślnie do twierdzy wpuścili.

— Teraz odwrót odcinają.

— Niech się ozwie róg!

— Daj znak! Cesarz przyjdzie z pomocą!

— Inaczej śmierć nam!

— Albo im!!—krzyknął Tommo, który ze strachu ochłonął, którego serce na widok niebezpieczeństwa rosło, dla którego śmiertelny bój był codziennym chlebem. Dano sygnał obozowi...— —

Skupiło się żołnierstwo około wodza...

— Ratuj nas!

— Wyratuje was męstwo wasze i mój miecz!

Zlecieli się rycerze do boku pułkownika; ostatni czas, bo i od miasta tłum chłopstwa z cepami leci. Otoczone murem ludzkim dokoła, żołnierstwo niemców się bije, Tommo, który spokoju krwi nie stracił, zimną rachubę w obliczu śmierci zachował, walcząc, zwolna się ze swymi biegiem rzeki do wyłomu w murach cofa. Weszli w wodę, dziwna zaprawdę walka, na środku rzeki. Tylko kilka pacierzy naporu chłopstwa wytrzymać, do wylotu dojść, a tam już wolna droga do odwrotu, tam wolne błonie, tam stoki twierdzy, i odsiecz, i cesarz...— — I podobnem jest to wojsko do mszycy, którą ze wszech stron mrówki otoczyły: broni się biedny owad przed wrogiem, ucieka, nawała drogę tamuje, mszyca i mrówki to żywa calizna, która idzie dalej i dalej, jak to wojsko zwolna do wylotu idzie...— Nim dojdą, wymrą wszyscy. Napadło ich nie rycerstwo żelazne, lecz łużyckie chłopstwo, którego orężem cepy...

Marna broń w obliczu żelaznego miecza: gdy wojownik miecz puści, liche drzewce w trzaski leci. Ale czego nie dokona chłopski sprzęt, to zrobi straszliwa ludzka nawała: uderzył rycerz mieczem, trzy bijaki przeciął, a dziesięć cepów na żelaznych, na hełm jego

spada, w łeb wali; grzmi na żelazie, ogłuszony pancernik na ziemię się stacza bez życia, maleje gromada i maleje...

Chce swych wiernych ratować Tommo. Nie broni się, wielki rycerz, lecz napada, wystąpił, na chłopów uderza, drogę toruje, świszczą straszliwe razy w powietrzu, ściął kilku kmieci, którzy mu drogę tamowali...

— Naprzód—woła!—Naprzód!

Topnieje oddział, jako bryła lodu w promieniach słonka, w oczach maleje i znika, a jednak Tommo idzie naprzód. Z braci rycerskiej zostało jeno pięciu, już jest tylko trzech, ci wyjdą z obieży, wrócą do swoich...

Wspiął się Tommo na wysoki kamień, wystający ze Sprewy, aby tem łacniej ciąć... poślizgnął się i runął do wody...— —

Chłopstwo rozbiło łby jego towarzyszom, rzuciło się na wielkiego wojownika, który dźwignął się, aby drogo sprzedać swoje życie. Ale pachołek uderzył go rozmachem cepa w twarz, krew bluzla, wyskoczyło na wierzch oko, pochylił się wielki wojownik, grad strasznych ciosów na niego spada, „długo jeszcze hartowny kirys bronił go od śmierci", płuca wreszcie wciągły kaskadę wody, zginął sławny mąż od topieli i kijów łużyckiego chłopstwa. (*)

*) Opis śmierci Tommy u Thiethmara.

Ucichło wreszcie wszystko. Sprewa, zabarwiona krwią, czyści się już i bieleje, wartka toń unosi zwłoki rycerza, który na cały świat ze swej odwagi słynął. Śmierć cię obłaskawiła wielki, niezwyciężony, „nieobłaskawiony" Tommo.

. . . . . .

Chłopi łużyccy opuścili pobitych, jak wicher wałami do głównej bramy lecą, tam grają trąby, tam krzyk jakby się świat walił.

Posłyszano w obozie cesarskim echo rogu, wszystkie wojska na główną bramę uderzyły, wszak Tommo ją otworzyć miał. Pomsta niemców na twierdzę wiedzie, wiedzie ich straszliwy głód: wszak od trzech prawie dni wszystka żywność wyczerpana, od trzech dni wojsko mrze głodem. Przypadli do bramy, sądząc, że stoi otworem... A tu przed obliczem zgłodniałych ludzi bramy nie tylko zamknięte, ale szczyty murów tysiącem procarzy obsadzone; grad kamieni na wojsko leci, wrzącą wodę na łeb niemcom leją. Zamiast zwycięstwa, pogrom straszny. Zaświszczał kamień z procy, uderzył cesarza w prawe, zdrowe kolano, upadł sławny monarcha na ziemię, jęczy okropnie i przeklina; podnieśli pachołkowie jego pomazaną

osobę, do obozu niosą, do obozu śpieszy całe wojsko, niosąc rannych pobitych i wstyd.

* * *

Zwołał cesarz radę.

— Ani chwili tu dłużej nie zostanę!— rzekł do rycerstwa.

— Bardzo słusznie — rzekł Thiethmar.— Wnet spadną ulewne deszcze.

— Droga będzie nad wszelki wyraz uciążliwa.

— Gdy minie zima, śniegi zaczną tajać.

— Zwijam obóz i wracam do Niemiec.

Wszedł strażnik do namiotu, oddał pokłon cesarzowi.

— Czego żądasz?

— Poselstwo z twierdzy o posłuchanie ciebie władco prosi.

— Niechże wejdą.

W purpurowym namiocie zjawiło się kilku rycerzy polskich, których cesarz wzrokiem wyrzutu, żalu, nienawiści obrzucił.

— Czego chcecie wyrodki chrześcijaństwa?

— Król nasz Bolesław dobrowolnie Budziszyn ci poddaje. (*)

*) Dlaczego zwycięski Bolesław Budziszyn dobrowolnie poddał, jest to pytanie, na które rozmaicie odpowiadają historycy. Palacky przypuszcza, że w zawojowanych przez Bolesława ziemiach wybuchło powstanie, że to zmusiło króla do ściągnię-

Zamilkli wszyscy, szeroko wytrzeszczyli oczy, cesarz od rajcy do rajcy głowę zwraca, zdumionemi oczami, ich pytając... Wlepił Henryk pytające w posłów źreniče...

— Hę?!!

— Tak jest, wielki cesarzu. Jeśli zgodzisz się, aby wszystkie wojska, wszyscy obrońcy z bronią z twierdzy wyszli, warownię ci władco poddajem.

— Co to ma znaczyć?—zapytał zdumiony cesarz.

— W tem się kryje podstęp.

— Może Bolesław się skruszył?

— Może nieba oświeciły go i starły jego pychę?

— Ustatkował się „wściekły bezczelnik.“

— W pokorę się udaje.

— Tak sądzicie?—rzekł cesarz, trąc ręką zbolałe kolano.

— Jestem tego zdania. Poddaje się...

— Nie... Nie!

— Ja znam go! Ja wiem napewno, że to nowe jakieś szelmostwo.

— Tak jest! W tem kryje się zdrada!

— Podstęp!

---

cia zewsząd sił. Bartoszewicz podziela zdanie Palackego. Szajnocha sądzi, że był to fortel Bolesława, aby cesarza w głąb ziem polskich wciągnąć i tam pokonać.

Przecież rada uchwaliła przyjąć warunki poddania się, wojska serbskie i polskie wolno wypuścić i twierdzę objąć w posiadanie. Cesarz jednak zostawiwszy w Budziszynie załogę, do Niemiec powrócił, wróciło z nim „zbiedzone drogą i głodem wojsko." (*)

Nieszczęsna na Polskę wyprawa skończyła się uroczystym cesarza Henryka rozkazem do grafów saskich aby: „strzegli granic od najazdów Bolesława, i owszem, aby go sami ustawicznemi napaściami niepokoili." (**)

* * *

Zawrzała krew, zapłonęła żądza zemsty. Trzeba raz na zawsze skończyć z Polską, trzeba „jadowitego gada" Bolesława raz na zawsze nieszkodliwym uczynić. Trzeba pomścić hańbę, jaka na cesarstwo spadła. Wojny z Polską były uważane dotąd jako sprawa graniczna, jako obrona kresów przed wrogim najazdem, dziś stały się kwestyą bytu niemieckiej potęgi, kwestyą obrony przed okropnym najeźdzcą, przed „pustoszycielem większej części cesarstwa."

*) Thiethmar. **) Tamże.

Już nie Marchie Wschodnie, ale cesarstwo całe przeciw „lwu ryczącemu" wyruszy, narody z Włoch, Alp, z nad Renu, Dunaju z nad brzegów oceanu przeciw Bolesławowi na bój idą. W proch zetrze Polskę to niezmierne morze wojska, które ze wszech stron Europy idzie na wschód...— —

Z komór wydobyto wszelaką broń, z ducha wydobyto wszelakie kłamstwa. Mniejsza o to, że bezczelne i bezwstydne, byleby były przeciw Bolesławowi skuteczne. Oto niemcy „z wrogiem Chrystusa" bić się idą; kto przeciw Bolesławowi w pole nie wyruszy, ten nieprzyjacielem Jezusa, na tego głowę spada przekleństwo, na tego dom spada klątwa. Kościół niemiecki rzuca klątwę na tych, którzy na bój za Polskę nie pójdą. (*) Pod koniec lata roku 1005 otrąbiono z krużganków pałacu cesarskiego walną na Polskę wyprawę po wszystkich marchiach, po wszystkich hrabstwach z rąk do rąk idzie cesarski miecz, na znak, że wszystko, co żyje, ma ruszyć na „jadowitego gada." Kto nie stawi się, ten da gardło!!

Wysłano gońców do czeskiego księcia Jaromira, wasala cesarskiego, aby natych-

*) Thiethmar.

miast na wyprawę się stawił, wezwano na wyprawę pogańską lutycką starszyznę, aby się z cesarstwem złączyła.

Jako szarańcza na pszeniczne pola zniszczenie niesie, chmurą niezmierną lecąc, tak cała środkowa Europa leci na Polskę, na jej pogrom, na jej hańbę, na jej zgon...

* * *

Zwołano tę czerń, to mrowisko zbrojnego ludu w imię Chrystusowe. Przeciw komu ta rzesza ciągnie, kogo pobić i zetrzeć zamierza? W imię Jezusa poszli w bój z wielkim budowniczym kościołów, z fundatorem biskupstw i opactw, z nieśmiertelnym opiekunem męczenników, których groby w olbrzymie, ze złota lane posągi stroił, których trumny w iskrzące brylantami, złote tablice spowijał. Idą przeciw szermierzowi świętej wiary, przeciw chrześcianinowi z krwi i kości, którego wiara nie blichtrem zewnętrznym, lecz treścią duszy była, przeciw królowi chłopów, który „ojcem żarliwym był kmiecia, nie panem," przeciw opiekunowi wdów i sierot, opiekunowi „włościanina, białogłowy ubogiej i każdej chudziny."—

Cesarz bezczelnie skłamał jakoby wojna przeciw Bolesławowi wojną za sprawę Chry-

stusa była, ohydne zaś jego kłamstwo oburzyło wszystkie zacne serca i wszystkich uczciwych ludzi. Ci łączą się z Bolesławem. Blask wielki na dwór jego, blask na Polskę spada...

Oto przyszedł do pałacu poznańskiego święty Bruno, stanął przed obliczem Bolesława Chrobrego i rzekł:

— „Kocham cię Bolesławie, jako duszę moją i bardziej niż życie moje." (*)

— Za twe słowa, święty mężu niech ci Bóg zapłaci. Będą one dla mnie pociechą i otuchą w nieszczęściu, które na mój naród spada.

— O wojnie mówisz? Klęski się boisz?

Zachmurzyło się czoło króla, zmarszczyły się płowe jego brwi...

— Nie wojny ja się boję—o! nie wojny. Boję się chat, które płonąć będą, żal mi marnie przelanej ludzkiej krwi, boję się widoków błoń, na których trupy gniją, żal mi wdów i sierot, którym męża i ojca porwie wojna!

Żal, smutek, potem gniew. Porwał się rozgniewany król z ławy, ujął rękę Bru-

*) Własne słowa świętego Brunona: Diligo Boleslavum ut animam meam, et plus quam vitam meam. List św. Brunona do cesarza Henryka II.

nona, wskazał mu wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa, wiszący nad tronem, i zawołał z mocą wielką:

— „Ten Chrystus, który wie wszystko, widzi, z jaką niechęcią przystępuję do dzieła, które wykonać zamierzam!" (*)

. . . . . .

Przekonał się święty Brunon, że się zanosi na straszliwą wojnę, zrozumiał, że Bolesław do ostatniej kropli krwi ziemi ojczystej bronić będzie, drżał na myśl o pomście, jaką wywrze na ziemiach niemieckich w zamian za napad cesarza. Choć sam niemiec, napisał święty Brunon do cesarza niemieckiego ostry, surowy list, pełen uwielbienia dla polskiego, apostolskiego króla, pełen goryczy dla niemców, dla ich chytrości i obłudy.

„Prześladujesz cesarzu chrześcianina a łączysz się z pogańskimi lutykami. Jakiż to związek Chrystusa z Belialem, jakie porównanie światła z ciemnością, jakże się połączą Zuarasi lub dyabeł, z wodzem świętych, Maurycym? Jakim sposobem schodzą się: włócznia święta z chorągwiami dyabel-

**) Historyczne słowa Bolesława Chrobrego: Sciat testis omnium Christus, qnidquid deinceps facturus sum, id invitus implebo.

skiemi, które żyją krwią ludzką? Nie uważasz tego za grzech, cesarzu, że głowa chrześciańska pada w ofierze przed proporcem dyabła? Czyż nie lepiej byłoby połączyć się z Bolesławem i z jego pomocą chrześciaństwo w pogańskich miastach szerzyć? O jakże pragnę tego, abyś Bolesława miał nie za wroga, lecz za sprzymierzeńca! Może odpowiesz: ja chcę... Porzuć więc złość, przestań go prześladować, spraw, aby się serce jego ku tobie skłoniło. Strzeż się cesarzu, aby nie odwrócił się od ciebie ten dobry Jezus, który ci teraz pomaga. Oto wtargnąłeś do polskiej ziemi i wiedz, że Święty Piotr, którego hołdownikiem jest Bolesław, i Święty Wojciech ją od twego napadu obronią!! Król Bolesław siłami ducha i ciała namawia mnie do nawracania prusaków, pieniędzy na to nie szczędzić postanowił, a ty wydajesz mu wojnę, przerywasz wielkie dzieło nawrócenia pogańskiego ludu? Pomnij, że w dzień sądu ostatecznego wszystko porzucisz, a staniesz przed sądem Wszechmocnego Boga!“ (*)

* * *

List księdza Brunona nie odwiódł cesarza od najeźdzczej wojny, całe cesarstwo na

*) Z listu Św. Brunona do cesarza Henryka.

północ ciągnie, ziemia saska stała się obozem niezliczonej żołnierskiej rzeszy. Przez lipiec i sierpień nowe pułki nadeszły, armia cesarska podzieliła się na legie, które wyruszyły na północ, zawezwane tam przez cesarza. Henryk II. we wsi Leszczy (**) połączonym wojskom kazał się gromadzić, około purpurowego namiotu cesarza dziesięć tysięcy białych namiotów rozbito; nie obejmiesz okiem przestrzeni niezmiernego ludzkiego mrowiska, nie przeliczysz, ile tam żołnierstwa się roi. Gdy w jasną, gwiaździstą noc rycerstwo dziesięć tysięcy ognisk rozpali, błoń nad Łabą podobna jest do nieba, na którem proch gwiazd jarzy się i płonie...

Olbrzymie to wojsko jakby cały świat zawojować chciało, a przecież z dnia na dzień rośnie jeszcze i rośnie. W połowie sierpnia przybył na czele swych pułków waleczny biskup halberstadzki Arnulf; z nie-

**) U Thiethmara: Liezca. Czy to, jak utrzymuje Bielowski i Bartoszewicz, dzisiejsza Liszka (Leitzkau) pomiędzy Dziewinem a Serbiszczami, wątpić należy, bo Thiethmar po wzmiance o „Liszce" mówi, że Henryk II przez Łabę „się przeprawił." Idąc z Liszki ku Polsce przeprawić się przez Łabę nie potrzebował, bo Liszka (Leitzkau) leży na wschód od Łaby. Sądzę, że bliższem brzmieniu „Liezca" jest Leszcza lub Łyszcza.

dalekiego Dziewina zbrojny biskup magdeburski Taginon z cesarzem się łączy; wszyscy niemieccy książęta Kościoła ze swym władcą na podbicie Polski idą. Radość niezmierną wywołało przybycie wojsk bawarskich z dziewierzem cesarza, Henrykiem na czele, wraz z nim książę czeski, rzezaniec Jaromir wojsko liczne wiedzie. Wreszcie nadciągnęli i oczekiwani przez cesarza pogańscy lutycy. Długo się naradzali po czyjej stanąć stronie, szlachta, uprzywilejowana przez cesarza, nawoływała, aby połączyć się z niemcami, a walczyć z Bolesławem, który lutycką ziemię aż po Łabę zagarnąć zamierza. W prastarej świątyni w Retrze wielki sejm słowiański zwołano: obotryci, przychylni Bolesławowi, do wojny z nim nakłonić się nie dali i zebranie opuścili; lutycy zaś kapłanów i wróżbitów o radę pytają, przez dwie włócznie na poprzek drogi ustawione, koniom skakać każą. Wróżba dobrze wypadła, wojsko lutyckie z cesarzem się łączy. Przybyły słowiańskie wojska do Leszczy, kapłani i harfiarze je wiodą, przed pułkami rzeźbione z drzewa posągi bogów, gęślarze niosą proporce jaskrawe wydobyte z retryjskiej świątyni. Na widok ich otuchy wielkiej wojska cesarza

nabrały. Thiethmar, patrząc na bezbrzeżne morze ludzkie, zawołał:

— „Odwaga we mnie wstąpiła, bo gdy większa liczba, to lepsza zaraz i rada." (*)

Cesarz rozdał między ubogich hojne jałmużny, po czem poszedł wraz ze żoną Kunegundą na brzeg Łaby, której fala nowo wyciosanemi promami się bieli. Na zielonej murawie szkarłatnem suknem drogę wyścielono, na końcu jej szkarłatnym baldachimem pokryta łódź stoi. Wsiadł w nią cesarz wraz z Kunegundą i biskupami, zapluszczały wiosła, wielki monarcha w obcy, nieznany kraj płynie...— —

. . . . . .

Usiadł Henryk na wzgórku, na szeroką Łabę patrzy, oczy jego radują się widokiem niezmiernych wojsk. Tam na rzece kilkadziesiąt promów się mija, każdy prom przepełniony ludźmi do brzegu dopływa, pusty wraca na drugą stronę, aby nowe roty zabrać i na brzeg wysadzić. Mimo gorliwej przewoźników pracy całą noc i cały dzień przeprawa trwała; doba zeszła, nim morze ludu na drugą stronę Łaby przerzucono. Nim się wojsko przeprawiło, dziesięciu biegłych szpiegów cesarz w polską posłał zie-

*) Thiethmar VI 16.

mię, aby o każdym kroku Bolesława wojskom donosili, o każdym „wściekłego bezczelnika" zamiarze cesarza zawiadomili. Wywiadowcy zawołani to w szpiegowskiem rzemiośle ludzie, wypróbowana ich zręczność i wprawa. Gdy cesarz po wstąpieniu na tron uznanie Lotaryńczyków z mieczem w ręku zdobywać musiał, szpiedzy jego, zamieszawszy się we frankońskie wojska, nieocenione usługi swemu panu oddali, zdumiewające dowody przebiegłości i przytomności umysłu złożyli, w obliczu śmierci, we wrogim obozie, jako we własnym domu przebywając. Dziś idą do Polski. Całe wreszcie wojsko na słowiańskiej ziemi stoi; błoń biedzierzycka pod Dziewinem, gra pomrukiem czerni. Śmiechy, gwar, krzyki słychać. Wrzawę wojsk przerwał głos, który przez pułki leci:

— Cesarz chce mówić! Cesarz!

— Władca do wojsk swych, do dzieci przemówi!

Na pagórku wśród stu chorągwi stał kulawy cesarz Henryk, otoczony przez biskupów, komesów i panów. Wzrokiem toczy po mrowisku ludzkiem, czeka aż się chychot i szum uspokoi; gdy zaś niezmierna

cisza zapanowała, rzekł Henryk do rycerstwa uroczystym głosem:

— „Żołnierze! Najsurowiej zabraniam wam przed Bolesławem uciekać, ktoby zaś wbrew zakazowi śmiał tył podać, na gardle karanym będzie." (*)

* * *

Przeszedł Henryk przez ziemie hawelan, minął Bielczyk, Jutrybòg i Damnę (**), oto serbskie Łużyce, posiadłość już Bolesława, próg polskiej ziemi. Wesołość wojsku już mniejsza, wszystko walnej bitwy oczekuje na każdym kroku i w każdej chwili napadu Bolesława się spodziewa. Dziwna zaprawdę rzecz, że żadnego wojska, żadnego oporu tu niemasz, nikt wstępu do ziemi polskiej nie broni, pustka i cisza, jakby kraj cały wymarł, jakby żywej duszy tu nie było. Przebył cesarz moczary i lasy, wieś jakąś wśród borów znajduje, oszczepnicy i procarze naprzód idą, aby dobytek złupić, chaty na mieszkanie dla cesarza i biskupów zająć; dopadł żołnierz pierwszej chaty... pusta, psa nawet nie uświadczy, druga i trzecia podobna do pierwszej, cała wieś pustką

*) Ban cesarski zapisany w Adelbodzie, 35.
**) Dziś Belzig, Jüterborg i Dahme.

stoi, ludzie poszli, dobytek uprowadzili, wszelki sprzęt, wszelkie narzędzie zabrali. Doszło rycerstwo do połowy w podkowę zbudowanej wsi... w drugiej połowie na strzesze pokazuje się czerwony płomyk ognia, wnet dom stanął w płomieniach, nieznana ręka ogień podłożyła, godzina nie minęła a w oczach cesarza cała wieś stoi w płomieniach; całe sioło, to ogromna, krwawa podkowa ognia...— —

Ucztowało dawniej wojsko w wesołym pochodzie, dziś mniej wesołości w obozie, maleją zapasy, nagromadzone na daleką wojnę, nie straciło jednak rycerstwo nadziei i otuchy.

— Do bogatej ziemi polskiej idziem, na niczem nam zbywać nie będzie.

— Chaty ich złupim.

— Miasta zrabujemy!

— Dobytkiem ich ucztować będziem.

Ależ tu w ziemi polskiej nie ma co rabować, niema co łupić, niema—o zgrozo!— do ust co włożyć. Gęste wsi spaleniskami się czernią, lud Bolesław ze sobą w głąb Polski uprowadził, miasta zrujnował i podpalił, aby cesarz i jego wojsko dachu nie znalazło nad głową.

Zastawiono niewodami rzeki, aby rybą wojsko karmić, kazał cesarz rozbiedz się żołnierzom po puszczach bogatych w zwierzynę i polowaniem zdobyć żywność, która w obozie kończyć się zaczynała. Nad rzeką Sprową (*) sam obozem się rozłożył, na wieści czekając, które mu ze Śląska z obozu Bolesławowego szpiegi przynieść mieli.

. . . . . .

A roty wojsk w ciemny bór idą, za jeleniem gonią, żubra szukają, na błotne i leśne ptactwo polują. W gęstwie leśnej ujrzeli tura; wnet dziesięciu ludzi go otacza, wypadł byk z gęstwiny, w puszcze leci, zdyszany żołnierz z toporem za nim goni. Dopadnie go, to zwierzę ze wszech stron osaczone, nie ten, to tamten oszczepem przebije; stracił zmęczony żubr dech, przystanął, znowu rusza, ziemia drży od łupotu jego nóg, jakby burza leciała przez olchy i brzeziny... Już ma zgłodniały żołnierz wypaść na zwierzę, już ma stoczyć walkę na śmierć i życie, toporem łeb rozwalić, gdy w tem...—

— O! O! O!

Kamień rzucony z procy w sam środek łba pachołka uderza, niewidzialna ręka ten

*) Z niemiecka Spree.

pocisk z ciemnej gąszczy na niemca wysłała...

— Boże! Boże!

Konający człowiek ostatni raz nieprzytomnym rzucił wzrokiem...

Tam jego towarzysz chwiejnym krokiem się wlecze, za pierś się trzyma, dobył z piersi strzałę... wgniecioną w pierś, ręką strumień krwi tamuje...— —

Patrzy rycerstwo na pobitych braci, patrzy nieme w pustkę leśną...

Ludzie tu—są! Ludzie!

Żywej duszy cesarz w pochodzie nie widzi, a przecie ta puszcza ludu pełna, tam siedzi Bolesław z mrowiem swych przesławnych łuczników „którym strzały za najwalniejszą służyły obronę.“ *) Kto oddzielił się od olbrzymiego cielska cesarskiej armii, ten marnie ginie, tego wytępią ukryci w lasach żołnierze, wystrzelają celni królewscy łucznicy. Oto siedzi cesarz w głodem przymierającym obozie, raduje się na powrót wojsk wysłanych po zwierzynę w bory...

— Widzicie?!— woła radośnie, oto tabor z puszczy wraca, żubry pobite nam wiozą.

— Nie panie, to nie żubry.

*) Thiethmar.

— Na telegach zielenią leszczyn pokryte..,
— To trupy, panie. Trupy.

Przybladł cesarz ze zgrozy i żalu, gdy nadjechał przed namiot cesarski tabor drugi...

— Pobite jelenie wieziecie?
— Nie, wielki władzco, to trupy...

* * *

Dziwi się Henryk Kulawy, że żaden z jego szpiegów nie wraca, wszak we wrześniu do Chociebuża wieści pierwsze przynieść mieli, dać znać, co czyni, co zamierza czynić Bolesław. W trwodze, zgrozie, niepokoju długo oczekiwano, złapano wreszcie zbrojnego chłopa, dostała wielka armia języka, dowiedziano się, że król polski w Krośnie się obwarował, że tam na niemieckie wojsko czeka. Uderzyć na Krosno— oto myśl która się w jednej chwili zrodziła, w jednej chwili w życie, w czyn wprowadzoną została. Jako białe zawilce przed chłodną nocą swe kwiaty, tak żołnierze cesarscy białe namioty przed pochodem zwijają, bez chwili wypoczynku niezmierne rzesze na starcie Bolesława idą. Nie straszą ich czarne od ognia zręby chat, nie straszą ich opuszczone miasta w ruinie. Po-

śpiesznym pochodem cesarz ku Odrze zmierza, wściekłością dyszy zgłodniałe, z trudu upadające wojsko.

— Na mieczach go rozniesiem.

— Przekleństwo mu!

— Warownię w jednym dniu weźmiem!

— Tam chleb, tam radość, tam wesele.

A najbardziej męstwo budził, najsilniej odwagę rozpłomieniał, krew wrejącą gniewem zaogniał, ten spodziewany w Krośnie chleb... Idą. Jakby czarna chmura szła na Krosno. Oto przed pułkami białą wstęgę Odry widać; oto do jej wód srebrzący się Bóbr wpada, za Bobrem miasto wielkie, warownia olbrzymia: to Krosno. Noc zapadła, rój świateł w oknach twierdzy się błyszczy, na majdanach sto ognisk rozpalono, czerwono zabarwione kolumny dymu, nakształt słupów ognistych w niebo idą; wre tam znać życiem polski obóz...— —

Zaśpiewał cesarz Henryk wraz z biskupami i całym zbrojnym ludem psalmy, przez Bóbr się w bród przeprawia, na drugiej stronie rzeki natychmiast pułki sprawiono, ze wszech stron na gród uderzono...

. . . . . .

Leci szarańcza wojsk...

. . . . . .

Pytanie... strach... przerażenie.. popłoch...

Najżarliwsza obrona nie przeraziłaby tak wojsk cesarskich, jak martwota, pustka i cisza—straszliwa cisza grobu, jaką Henryka wielki gród powitał...

Przecie Krosno kilka godzin temu morzem świateł i ognisk gorzało...

Teraz pustka... bramy otwarte, ludzkiej istoty w mieście niemasz... Puste ulice, psy się włóczą... W domach nikogo — na ulicach nikogo...

Przybiegł wreszcie do cesarza człowiek...

— Na namieściu są ludzie !!

— Pewnie oszczepnicy się bronią.

— Łucznicy Bolesławscy w zasadzce.

— Nie cesarzu !... Nie... Ci ludzie, których widziałem, spokojni i cisi...

Pobieżał cesarz na namieście, oczy szeroko otworzył, zbladł...

Dziesięć szubienic ze świeżo obłupionych pni sosnowych stoi, na szubienicach wisi dziesięciu szpiegów, których do Polski wysłał cesarz Henryk...— —

. . . . . .

XVI.

W zamku poznańskim roki, Bolesław Chrobry, Zdzieszko opat tyniecki, królewicz Mieszko, Borys i Niezamysł do późnej nocy obradują. Skończył się sejm wreszcie; z komory wyszedł Borys i Niezamysł, wyprowadził ich król, którego oczy smutne, którego oczy mokre... — —

— Na pewną zatratę idziecie, bracia drodzy.

— Postanowiliśmy...

— Żal mi waszej zacnej krwi. Ostańcie!

— Ani chwili.

— Ostań, bracie Niezamyśle.

— Dziś idę.

— Ze straszliwej toni, od straszliwej śmierci niech nas wybawi Bóg!

* * *

Dwaj władykowie lutyccy zrzucili dworskie złotogłowy, w ubogi kmiecy strój odzia-

ni, w daleki świat idą. — Niezamysł w białe giezło ubrany, kożuch barani włosem na wierzch obrócony wziął na chłodne wrześniowe noce; u pasa rzemiennego wyostrzona koża wisi; nogi w łapcie skórzane obute.

Taki sam strój ma i Borys, zdaleka jednak odróżnisz od Niezamysła, poznasz go po olbrzymich czarnych włosach, które do połowy plec spadają, z głowy bujnie kipią, w oczy się kędziorami pchają, lecą kaskadami przez uszy, na piersiach w bogatych lokach się kołyszą. Mało co oblicza przez ten ogromny zarost widać, oczy zdają się przez przesłonę czupryny na Boży świat patrzeć.

Poprawili na plecach węzełki, w zakościelu z dwóch korzeni grabowych dwa kostury ucięli, wnet znikli w czarnym lesie...

* * *

Z pustej, głodnej ziemi wojska cesarskie się cofnęły, bieda je ku posiadłościom saskim wiedzie, tam, w słowiańskiem dziedzictwie, gęste wsie przybłędów, niemców rozłożone, tam cesarze rzymscy od niepamiętnych czasów chłopstwem z nad Renu

i Dunaju, z Bawaryi i głębokiej Szwabii słowiańską ziemię osadzają.

Dziś wojska cesarskie bez litości sioła własnych rodaków łupią, dobytkiem bratnich kmieci żołnierz się pożywił. I jest ta cesarska armia jako szczupak, który w głodzie je szczupaka, pies psa, jako pstrąg, który pstrągą połyka. Gdzie pułk cesarski we wsi się zjawił, jakby zaraza przez wieś przeszła, jakby banda rabusiów wieś doszczętnie splądrowała. Wysłał cesarz Henryk podjazdy w głąb ziemi saskiej; aż do Merzeburga, aż do Wojmiru (*) zbójeckie bandy się zapuszczają, stada bydła przed sobą do obozu pędzą, telegi pełne zboża cesarzowi wiozą. Gdy spustoszono zachodnią Saksonię, wojenny śpichlerz się napełnił, otucha we wojsko wstąpiła; można znowu posiadłości polskie napaść, o zwycięstwie i pokonaniu wroga marzyć.

Wnet ruszono na północ. Inną już drogą na północ wojska idą; rada cesarska łużyckie posiadłości umyślnie omijać uchwaliła. Tam przez Bolesława i chłopstwo serbskie opuszczony kraj, tam w przepaściach borów za każdem powalonem drzewem strzelec bo-

*) Merzeburg, słowiański Mezebor (Międzybór) nad Solawą (Saale). Wojmir dziś Weimar.

lesławowski siedzi, jakby z pod ziemi się zjawia, napadnięty przez gromadę żołnierzy, jakby w piekło się zapada. Ogromna wyprawa przez ziemie hawelan na północ idzie. Przejdą przez kraj lutyków, potem na wschód się zwrócą, przejdą Odrę, korytem Warty do Poznania dojdą, śmiertelnego wroga w jego własnej stolicy w proch zetrą.

Wszystkich chorych żołnierzy na Śląsku armia na pastwę głodowej śmierci zostawiła. Kogo trud, bieda i głód zmógł, ten w Saksonii, w spustoszonych wsiach, na pomstę niemieckim chłopom pozostał. A choć seciny już wymarły, nie przeliczysz jednak olbrzymiej armii, która na północ z cesarzem idzie. Mrowie ludu zbrojnego weszło w czarny nieprzebyty bór...— —

. . . . . .

Dwa tygodnie deszcz leje, śląkwa straszliwa, jakby rozpłakało się to niebo nad trudem ludzkim, nad przekleństwami, jakiemi żołnierz Bogu bluźni. Rozmokły podściółki leśne, noga się po korzeniach ślizga, koń na ścieżce leśnej w błocie tonie. Choć wojsko dla podwód wyrąbało w lesie drogi, przecie jak żółw powoli wloką się wozy, których koła po osie i po piasty grzęzną w błocie. Co krok błotnista trzemeszna,

górskie kłokoty ślą w doliny wodę, oparzeliska, które w upał nawet nie wyschną, łopuszny, na których trzcina i skrzyp rośnie. Na noc okryje żołnierza namiot, w deszczu przynajmniej nie moknie, ziemia jednak, na którą utrudzony upadł, mimo podściołki z jedlin, wilgocią zaraża; gorączki i zimnice obóz dziesiątkują. Chorych, majaczących w gorączce pachołków, w puszczy cesarz zostawia, sam ciągle naprzód i naprzód idzie...— —

Przez trzy dni dziesięć mil uszli, puszcza rzednie, przez szereg sosen coraz szersze płaty nieba przeświecają... Doszli do kresu puszczy, u stóp wojska niezmierne jezioro. Stanęło wojsko nad wodami, toń niezmierna pochód wstrzymała, wysłał cesarz podjazdy na prawo i na lewo, aby okolić jezioro i dalszą znaleźć drogę. Noc późna zapada, rycerstwo niecierpliwie na powrót zwiadów czeka, po północy wrócili i przed obliczem cesarza stają.

— Znaleźliście drogę?

— Niemasz jej, dostojny władco.

— Tam na prawo...

— Niezmierne bagno. Z prądników ciecze błoto, na rdzawce gnijąca woda bronzowa jakby śpiż płynął.

— A więc pójdziemy na lewo.

— Niepodobieństwem to zaiste, panie.

— Czemu?

— Na kilka mil dookoła bagno. Ostrowami wody płyną, wśród podgai sitniki i bezdenne topiele...

Wraca cesarz, znowu trzy dni okropnej drogi wstecz, znowu droga po pniewach, po urwiskach, wrożnach, trud ludzki zmarnowany, armia pomrukiem przekleństwa szumi; rada cesarska głowę traci, w gniew, w złość, w rozpacz wpada.

— Przewodnika nam trzeba.

— Znajść go musim.

— W bagnach potoniem.

— Wnet znowu zawita do nas straszliwy gość—głód.

— W tych bezmiernych puszczach i bagnach z głodu pomrzem.

Zaświeciło przecie słoneczko jasne, lepsza droga, lepsza w sercu otucha. Otuchy dodaje sławny wojownik Brunzyon, żołnierz nieustraszony, Bolesława całą duszą nienawidzący. On prze do szybkiego pochodu, on goreje, aby żądzę zemsty polską krwią ugasić, aby raz już wreszcie Bolesława pokonanym i zdeptanym widzieć.

Prowadzi Brunzyon wojsko. Ominęła armia bagno, naprzód ku północy idzie...

— Kto wie, czy znowu wpoprzek drogi nie stanie nam woda.

— Może znowu marna męka, marny trud.

— Przewodnika znajść musim.

— Na rozkaz cesarza podjazdy przetrząsają za nim lasy i bory.

— Ciężko to przyjdzie, zaiste.

— Tam w Łużycach Bolesław chłopstwo wraz z dobytkiem w głąb Polski uprowadził.

— Tu lutycy w obawie przed rabunkiem na Pomorze uciekli.

— Śmierć nam z głodu i wycieńczenia.

— Przecie w obozie naszym kilka pułków hawelan. Nie znają oni w tych puszczach drogi?!

— Nie. Nasi sprzymierzeńcy z nad Łaby, z pojezierz świeżyńskich pochodzą; lasów pogranicznych polskich jako i my nie znają.

— Pułkownik nasz z namiotu biskupa Taginona wraca.

— Pilno mu. Rozkaz snać nowy niesie.

— Zbliża się do nas.

— Jakie wieści oznajmisz nam panie?

— Ruszamy w pochód!

— Dokąd?

— Jako przednia straż języka i przewodnika dostać musimy!

* * *

Sławny rycerz Udon przednią straż wielkiej armii ciemną puszczą wiedzie. Niezmierny las bukowy, na wysokich pniach zielony baldachim listowia roztoczony promienie światła wyławia, na gruncie trawka nawet zielona nie rośnie; po podściołkach suchych liści łatwa i dobra dla zbrojnego tłumu droga. Roztoka w drodze pułkowi stanęła, wodę żołnierze przebyli, prastary bór z odwiecznych drzew roztacza się za wodą. Na powalonych burzą, a stoczonych grzybem sosnach, nowe sosny rosną, maszty proste jak świeca ku niebu strzelają.

— Patrz! Tu drzewo ścięte.

— Wyraźny ślad topora na zrębie.

— Las rzadszy, ręka ludzka snać o niego dbała.

— Człowiek tu musi być zaiste.

— Cicho. Szum jakiś słychać...

— Morze iglic sosnowych szumi.

— Nie to barć gra.

— Bartnik tu być musi. Przerzedza toporem las, aby pnie pszczelne słonka więcej miały.

Zbliżyło się wojsko.

— Co za niezmierna barć!

Las przedwiecznych sosen, które ze starości butwiały, a w każdej dziuple rój pszczelny; puszcza cała gra wesoło gędźbą w słonku rojącego się owadu. Dziwny zaprawdę widok. Gdzie większa sosna i większy rój, człowiek w połowie pnia rusztowanie wystawił: krokwie do drzewa przybite, jakby most z łat jodłowych olbrzymi pień sosny otoczyły, dojście do roju łatwem uczyniły. Rusztowanie za rusztowaniem w puszczy widać...

— Bartnik tu mieszka.

W ręce go dostać musim.

— Drogę wojskom wskaże.

— Widzicie,... tam w głębi jego chata.

Z tarcic drzewianych zbitą chateńkę widać, na kilku kozłach, kilka deszczek człowiek położył, aby go od deszczu zasłoniły, od upału południa chroniły. Przed chatą na otwartem, słonecznem miejscu kilka białych pniaków pszczelnych stoi, słomiany chochół szczyty ich wieńczy, podstawy wsparte na przyciesi drewnianej. Przez szpary nędznej chatki modry dym się przeciska...

— Jest! Jest!

— Otoczyć go!

— Żywcem dostać!

Przyczaili się żołnierze——patrzą.— —

Bartnik ze schroniska dymiący czaplak wyniósł, do pasieki z nim śpieszy. Ujrzał, że ze sosny wyleciał ogromny rój pszczół i zawisł na gałęzi. Ze wszech stron chłop je okadza, dymem chce uśpić, obezwładnić latający, kotłujący się koło królowej owad. Dopiął celu, chwycił trok kożucha i na podołek ręką pszczoły garnie. Żywe ciało kłębiącego się roju gołą dłonią zbiera, pełne garście pszczół do troka zgarnia. Zabrał je wszystkie, do nowo wyciosanego pniaka niesie, już ma wrzątko pszczole w ul wsypać, gdy wtem...— —

Rzucił wszystko na ziemię i co tchu przed wojskiem ucieka...

— Stój!! Nie ujdziesz?

— Trzymać go!!!

Wpadł bartnik w leszczynę, dziesięciu ludzi za nim goni, wnet doleciał do rzeki, w odmęt buchnął, w gąszczu kalin wypłynął, w młode świerki się chroni...

Dopadli go, na ziemie powalili...

— Zlitujcie się nademną! Zlitujcie się!!

. . . . . .

Przed wodzem Udonem stanął bartnik w kożuch na wierzch sierścią odziany, w ba-

ránich kudłach plątały się jeszcze pszczoły, które ze zmotanej przędzy wydostać się nie zdołały.

— Daruj mi życie, jasny panie — woła chłop płacząc.

— Bądź spokojnym, nie rozpaczaj.

— Nie rozpaczać mówisz? O, kto wpadł w wasze ręce, niemcy, dla tego tylko rozpacz pozostała...

— Coś ty za jeden?

— Wendem jestem, panie.

— Czy znasz tę puszczę?

— Z dziada pradziada pszczoły tu hoduję.

— Czy wiesz, którędy droga do Polski prowadzi?

Chłop szeroko oczy otworzył zdziwiony.

— Do Polski?! Do Polski chcesz iść panie?

— Nie inaczej.

— Do piekieł łatwiej się dostaniesz. Znojna to i przeklęta droga.

— Jakto?

— Bagno za bagnem, lasy żmij pełne, rokitnice w puszczach topielą i śmiercią grożą.

— Pytam się, czy znasz drogę?

— Juści że znam. Stąd do Odry, potem brzegiem Pliszki...

— Poprowadzisz nas!

— Co?! Ja?!

— Ty.

— A barć moja?

— Porzucisz barć.

— Chyba, że dobrze zapłacisz, panie.

— Co to za człowiek?—zapytał cesarz Henryk, który nadjechał z czołem rycerstwa.

— Znalazłem przewodnika. Chce zapłaty.

Dobył monarcha kalety i kilka monet wręczył bartnikowi.

— Złotem cię obsypię, gdy u celu staniem.

Łapczywie chwycił chłop pieniądze, do pasa skórzanego wsypał.

— Gdy zetrzem Bolesława, z chłopa panem cię uczynię.

— Prowadź nas, aby napić się krwi króla Bolesława!—woła pałający zemstą, waleczny Brunzyon.

Znowu zdziwienie, pytanie wielkie w oczach bartnika, który przed majestatem cesarskim stoi.

— Na wojnę idziecie?! Z kim?

— Z królem Bolesławem.

Zbladł chłop ze strachu, ręce mu zimnicą zadrżały, milczał chwilę, wreszcie dobył dukaty od cesarza mu dane, upadł przed Henrykiem na kolana i wybuchnął łzami:

— Oto twoje pieniądze, weź je sobie panie.

— Co ?! Jakto ?!

— W kraj świata z tobą pójdę, żądaj odemnie panie czego chcesz, ale nie wiedź mię, abym szedł na straszliwą śmierć, żebym życie wydawał na łup szatana.

— Co ty mówisz?

— Co mówię?! Kto z Bolesławem bić się idzie, ten na śmierć ohydną idzie, ten, z mocami piekielnymi zaczyna bój Czy ty wiesz panie, że to czarownik, który z piekielną mocą się złączył? Czy ty wiesz, że szatan burzę i piorun oddał na jego usługi, że on ma oczy południcy, które pętają ludzką moc, stalowy miecz wroga w trzaskę lipiny zmieniają? Na oczy ludzie widzieli, jak w płomień, w głaz kamienny się zmieniał... na oczy widzieli, że ten okrutnik żywcem ludzi jada...

— On?!!

— Tak jest!! On!

— Czy być może?!

— Cesarskiego żołnierza musi mieć na obiad, krew ludzką na jużynę!

— Prawdę ten człowiek mówi!... zauważył Thiethmar, który przebaczyć sobie nie

mógł, że z tak nieczystych rąk wziął łapówkę.

— Krzywdziciel!! Zbójca!!

— Nienawidzisz go, chłopie?

— Całą duszą moją, panie!

. . . . . .

Groźbą zmuszono wenda, aby wojsko cesarskie prowadził. Miał chłop do wyboru: albo mieszek pełen złota, albo konopny sznur, zarzucony na pochyłej dębowej gałęzi... Przeklinał zrazu, potem wił się u stóp cesarza, aby go w domu zostawił, drżał we febrze ze strachu, płakał, wreszcie opór stawił. Powiedział, że woli umrzeć, niż iść na Poznań, na straszną śmierć. Dopiero gdy ujrzał przed sobą szubieniczne drzewo, gdy ujrzał huśtającą się pętlicę...— —

Wziął za pas topór i poszedł.

* * *

— Tydzień już idziem.

— Dalekoż ten Poznań?

Zaśmiał się bartnik.

— Pilno ci, panie? Gdybyś miał skrzydła ptaka, do południa byś tam zaleciał.

— Tak blizko?!

— Dia orła blizko. My ludzie, nie orły.

— Którędy droga?

— Przejść musim Odrę, potem do Obry dojdziem i Obrzycy Zgniłej...

— Chodźmy więc wprost.

— Prosta droga na śmierć nas prowadzi. Oparzeliska na dziesięć mil długie, pojezierza, stawy i nieciecze, bielawy i rząski, zarosłe kwietną łąką, od której czarów niech cię panie Bóg uchowa. Gdy zwabiony trawnikiem wejdziesz na te przestrzenie, nogi grzęzną, ciało tonie, piekielna moc ciągnie cię w odmęt niezgłębiony. W przepaściach błota mieszka bóg Rokita, śmierć każdemu, kto w dziedzictwo jego wstąpi...

— My zatem...

— Straszne pojezierze chorzewickie ominąć musimy. Pięć mil drogi nadłożyć. Potem Odra, bród i... Polska...

— W drogę więc...

. . . . . .

Do Odry szła armia kilka dni.

— Wszak Polska na wschodzie, ty nas na zachód prowadzisz.

— Nic to, nic. Puszczę podszytą ominąć musimy. Nie przejdą konie, nie przejdą podwody...

Znowu podróż długa...

— Dwa dni szliśmy na północ, teraz nas nanowo na południe wiedziesz?.

— Aby nie wleść w błota, w które rzeka Słabica się rozlała.

— Dokąd teraz idziem?

— Gdy miniem wranice, zaczną się pagórki. Od pagórków dobierzyńskich znowu na północ pójdziemy. I nanowo żmudna daleka droga...

— Wiedziesz nas...

— Miniemy pojezierze i ruszym na południe.

— Z południa?

— Na zachód.

— Co?!! Znowu na zachód?!!

— Tak jest, jasny panie.

Bystro w oczy przewodnika spojrzał hrabia Udon. We wzroku bartnika była prostota, prawda i uczciwość wielka.

— Nie ufasz mi panie?! rzekł wend smutno. Ha! Może Odra, na której brzegu jutro wieczór staniem, przekona cię, że prostą, dobrą drogą wojska twoje wiodę.

Słonko zapadło w jedlejowiec, gdy przed oczyma wojska srebrzyły się wody Odry

— Tam Polska. Już Polska...— —

* * *

Przeprawiła się armia. Kilka pułków jako przednia straż w głąb Polski ruszyło;

przewodzi rycerstwu sławny wódz Udon, Udona prowadzi przez dziką puszczę bartnik...

— Pojutrze puszczę miniem. Za puszczą Libichów, za Libichowem czermna w Jaworniku, potem Zieleńczyk...— —

— Wsie?

— Pierwsza wieś, drugie znaczne miasto.

— Żywności dosta[illegible]

— Jeśli Bolesław [illegible]aleniskiem i ruderą ich nie zostawił. Gdyby je szczęśliwie przejść, wnet byłaby niezmierna kaźimierzowska puszcza, Bi[illegible]szewo i Obra, a nad Obrą wielkie opa[illegible]o w Międzyrzeczu, które Bolesław założył.

— Kościół wreszcie opactwa.

— Wielkie kamienne opactwo. Na miejscu gdzie pięciu pustelników, uczniów księdza Romualda wymordowano, Bolesław pięć kościołów postawił, opactwo i miasto Międzyrzecze założył.*) Ciało zakonników uroczyście w Gnieźnie pochować rozkazał...

— Puszcza głucha. Ruszajmy naprzód.

*) Dziś Meseritz w W. Ks. Pozn., Lübichow Zielenzig w Brandeburgii.

ST. FRANCIS SPRINGS N.Y.

— Rozkazałeś panie. Nim noc nadejdzie na wielkiej polanie staniem, wojsko obóz rozbije...

Ruszył bartnik naprzód, ku polanie wojska wiedzie; blizko ona snać. Wend bystro przed siebie patrzy, serce mu młotem bije...— — Nagle zatrzymał się, jakby nadsłuchywał czegoś z dali, jakby...— —

Oczy wytrzeszczył, rękę przyłożył do ucha... Stał długo nieruchomie, jakby oddech w piersiach tamował...— —

— Czemu chłopie nie idziesz naprzód?

— Ściemnia się, nic przed sobą nie widzę.

— Polana?

— Wnet pójdiemy na polanę.

— Huczy coś.

— Niedźwiedź! Niedźwiedź panie. Łomoce suche gałęzie świerkowe, sapi i mruczy...

— Stłumiony głos rogu słyszę...— —

— Nie. To niedźwiedź.

— Gwiżdże ktoś. Wyraźnie gwiżdże.

— Sowa w 'lesie huka. Wabi samca. Chodźmy naprzód. Na polanę.

Słonko zaszło, w świdnie ciemność...

— Na polanę chodźmy...

— Idę przecie.

— Prędzej.

— Dziwnie szumi ten las... Co to jest? Zaśmiał się wend.

— Nie wiesz panie, co to jest? Posłuchaj.

— Gwar...

— To stado żubrów przez gwoździenieс wali. Łamie gałęzie... ziemia się trzęsie i dygoce...

— Jakby rżenie koni...

— Żubry puszczę szyją...

Znowu ozwał się gwizd... raz, drugi i trzeci.

— Co to?

— Puszczyk w gniewie płacze.

— Dziwny strach w mem sercu...

— Nie bój się, miłościwy wodzu. Chodźmy obaj naprzód. Żubry. Cicho. Aby nie spłoszyć stada... Chodźmy obaj tylko...

Wyszli dwaj mężowie naprzód. W gąszczu leszczyn zatrzymał się bartnik. Stoi i słucha...

W grabinie zakwilił puszczyk.

– Sowa wyje. Jakby ten ohydny ptak śmierć nam zwiastował.

— Śmiej się z tego, panie. Woła samca — —czekaj... ja ją zwabię gdy w grądy nadleci, strzałą ohydną wróżkę przeszyjem.

Włożył bartnik dwa palce do ust, wydął policzki, a z drgających warg wydobył się

przeraźliwy chychot puszczyka... W lesie puszczyk odpowiedział, znowu bartnik go wabi...

— Przez Boga żywego, puszcza gra hukiem zbrojnego ludu...— —

— Nie, nie, to żubry lecą...

— Śmiechy ludzkie...

— Gałęzie semreczyn łamane...

Spojrzał hrabia Udon w przewodnika oczy, w jego wyiskrzone oczy...

— Zdrada!!

— Milcz!!—

— Boże!!! Ty zaprowadziłeś nas...— —

. . . . . .

Błysło żelazo. Bartnik toporem rozwalił wodza cesarskiego głowę. Krew buchła na chłopa, na białe giezło i kożuch barani...— —

Dzień sądu boskiego, dzień krwi i śmierci. Ze wszystkich stron wojsko opadnięto. W straszliwej ciemności przednią straż wielkiej armii w pień wymordowano, zewsząd pułki otoczone, najprzedniejsze rycerstwo poszło na rzeź...

* * *

Z pogromu uszedł cało przewodnik i kilku żołnierzy. Próżno nawoływał ich bartnik,

aby poszli z nim razem życie położyć, pomścić pobitych braci; rady przewodnika słuchać nie chcieli, do armii przed oblicze cesarza niedobitki lecą. Słonko wschodziło, gdy do obozu dobiegli; tam wrzało już wszystko oburzeniem i żałobą. Przewodnik ukazał radzie cesarskiej giezło swoje i kożuch krwawy, krzycząc:

— Otom zbroczony polską krwią! Oto topór mój posoką naszego wroga cieknie.

— Udon?

— W mych oczech poległ śmiercią walecznych.

— Tyś ich prowadził...

— Na zwycięstwo, nie na śmierć ich wiodłem, monarcho.

W radzie cesarza ozwał się głos podejrzenia, który jednak nie znalazł posłuchu ni wiary. Brunzyon przewodnika badał, winy w nim nie znalazł. Wywody wiernego Brunzyona potwierdziły wypadki, które w nocy zaszły. Bo ubiegłego wieczora tysiąc wendów do obozu cesarskiego władyka Borys przyprowadził, harfiarze z bożyszczami w rękach pułkom ich przewodzili, zapasy chleba i suszonych ryb ze sobą przywieźli. Kipiała i wrzała ta czerń zawziętością i nienawiścią do Bolesława Chrobrego.

Jeszcze raz chciała się rada o wierności przewodnika przekonać. Przed oblicze wendyjskiej starszyzny przyprowadzono bartnika...

— Czy wy go znacie?

Zaświeciły się wilcze Borysa oczy, podejrzeniem przez radę cesarską przeleciały. Wnet wszystko pojął. Otworzył szeroko ramiona, na powitanie bartnika leci.

— Czy ja go znam?! Przecie to Niezamysł, mój dziewierz, mój brat kochany! On postrzygł mi jego syna...

— Krewni jesteście?

— Nieinaczej, wielki cesarzu. Dwie rodzone siostry poślubiliśmy, krasawice jak sosny smukłe, jako dziewanny dorodne, jako róże rozkwitłe. Czas nie zagoił serdecznych ran, lata nie osuszyły potoku łez...

— Pomarły?

Borys zapłakał.

— Zamordował je—żalił się łzami—Bolesław Chrobry.

On?!

— Napadł na naszą ziemię, a gdy mężowie w pole wyszli, aby się bić z okropnym najeźdzcą, to wtedy on łupił nasze opola, palił nasze chaty, mordował niemowlęta i kobiety bezbronne...

— Teraz jego zbrodniom kres!! — krzyknął Brunzyon, którego oczy z gniewu zaszły krwią.

Wre wszystko pomstą!

— Na Poznań wprost idziemy!

— Chodź panie, pomścij własne krzywdy i naszą żałobę!!

Poszedł bezzwłocznie na wschód cesarz Henryk. Wodzowie jego przestrzegali, aby nie rozłączać wojsk i połączoną potęgą w granice Polski wkroczyć, przekonała wszystkich rada Borysa, aby tego zamiaru zaniechać.

— Toć straszliwa ludzka gromada wymrze w drodze z głodu.

— Wozy z chlebem wnet znowu będą puste.

— Podzielić wojsko na dwie armie. Jedna od północy niech na Poznań ruszy. Drzeń i Zieleńczyk oto drogowskazy, my zaś z południa przez Chłopice, Dobiernice i Świebodzin do Poznania pójdziemy. (*) Dla dwóch mniejszych armij łatwiej o chleb, droga, którą wiedziem, pewnie nas wyżywi. Zejdą się wojska w Międzyrzeczu, w bogatej polskiej ziemi...— —

*) Wsie w Brandeburgii. Dziś Drossen, Kloppic, Dobernitz, Schwiebuss.

Posłuchano rady Borysa. On, Niezamysł i władykowie słowiańscy wojska cesarza prowadzą.

Wiodą ich dobrą drogą, obietnic dotrzymują, jednej tylko zadość uczynić nie mogą. Obiecanego przez przewodników chleba niema, spalone sioła, puste opola po drodze cesarska armia napotyka. A znowu koniec leśnego gościńca, znowu przepaście, błota i parye. Idą od bagna do bagna, od puszczy do puszczy, co chwila jezioro, którego brzegi okrążać trzeba, co chwila okropny jar leśny, przez który wozów nie przeprowadzisz. Pomór dziesiątkuje wojsko, łucznicy bolesławowscy zabijają każdego, kto się od trzona armii oddali; nie uśnie strudzony żołnierz spokojnie, bo Bolesław go niespodziewanymi napadami gnębi. Co noc obóz napadnięty ze snu się budzi...— —

* * *

I zakipiała krew w zacnym niemieckim rycerzu Thiebernie na widok zgnębionego wojska, na widok rodaków pobitych, na widok ludzkiej nędzy, ludzkich łez. Wybrał on najwaleczniejszych żołnierzy i postanowił podstępem za podstęp zapłacić,

podejść Bolesława w jego własnym obozie i rzeź wśród polaków sprawić.

Najznamienitsi panowie razem z Thiebernem na bój się wybrali, biskup Thiederyk, Bernard, Izon i Benon, wasale biskupa Arnulfa wielkiemu wojownikowi w wyprawie towarzyszą. Nocą opuścił obóz kwiat rycerstwa, po zemstę, po odwet, po krew wrogów idą. Zdawało się im, że tego wszystkiego dokażą, nie wiedzieli, że tam czeka ich hańba, klęska i śmierć. Ledwie oddalili się od obozu, zostali co do jednego wybici. „Polacy ubili ich zwykłym swoim sposobem, z łuków." (*) W nieszczęśliwej tej wyprawie polegli znakomici rycerze Esi i Odo, hrabia Adala, Bernher, i waleczny biskup Thiederyk. (**) Przewielebny zginął śmiercią straszną. Dwie strzały przeszyły jego pierś, gdy zachwiał się, toporem rozbito mu głowę. Waleczny biskup śmiertelnie ranny, upadł na ziemię krwią brocząc. Przypadł do niego jakiś polski żołnierz, a zdzierając z niego zbroję, łańcuch złoty i kołczan, woła bezbożnie:

— Jeśliś biskup, to siedź w kościele i módl się, a nie napadaj cudzej ziemi!

. . . . . .

*) Th. VI. 16. **) Kalendarz merseburski.

Wśród ciągłych walk wojsko w ziemię polską wkroczyło, przez Borysa i Niezamysła prowadzone.

Wielka nieufność, jaka dla wendów wśród rycerstwa była, pierzchła, gdy największy wróg Bolesława i Słowiańszczyzny, Brunzyon, o wierności Borysa i Niezamysła cesarza przekonał. On ich ciągle bada, on ich podstępnie śledzi, on ich rozmowy podsłuchiwał. Przekonał się, że dzielni ci przewodnicy byli prawą ręką cesarza, zasłużyli sobie na jego łaskę i wdzięczność wiekuistą. Dostojny rycerz Brunzyon głośno na radzie cesarskiej wołał, że gdyby nie ci dwaj słowianie, gdyby nie ich przytomność i rozsądek, cesarz byłby zginął, wojsko byłoby w straszliwej drodze zmarniało. Domagał się znakomity wódz, aby po zwycięskiej wojnie Borysa i Niezamysła dostojeństwami obdarzyć, do stanu edelów podnieść, ziemią za trud i pracę wynagrodzić; mówił zaś z takiem przekonaniem i taką siłą słowa, że cesarz i rada jednomyślnie się na wywody zgodzili.

Przed oczami armii ukazał się Międzyrzecz; pięć kościołów na tle zielonej puszczy się bieli, ogromne bolesławowskie opactwo wśród mieszczańskich domów się rozlega.

Ostrożnie podstąpiły przednie czaty przed mury, znowu spodziewał się Henryk obrony, oblegać miasto zamyślał. Atoli tak jak w Krośnie żywej duszy na wałach miasta niemasz, miasto puste, pies przy chałupie zapomniany snać od pana, z głodu skomli i wyje. Wszedł cesarz do klasztoru, pustka i cisza, chce iść do kościołów, bramy zamknięte. Wyrąbano siekierami drzwi, w kościołach i miejskich domach armia obóz rozbiła. Gdy chaty przedniejsze rycerstwo zajęło, dla pachołków i żołnierstwa tysiące namiotów zabieliło się w mieście i naokoło miasta. Dnia 22 września r. 1003 wielką uroczystość świętego Maurycego cesarz pobożnie obchodził, około biskupa zgromadziło się całe wojsko, Kirye elejson pobożnie śpiewając. A hymn ten zgłodniałego, zbiedzonego żołnierstwa brzmi dziwnie smutno, jakby pieśń pogrzebowa...

. . . . . .

Obiecanego chleba niemasz. Borys i Niezamysł wskazuje, gdzie wsie zrabować można, bydło, żywność dla rycerstwa zdobyć.— —

— Brzegiem Odry idźcie! Tam, gdzie rzeka do Warty wpada, jest zamożna wieś, Skwierzyna!

— Na południu Brojce i Babimost, chleba i miodu dla nas przywieziecie.

Poszły zbrojne oddziały, czekał na nich cesarz dzień i tydzień, zwiady o nich wysyłają, o losy ich się pytają, ślad zaginął, nadzieja zginęła, nie pyta się już o nich nikt, a cesarz z biskupami żałobne za poległych modlitwy odprawia. „Cesarscy zbierając żywność po polach, tudzież za innemi wychylając się potrzebami, wielkie od zasadzek polskich ponoszą szkody.” Gdzie się wychyli oddział, tam jest Bolesław, tam pomór i śmierć.

„Głód niezmierny i wszelkie dolegliwości wojenne”!! (*)

A przecie waleczny komes Brunzyon otuchy dodaje, do śmiertelnej walki cesarza, biskupów i rycerstwo nawołuje. Gdy wszystkim ręce opadły, on jeden, niezwyciężony, on jeden ma pewność wygranej i nadzieję. On jeden jeśli z obozu wyjdzie, wraca z bogatym łupem, o klęsce, o pobiciu wojsk polskich zwiastując. Nocą wymyka się z namiotów, cudów waleczności dokazuje, wieści o ruchach nieprzyjacielskich przynosi. Przed nim jednym pierzcha polski łucznik. Gdzie ten lew wojenny się zjawi, tam łupy,

*) Thieth.

tam chwała, tam zwycięstwo. Jednego z wojewodów polskich w ręcznej walce zabił ze zbroicą jego złupioną do obozu cesarskiego wrócił.

— Na Poznań chodźmy! — woła mężny Brunzyon, — Gada jadowitego w proch zetrzemy, ludność wytniemy w pień, kraj w pustynię zamienimy!

Że wielki rycerz dziedzictwa nie miał, ubogim był i oprócz szabli, tysiące razy skąpanej we wrogów krwi, żadnego innego majątku nie posiadał, cesarz przeto jak może, tak męstwo jego i zacność nagradza, wielkie lenna po szczęśliwej wojnie znakomitemu wojownikowi obiecuje. Już chciał Brunzyonowi naczelne oddać dowództwo, gdy przyszła do obozu wieść, która piorunem w radę cesarską wpadła, która krew w Henryku zagotowała, która o pomstę do sprawiedliwości boskiej i ludzkiej wołała...——

Na krańcu obozu złapano człowieka w kmiecej polskiej siermiędze; rzucili się na niego pachołkowie, aby go jako szpiega powiesić, gdy ten krzyknął:

— Jam wasz!! Jam cesarski dziesiętnik Avicon! Jam niemiec!

— Ty?!!

— Ja! Z niewoli polskiej uciekam!

— Prawdę mówisz?

— Do cesarza prowadźcie mnie

— Czego chcesz od majestatu?

— Czego żądam? Wodzom jeno i cesarzowi powiedzieć to mogę.

Stawiono jeńca przed oblicze Henryka.

— Nieszczęśliwie walczysz, panie? A wiesz ty władco, co jest twem nieszczęściem? Jak twemu nieszczęściu na imię?

— Mów.

— Jurgieltnik Bolesława, Brunzyon!!

Podniósł się wrzask.

— Oszalałeś!

— Zmysły twe ruszył paraliż?!

— Nie wierzcie mu. Obłąkaniec lub oszczerca.

— Brunzyon to wielki wódz!

— Najdzielniejszy nasz wojownik!

— Z całej duszy Bolesława nienawidzi!

— On?!—zarychotał wściekłym śmiechem Avicon.—On? On pieniądze od niego bierze!

— Co ty mówisz?!!

Pyta się Avicon:

— A czy ty wiesz władco, kto zamordował wodza naszego Udona?

— Kto?

— Ja wiem. Ja wiem wszystko. Wszy-

stko. Uczynił to zdrajca twój, a serdeczny przyjaciel Bolesława, Niezamysł.

— Rozum straciłeś. Oszalał ten człowiek. Gdyby to prawda była, to skądże ty o tem możesz wiedzieć?!! Skąd? Od kogo?

— Łże oczywiście.

— Tak? A wiecie wy, kto po bezdrożach wojska wasze wiedzie, kto po puszczach i trzęsawiskach tysiące ludzi wytopił, naprowadził na głód, na śmierć z trudu i wycieńczenia?? Borys!! Gdzie krok postawicie, tam czeka na was Bolesław, o waszem przyjściu uwiadomiony, gdzie on ze zbrojną siłą stoi, tam wy ślecie oddział na mór, tam w paszczękę śmierci prowadzi was Borys, Niezamysł i Brunzyon!!!

— Oszczercą jesteś!

— Zacni to i wierni nam ludzie.

— Kłamiesz podle!

— Kłamię?! Chodź więc monarcho, ujrzysz sam... przekonasz się naocznie.

— Igrasz ze śmiercią człowieku szalony. Jako za mną idzie mój cień, tak za słowami twemi idzie śmierć. Wyrok skonu już zapadł. Gardło dadzą zdrajcy albo... ich oszczerca...

— Śmierć uciszy twój język żmii.

— Chodź cesarzu za mną!

— Prowadź, Aviconie.

* * *

Co noc Avicon cesarza i biskupów na kraniec obozu wiedzie. Dziesięć nocy napróżno chodzili. Przyszli raz pod nów, wojsko w namiotach śpi, oszczepnicy tylko wieńcem ognisk rozległe miasto opasali.

— Dziś przyjdzie...

— Kto?

— Szpieg...

— Jakto?! Wszak straże czuwają!

— Dziś przyjdzie. Ja wiem o tem. Strażnicy, mówisz panie? Znam ich barwę. Tych dwóch strażników spętać.

— Czemu?

— To zdrajcy!! To wspólnicy płatni przez swego pana. To żołnierze Brunzyona! Ich postawił na noc, aby...

— Skąd ty wiesz o tem wszystkiem?

— Wszystkiego się władco dowiesz, gdy czynu dokonam. Dziś tylko tyle, że dla ciebie, panie, życie me na szwank sto razy stawiałem, że uciekając z piekła niewoli zabrałem dla ciebie cesarzu skarb! Tajemnicy niezmierny skarb!

Uczynił cesarz zadość woli żołnierza, milczkiem, chyłkiem skoczyli pachołkowie, żoł-

nierzom mocą usta zapchali, w pęta ich spowili i w ustronny namiot zanieśli. Na posterunku zasiadł obok ogniska Avicon, cesarz i rada w namiocie się ukryli. Ujął dziesiętnik w ręce oszczep, do ognia gałęzi sosnowych dokłada. Minęła godzina jedna i druga.

. . . . . .

W gęstej grabinie szelest. Wśród wielkiej ciszy nocnej, delikatny szmer żółknieących jesienią liści do uszu cesarza przylata. Długa chwila minęła, nim z gąszczu ukazała się ręka ludzka, nim zjawiło się żołnierza oblicze...

— Tyś! — zaszeptało w grabinie.

Avicon nie odrzekł nic. Wszedł do namiotu, gdzie był cesarz, porwał drewnianą konew wody, wypadł i zalał ognisko. Gdy zasyczały płomienie, ogień się zdusił i stęsił. Zaszeptał do grabiny dziesiętnik:

— Jam jest...— —

— Imię twe?

— Pytasz się? Przeciesz zagasiłem ogień.. Znak to...

— Powiedz jednak...— —

— Brunzyon.

Rozchyliły się gałęzie, wymknął się wojownik z grabiny, nie mówi już nic ze

strażnikiem, prędko go mija; czai się koło wałów, chałupy, w których śpią żołnierze, okolił, wnet znikł w białym lesie namiotów...

— Do Niezamysła! — szepce stłumionym w gardle głosem Avicon...

Henryk i rada cesarska chyłkiem się za dziesiętnikiem śpieszy...

. . . . . .

Straszna bezsenna noc. Każde mgnienie oka niesie przerażenie i strach. Krew się gotuje, ręka za miecz kurczowo chwyta, aby w podłej krwi zdrajcy utopić żelazo. A jednak nie! Trzeba dowiedzieć się wszystkiego. Trzeba zimnej krwi i rozwagi, trzeba zaciągnąć sieć na wszystkie strony, w tej ohydnej, plugawej, mętnej, wodzie wszystkie ryby złapać...— —

Do namiotu Niezamysła wpadł przybysz. Szept cichy, w mgnieniu oka wyszli chyłkiem ludzie,—wnet wrócili. Zaroiło się...— Lutycy ze wszech stron się schodzą, z domów, z namiotów się zlatują. Radzą...— Wyszedł słowiański kmieć, rozgląda się w ciemności, oczy wdal wpija... — — nie ujrzał nic i nikogo... pochylony, skulony do namiotu Brunzyona leci.

Chwila zaledwie, a wódz cesarski już wstał, z kmieciem do namiotów słowiańskich śpieszy. Wszedł do Niezamysła... Kilku chłopów lutyckich naokoło na czatach stanęło, rozglądają się... reszta wewnątrz...— — Radzą... Przytłumione, zdławione głosy, a jednak jakby ten namiot trzmieli rojowiskiem grał...— —

Chce cesarz na wojsko wołać, bunt stłumić, zdrajcę Brunzyona powiesić... Rada zabroniła...— —

— Czekać mam, czekać...

Wnet pierwsza ptaszyna w lesie się odezwie. Lutycy się rozlecieli. Brunzyon wyszedł z przybyszem, uchodzą przed jasnością, przed światłem i dniem. Idą na brzeg obozu...

— Pojmać ich!— szepce Henryk, w którym krew kipi:

— Jeszcze nie.

— Ujdą!

— Nie ujdą — mówi Avicon.—W głębie lasu wysłał tysięcznik żołnierzy... Żywcem nie ujdą... Wpadną w pułapkę...

— Muszę ich mieć! Na pomstę! Na śmierć!

. . . . . .

Zatrzymał się, Brunzyon wódz cesarski, wytrzeszczonem okiem na kraj obozu spojrzał... Na brzegu obozu nie widzi swej straży, straszne podejrzenie w duszy się rodzi... Stanął, chwycił się ręką za skroń, powiódł przerażonemi oczami wokoło... patrzy na las...

— Gdzie moja straż?—szepce blady Brunzyon do polskiego przybysza.

— Posnęli może...

Skoczył wódz do namiotu, odchylił płótno.

— Żywej duszy niemasz.

— Niespokojny jesteś?

— Zdradę węszę!

Nie bój się! Gdym szedł, był na straży jeden z naszych. Hasło znał... płomień zalał... znak...

— Teraz nikogo nie widzę...

— Niema o czem myśleć. Miej otuchę. Obóz śpi...

— Dnieje już. Chodź! Zabierz... — —

— Gdzie...

— Mieczem skopałem ziemię, pod darniną ukryłem. Bo jeśli mnie złapią... O! Chodź... Zabierz... Idź...

Wpadli do gąszczu... Wnet wyszedł Brunzyon... Wraca... Niósł miech ciężki...

Trzyma go pod pazuchą, a jednak snać za ciężko prawicy, lewą ręką miąż worka podtrzymuje...— —

* * *

Piekielna noc. Ozwały się trąby, zawarczały kotły. Gra puszcza hukiem niezmiernym. Z boru przybiegło kilku żołnierzy, na larum bić każą, przed oblicze cesarza biegną... —

— Otaczają nas ze wszech stron!!!

— Co ty mówisz, chłopie?!

— Bolesław brzegi Odry obsadza, niezmierne wojska odwrót nam do Niemiec zagradzają, żywa dusza nie wyjdzie z polskiej ziemi!

Z dziesięciu miejsc straszna wiadomość przyleciała, szaleństwo się głowy cesarza chwyta, rozkaz za rozkazem z ust jego leci...— —

— Wszystkich wodzów zwołać!!

— Setników zawezwać!!

— Niech przedemną Borys, Niezamysł i Brunzyon stanie!

Poleciał żołnierz, Brunzyona i wendów wzywa, do kościoła, w którym mieszkał cesarz, zawezwani spieszą... Idą spokojni, pewni siebie, przed cesarza oblicze.

A gdy przyszli cesarz tajny rozkaz wydaje:

— Przetrząść namiot Brunzyona! W tajemnicy!! Kto zdradzi gardłem zapłaci...

. . . . . .

Sejm w kościele, który na mieszkanie dla cesarza zamieniono.

Zwrócił się zafrasowany cesarz do Brunzyona i mówi:

— W nieszczęściu mojem poradź ty rycerzu wielkiego serca!

— Ufności—woła Brunzyon — i otuchy!

— Ufność we mnie budzisz?

— Tak jest!

Wstał waleczny Brunzyon. Zapał w jego oczach, męstwo bije z jego czoła...

— Na Poznań chodźmy! Gada jadowitego w proch zetrzemy, ludność wytrzębimy w pień, kraj w pustynie zamienimy!

— Tak sądzisz?! A jeśli Bolesław nam odwrót odetnie?

Zaśmiał się szyderczo Niezamysł.

— Szaleństwem myśleć o zuchwałości takiej. Bolesław drży ze strachu...

— Tak jest! —krzyknął Borys. — Wiem, że uciekł z Poznania, w głąb Mazowsza się cofa, jeśli dalej tak pójdzie ucieknie na Ruś...

— Wiesz to?

— Wiem napewne.

— Brzegi Odry wolne?—pyta się Henryk, w oczy Niezamysła patrząc.

— Wolne!! Wczoraj wrócili ztamtąd szpiedzy...

— Trwożysz się wielki monarcho?!—rzekł z płomieniem wymowy Brunzyon. My za ciebie, ojcze najlepszy, gotowiśmy oddać życie, przelać krew naszą!— —

Cisza straszliwa jak przed uderzeniem pioruna... —

Wniósł pachołek miech i oddał go cesarzowi.

Henryk rozwiązał rzemyki, spojrzał na złote dukaty, na których było wybite imię i oblicze Bolesława, powstał, podniósł worek pieniędzy silnemi ramiony i—straszliwy grad pieniędzy rzucił w twarz Brunzyona...

Zarzegotało, zadźwięczało, zaszeleściło, zadzwoniło złoto, rózsypując się po kamiennej podłodze kościoła.

— Szubienice!!! — woła pijany gniewem cesarz.

— Stawiać szubienice!

Mało, że krew nie zaleje człowieka, który szaleje wściekłością i pomstą.

* * *

Cztery szubienice w namieścu postawiono. Cesarz Henryk Borysa, Niezamysła i Brunzyona powiesić kazał. Czwarte drzewo hańby bez owocu stoi, żołnierz bolesławowski, złapany przez cesarskich ludzi, życie za straszliwą cenę sprzedał, trzech ludzi zabił chcąc się przebić i uciec, osaczony wreszcie ze wszech stron na mieczach rozniesiony został.*)

* * *

W obliczu śmierci i zagłady wysłał cesarz poselstwo, aby o rozejm o wolny odwrót Bolesława prosiło. Z licznym orszakiem panów poszedł arcybiskup Tagino, pokłonił się przed majestatem i o łaskę pokoju Bolesława prosił....— —

Uzyskał ją. Uzyskał pokój, którego warunki powitał cesarz łzami...— —

„Niepomyślny układ boleścią cesarza przepełnił."**)

*] Thiethmar pisze o lutyckich przewodnikach, którzy w zmowie będąc z Bolesławem, na bezdroża i na zgubę wojska cesarskie prowadzili. Borys i Niezamysł [Thiethmar nazywa go Nezemuisclen] zostali przez Henryka powieszeni w Welerslevo (dziś Walbersleben) egzekucya zaś na jurgieltniku Brunzyonie dokonaną została w Merseburgu. Th. VI. 21.

**) Roczniki kwedlinburskie.

Przez Polskę, przez ziemie lutyckie i Branibor tłum wynędzniałych ludzi idzie. Klną głodem mrą, płaczą...— — —

„Zbiedzone niezmiernym głodem, znękane wojska z płaczem wracały do domu.“*)

Za wojskiem długi szereg wozów. Gdy Henryk runął na Polskę, złotem one i żywnością napełnione były. Dziś wiozą trupy pobitych rycerzy...— —

„Łzy lejąc wieziono ciała poległych.“**)

Nie na pogrzeb tu szedł Henryk, lecz po tryumf, po pomstę! Radośnie w Dziewinie trąby grały, a dziś...

„Wyprawił się cesarz Henryk, aby krzywdy swej pomścił; ale o rozpaczy!!—mnogie tylko wygubił rycerstwo!“***)

*] Tamże.

**] H. cum lachrymabili revertitur exercitu portans secum corpora mortuorum.

***] Tamże.

XVII.

Bolesław postanowił napaść granice Niemiec. Poznań wre od przygotowań wojennych, ze wszech opól król polski wojsko do stolicy ściąga, Na Chrystusa Ukrzyżowanego się przysiągł, że on pożogi siół, rozlewu krwi ludzkiej nie pragnie, że to co czyni, nierad przedsiębierze, że wojna to konieczne złe, to akt obrony przeciw najeźdźcom polskiej i słowiańskiej dzierżawy. I teraz idzie w Niemcy, wyzwany przez poselstwo niemieckie. Przyszli dukowie niemieccy, wojnę imieniem cesarza wypowiedzieli...

„Chcesz wojny, masz wojnę"!!!—krzyknął rozgniewany polski król.*)

*) Historyczne słowa zapisane w Annal. kwedlinb. p. r. 1007.

Z Polski, Morawy i Słowaczyzny roty do Poznania śpieszą.

. . . . . .

Stoigniew dwie zmiany miesiąca leżał bez duszy. Kmieć go do chałupy zabrał, baby rany pajęczyną zatkały, po miedzach zieleniutkie liście babki, krwawnika i nietoty zbierają, aby mu bólu ulżyć; aby zimnem liściem gorączkę krwi ochłodzić...

Mówią ludziska:

— Próżna wasza robota

— To już trup.

— Zęby zaciął, oczy zapadły.

— Oddechu nie widać...

— Trup! Trup!

Przyszedł cieśla z łokciem ciało Stoigniewa zmierzył...— —

— Co wy robicie?

— Trumnę zawczas zbiję.

— Uczyńcie to!

— Miarę wziąłem o łokieć dłuższą... —

— Śmierć go wyciągnie, choć to bez tego olbrzymi chłop.

Na krokwiach wysokich położono pień jodłowy, wylazł cieśla na wierzch, drugi z piłą pod jedliną stanął, krają drzewo, trociny się w oczy pachołka sypią...

Przybiegł do cieśli kmieć, u którego leżał Stoigniew.

— Przestańcie roboty.

— Jakto?

— Łaski mu boskiej potrzeba, zmiłowania Jezusowego a nie trumny.

— Żyć będzie?!

— Chodźcie nań spojrzeć...

Zbiegli się ludzie, łoże otoczyli, pierś chorego podnosi się oddechem...

— Obmyć go trzeba.

Jak padł, tak leży zbroczony krwią. Krew na obliczu zaschła i zczerniała. Miedziane jakieś plamy...

Jasnowłosa dziewuszka lniane, białe płócienko w krynicznej wodzie zamaczała, delikatnie skrwawioną twarz żołnierza myje, wymyła ranę, zwilżyła i zdjęła skrzep tak, że blizna zaszła znowu czerwoniutką krwią...

— Patrzcie no ludzie...

— Widzicie to lice?

— Wszakto Stoigniew...

— Syn chłopski z naszego sioła.

— Nie pleć. Oszalałeś!?

— Wiem, że to jasny pan i rzymski hrabia.

— Oczywiście. Dość spojrzeć na złotogłów, na złoty łańcuch, który ma na szyi.

— A ja wam mówię, że to syn zdunia, Stoigniew.

— Być to zaiste nie może...

— Stoigniew za młodu dom opuścił...

— Chłopcem w świat poszedł.

— Mówią, że do wojska królewskiego przystał.

— Bolesław Chrobry chłopskie dzieci po łacinie uczyć każe...

. . . . . .

Znowu miesiąc męki, znowu straszne dnie walki życia ze śmiercią.

. . . . . .

Oczy otworzył, błędne, mętne oczy pytania. Jakby widokiem ludzi się zmęczyły, przymknęły się znowu.

A gospodyni białe pszeniczne krupy na gęsim rosole warzy, czy chory chce, czy nie chce, karmi go, mówiąc:

— Jeno wyzdrowiej, panie, jeno wyzdrowiej...

Lepiej mu. Oprzytomniał. Wyzdrowieje. Żalił się, że nie widzi słoneczka bożego, znieśli go parobcy z łoża, na nalepie glinianej przed chatą rankiem posadzili. Gorące sierpniowe słońce grzeje, nawet pali, ale wiatr chłodzi, wiatr rozkoszny, który

przeleciał przez puszczę, zabrał zapachy iglic sosnowych...

Wieje ten wiatr, chłodzi zabliźnione, gojące się rany... Codzień choremu więcej sił przybywa, moc w kości wstępuje, uśmiech na lice wrócił.

W kilka dni z łoża zerwał się sam, chatę obszedł dokoła, w jabłoniach na ławce usiadł. Drzewa gradem owocu obsypane, więcej prawie jabłek, niż liści na tych jabłoniach, na zielonych gałęziach złocą się gruszki, w wieńcu ciężarnych drzew chaty nad brzegiem potoka rozrzucone. Leci wzrok rycerza po wsi, wargi się uchyliły, oczy nerwowo zdziwieniem się otwarły; w tych poczciwych oczach, jakby mgła łez...

— Moja wieś;

Szukał kmieć Stoigniewa naokoło domu, znalazł w sadzie...

— Słonko zachodzi, wnet chłód wieczorny nastanie. Sierpniowym rankiem i wieczorem nawiedza naszą ziemię jesienny chłód...

Wprowadził rycerza chłop do wnętrza izby. Ściany czarne od dymu. Na ubitem klepisku podłogi, na środku izby ogień rozpalają. Gospodyni i dziewuchy jużynę warzą. Pod czarnym kociołkiem zażocił się

płomień dym buchnął, we wiechach i kłębach po izbie się rozchodzi, przez przepierzenia w powale na górę się wydziera, przez słomę strzechy się przekrada i idzie na świat Boży. Dymiąca się chałupa chłopska jak ta korona Tatr, która kurzy się, chmury rodząc. Na krokwiach powały dobytek kmiecy i chłopska chudoba. Wśród tumanów dymu skórzane łagwie miodu przaśnego widać, sadło dwoma deskami ściśnięte jakby miesiąc się bieli, sto rozciętych napół ryb na ognisku się suszy; za krokwią snop mięt, dziewan, krwawników i lewand, które na leki dziewuchy po polach nazbierały.

Buchnął kociołek parą, jużyna gotowa. Chłopstwo je cier pszeniczny, pęczak sadłem okraszony; dla chorego gosposia kurę na ogniu upiekła, podsuwa mu glinianą, dymiącą miskę pod gębę i mówi:

— Jeno przyjdźcie do siebie.

Przyszedł do siebie, wieczorami wieś się do chałupy, gdzie siedzi Stoigniew, zlatuje. Przyszli kmiecie, którzy wieńcem nakształt wielkiej podkowy domy we wsi pobudowali, przyszli i ci, którzy w lasach mieszkają, którzy świętej wiary nie znają, czczą do dziś dnia stare bogi dziadów i pradziadów.

Bo Chrobry, choć serce jego dla Jezusa goreje, nikogo mocą do chrześciaństwa nie zmusza, śle tylko w lasy księży, aby słowem i przykładem do wiary nakłaniali, dla winnicy Chrystusowej nowe owieczki jednali. Do chaty, gdzie bawi Stoigniew, przyszli wszyscy, nawet starowiercy z gór i puszcz. On swym bratom i swatom o królu Bolesławie cuda opowiada...

Czasem Stoigniew o dalekich krajach, o obcych ludziach, o przebytych wojnach chłopom dziwy prawi, czasem we wesołość wpadnie, szczerym żartem huczny śmiech wywołuje. Teraz dopiero do wsi wieść przyleciała, czem Bolesław Stoigniewa uczynił, jakiem zaufaniem i przyjaźnią go darzy. Dziś zwiedzieli się kmiecie, że to chłop w radzie mądry, w gębie wygadany i mowny, a w bitce nieustraszony...— —

— Słyszeliśmy, Stoigniewie, że to ty razem z Bolesławem bitwy wygrywasz.

— Kłamstwo!!

— Tak mówią.

— Bolesław sam.

— Obaj dzielnie się bijecie, obaj w potrzebie stajecie.

— Jest różnica.

— Jaka?

— Dla dobrej sprawy publicznej walczy Bolesław Chrobry mieczem...

— A ty?

— A ja przeważnie gębą...

— I cesarza, jak mówią, zdobyłeś względy. Wyniósł cię ponad kmiecy stan, hrabią cię uczynił.

Zawinął usta Stoigniew, jakby ugryzł tarkę, która we wrześniu fałszywą dojrzałością oczy nęci...

— Cóż hrabio, kontent z tego tytułu jesteś?

— Jakby mi kto w kieszeń napluł.

. . . . . .

— Boś przecie ty Stoigniewie chłop, przecieś ty nasz...

— Chłopem jestem, sługą i dzieckiem Polski, jako i wy.

— Dobrze ci mówić. A twój dobytek, twoje szkarłaty? Przecie twój łańcuch więcej wart, niż cała moja chudoba.

— Chcesz mieć łańcuch?!—krzyknął Stoigniew.—Mieć go możesz.

— Jakto?! W jaki sposób?!

— Dał mi go król, a wszystkim dzieciom tej ziemi jedna do serca i do łaski Bolesława droga.

— Co mam czynić?

— Co masz czynić? Idź się ucz, idź się bij, idź i pracuj!!!

. . . . . .

Dwudziestu podrostków, parobków i synów kmiecych z zapartym tchem Stoigniewa słucha...

. . . . . .

Jeden i drugi ojcom się do nóg pokłonił, gorącą prośbę rodzicom przedkłada. Wysłuchał ojciec prośby. Za gotowe pieniądze sprzedał sąsiadowi byczka, grosz rodzonemu dziecku daje. Porwał podrostek pieniądze, na złamanie karku do kowala z nimi leci. Tu za wsią w kuźni od tygodnia straszna praca. Miech dmie dzień i noc, kowal ciągle i ciągle w potach stoi. Gdy tydzień temu przyniesiono ogromny stalowy Stoigniewa miecz, rzemieślnik oczy szeroko otworzył, głową nad nim kiwał, ze wszystkich stron miejskie dzieło kowalskie oglądał. Kazano mu ukuć taki drugi, wahał się chwilę, wreszcie rzekł:

— Zdunie, a nie święci garnki lepią...—

Przyszedł parobek drugi i trzeci. Zakipiała robotą kuźnia. Dziesięć żelaz kowal kuje, pacholętom przy miechu ręce z trudu opadają, kadź z wodą syczy i para bucha. Gdy rozpalony do białości brzeszczot ko-

wal w zimną wodę wrzuci, to woda jakby skowytem płacze, nim zimna stal na dnie naczynia zadzwoni. Znowu kowal zarzewie rzucił, znowu zapłakała woda, chmura pary z niej leci. Wyjął ostudzone żelazo, pachołek szablę Stoigniewa niesie, wytrzymałość nowego brzeszczotu na drzewie próbują, dwiema szablicami w kamień uderzają, rzemieślnik głosu stali miejskiej słucha, z dźwiękiem własnego dzieła ją porównuje. Na tępym końcu brzeszczota ukuł krzyż, potem biorąc wzór z poznańskiej roboty, pięknym rysunkiem dzieło swe ozdobił...

* * *

Gromada ludzi ze wsi w świat daleki idzie. Na wojnę idą. Matule wojakom do lipowych kobiałek serki owcze, chleb i sperkę na okrasę chleba dały. Chłopy rosłe, ramiona niedźwiedzie, gęby opaleniem jare, chwilą na nich spokój i pogoda, chwilą wzrok pazdrawy i zaciętość wielka. Na głowie barania czapka, w krasiate pióra strojna, z pod czapki lecą włosy na czoło, lecą na oczy, z tylu aż do pasa wiszą. Z pod kożuchów kudłami na wierzch obróconych białe giezła widać, pół ciała przepasuje wzorzysty skórzany, podwójny pas.

W głębi pasa miech, do którego ojciec kilka srebrnych denarów na drogę wyrzucił. Łapcie skórzane na nogach rzemykami podpięte, rzemyki aż po kolana spowijają szerokie konopne gacie, w ręku parobka żelazny miecz. Kto z nich byczka na miecz nie miał, ten niesie grabowe cepy.

Oto szlachta króla Bolesława bić się za kraj idzie!

Prowadzi ją do Poznania „hrabia" Stoigniew...

* * *

Boi się chłopczyna, żeby te jaskółki, które pod strzechą szereg gniazd mają, nie słyszały bicia serca i po wsi jego myśli nie opowiedziały. Popłynie jaskółeczka, ta plotkarka do Poznania, ludziom powie...— —

Jakby skarbiec w sercu nosił... zamknąć trzeba to serce, złoty skarbiec w niem schować, jako pieniądze w malowanej skrzyni. Bo ludzie źli zabiorą...— —Żeby to jeszcze było złoto i perły,—niechże je wezmą. Ale w sercu droższe od wszelkich skarbów uczucie, droższe od pereł łzy...

Czemu one płyną, kiedy przecie w duszy bezmierne szczęście...

Słowa jej o swem serdecznem uczuciu mówił, słowa mu nie powiedziała, a przecież wszystko wie... Powiedziały mu jej oczy takie piękne, takie bratnie..

Widzi ją Lestek na wysokościach królewskiego tronu, widzi ją w niezmiernym majestacie i chwale. Wszak ten złoty tron tłum jasnych panów stroi; wszak tam przy Chrobrym królu brat cesarza rzymskiego Bruno, który o pomoc i łaskę, i strzechę gościnną prosi. A ona tam, w blaskach majestatu, nie widzi ich, możnych świata tego; oczy jej czarowne w szary tłum rycerstwa lecą, jego szukają... jego... Nie wie chłopczyna, czemu go dławi w piersiach płacz. I zdaje się młodziankowi, że tam w dali w przepychu złota i purpury, w jasności święta stoi, że oczęta ukochane mówią do niego:

— Ufaj.

Jakby ten jaskrawy tłum aureola jej jasności zakryła, jakby na tym tronie była ona sama i jej ojciec o lwiem sercu i oczach takich zacnych, takich poczciwych...

— Stań się mnie godzien! — zdają się szeptać rozchylone usta tej królewny, tej wiośnianej tęczy...

* * *

Wojna! Dowiedział się Bolesław, że cesarz znowu wyprawą na Polskę idzie. Uprzedzi go, w granice Polski nie wpuści, sam w dzierżawy niemieckie wpadnie. Wojska Poznań opuszczają, pułk za pułkiem przy głosie rogów i kotłów na zachód, w świat daleki idzie. W namiotach, gdzie kiryśnicy stali, wojewoda pochód otrąbić rozkazał. Nim słonko wejdzie, Lestek z chłopstwem na wojnę wyruszy. Rwą się serca w świat, młoda krew spać nie da, doczekać się wschodu słonka nie mogą, wre obóz pracą, rycerstwo się na wojnę sposobi. Młodzianek w ciężki kirys się ustroił. Oka ze stalowego drutu pięciokątnemi tablicami pokryte, jako grzbiet żółwi zbroica rycerza wygląda; blask pochodni, która w namiocie płonie, strugą złota i krwi po zwierciadlanej koszulce spływa. Gruby skórzany pas biodra rycerza opasuje, na pasie wisi miecz w rzemienie spowity. Nakrył Lestek głowę stalowym hełmem, z pod hełmu długie włosy lniane na barki spadają, na plecach łuk i kołczan strzał pełen. Jeszcze raz obejrzał broń, ostrze jej wzrokiem bada, jeszcze raz przed namiot idzie, gdzie kamienny kołowrót od południa huczy, gdzie na brusie żołnierstwo miecze ostrzy i oszczepy stali.

Zasyczał kamień na Lestkowej szabli, pacholik maszynę wodą polewa, cała długość brzeszczota przez kamień przeleciała, obosieczna broń jak brzytwa wyostrzona. Mieszczaństwo poznańskie od dwóch dni do obozu się zlatuje, ostatni raz wojaków na swej roli gości, jadło znosi, z owsa wywarzone piwo w konwiach się pieni, ze szklenic białą kaskadą bucha, strugami się leje...

Uciekł Lestek od wesołej gromady, opuścił towarzyszy, z których każdy garniec chłodnego trunku w ręku trzyma, wesołą pieśń śpiewa...

W letni wieczór młodzianek łąką idzie, przeszedł przez potok, który pod Poznaniem w białobłoto się rozlewa, minął przedmiejskie domy, zbliża się do stóp poznańskiego grodna. Jeszcze raz widzieć ten dom kochany, jeszcze raz pożegnać te mury, jeszcze westchnienie posłać tam, dokąd już tysiąc westchnień poleciało. Domy miejskie wyminął, przed oczami jego, zielony zamku stok, wśród leszczyn kwietne polany, nad pospólstwem baśnic i stokrotek bukiety modrych dzwonków do wschodzącego księżyca się wdzięczą. Dworzyszcze królewskie przed nim: ręce na piersiach,

przycisnął ją do serca, żeby to serce gorejące skowronkiem z piersi nie wyleciało, bo poleci do okienka jasnej pani i trzepotem skrzydeł zdradzi, że on zapatrzony w jej okienko, jako w ołtarz...——że on tam skamieniały przed grodnem poznańskiem...

A przecie wiedzieć tego nie śmie nikt, nawet ona...— —

W mieście ruch i hałas wielki. Uciec od wrejącego dziś miasta. Zsunął się w rozróg olsz, minął graby na stromym upłazie...— —

— Jej dom, jej chata...— —

Oddech wstrzymał, żeby się nie zdradzić. Jej okienko tak blizko, że ledwo rękę podnieść... Jawor, pod którym Lestek stanął zielenią gałązek z jej oknem się bawi, w okno zagląda ta girlanda śliczna listowia. Dzikie wino kaskadą z murów lecąc, zielonym pędem spowiło dziewannę, której złota chabina w wietrze ciepłem się kołysze. I żal w duszy i zazdrość straszliwa: zazdrości rycerz temu jaworowi, że oczy królewny codzień nań patrzą, zazdrości zieleni, która jej okno spowiła, zazdrości że jej białym stopom kłania się codzień—złotem kowana dziewanna...— —

Straszny, okrutny żal wezbrał w sercu.

— Iść muszę...

Że opuścić ją trzeba, serce topnieje i taje. Srebrny miesiąc iskrami się przejrzał w kaskadzie łez, które powieki zalały, wstydzi się młodzianek płaczu, dłonią oczy zakrył, zdusić chce żal; ból od niego mocniejszy, strasznym, głośnym płaczem buchła pierś, siły stracił, opadł na jawor, aby nie runąć na ziemię...—

— Opuścić!.. Opuścić...— —

Przez łzy świata nie widzi, jasnośc, która w okienku królewny płonęła, tysiącem iskier, w jego oczach się migoce; nie ujrzał w światłach twarzyczki krasnej, oczów prześlicznych, które w zieleń drzew patrzyły...—

Zesłabł płacz, zebrał siły rycerz.

Ukląkł przed jej oknem, długo w nie patrzał i rzekł:

— Serce moje, ty święta, widzi Wszechmogący Bóg.

Chce iść, oderwać się od widoku drogiego dworzyszcza... Nie może, jakby przyrosły kolana jego do ziemi. Dziwna rzecz się dzieje, wyrzut w duszy, że szalony czyn popełnił, że tu przyszedł... wszak kilka kroków zamkowa brama. Strach jakiś śmiertelny przez krew przeleciał, coś nadzwyczajnego na świecie się dzieje, nie widzą

nic jego załzawione oczy, ale serce cud jakiś widzi, który się stał, który zeszedł na świat... Oszalał!.. Oszalał zaiste rycerz, ziemia przed oczami kołuje, jawor, olsze, bukiety dzwonków, złote chabiny dziewann wirem przed nim tańczą...— — —

— Boże wielki!!

Zaklekotały wrzeciądze bramy, cicho otwarły się wierzeje, we wierzejach zjawisko.. W blaskach księżyca wygląda ten cud, jakby z bieli lilii i z urody róż utkany...— —

Mówi zjawisko:

— Wróć mnie godzien.

— O pani moja...— —

— Jutro z ojcem idziesz...— — —

Lestek nic nie odpowiedział. Duch ludzki ma myśli i uczucia, na których wypowiedzenie nie stać ludzkich ust. Dziewczątko widzi Lestka, którego myśli szaleją, który jest obłąkany swem szczęściem i swemi łzami. Żal jej rycerza, żal tych łez, na prześlicznych jej rzęsach brylant się zaświecił. Rozpięła bujne warkocze, z krasnej główki zdjęła wieniec rozmarynowy, spojrzała serdecznie na chłopaka, zielony rozmaryn mu podaje.

— Przynieś mi go, gdy z wojny wrócisz, mnie godzien!

Zaklekotały wierzeje, nadziemskie widziadło znikło...

. . . . . .

Gwiazdki usypiają na szarzejącem niebie, za lasami zorza różowa się budzi.

W obozie zagrał róg, za rogiem sto kotłów zawarczało. Hałas obozu, gędźba upajająca w uszach Lestka gra. Ten huk kotłów, ten głos trąb, na bitwę, na chwałę, na zwycięstwo go woła. Radość jakaś chwyta serce, jakby to serce rosło w piersiach, jakby szczęściem biły tętna, biła jego krew. Las minął, błota przegini minął, domy obszedł, w szeregach rycerstwa stanął. Załopotały barwne chorągwie, wojsko Poznań opuściło, przez godzinę, dwie zieloną puszczą idzie. Minęli las, kolumny na pagórki się wspięły, wojewoda wstrzymał na chwilę pochód. Obejrzał się wstecz Lestek, wspaniałe zjawisko na niebie.

— Nad Poznaniem słońce wschodzi...

Czerwienią i złotem niebo rozpłomienione, jasność słoneczna świat do życia budzi, chmury rubinem się palą i topazem, wnet słonko wejdzie z za horyzontu. Coraz wyżej jasność się podnosi, coraz więcej i więcej światła w przestrzeniach. Wśród wież poznańskiego grodna ukazało się słoneczko

złote. Lestkowi się wydaje, że to jej dom w niezmierne blaski strojny, że Bóg w przepychy światła ustroił ją i jej domostwo i zacne piastowskie gniazdo, w którem się zrodziła...

* * *

Bez wytchnienia dniem i nocą wojska szły przez Kostrzyń i Buków. Przeszły przez Obrę i Odrę, przeszły przez mokrska rogoźna i miękinie, w głąb hawelańskiej ziemi w pochodach pośpiesznych idą. Dopiero we wsi Kolno, na pustkach przysiółka Berlin, Bolesław Chrobry dał ludziom dłuższy odpoczynek, około uroczyska berlińskiego, niezmierny obóz rozbijając. Ostatni to już postój przed wojną, która błyskawicznemi poruszeniami wojsk zdumiewa, która o niesłychanej rzutkości, niesłychanej wytrzymałości i bitności wojska Bolesławowego świadczy.

Z Berlina zwrócił się król polski ku północy, edelów lutyckich, którzy na rzecz Niemiec szpiegowali, cesarza przeciw Bolesławowi podjudzali, surowo pokarał, rodziny ich wysłał do Polski w niewolę. Wycinając w pień załogi niemieckie ku południowi zdąża Chrobry.

Przez Poddębie i Bielczyk ku Łabie śpieszy. Ziemię saską błyskawicą przeleciał, pochód jego wstrzymała ogromna, srebrna wstęga Łaby. Przypadł do jej wód Bolesław, spojrzał na niemiecki kraj, który się za wodą rozlega, ogarnął go okiem, pożalił się ziemi, w której słowiańskie chłopstwo w niewoli żyje; gniew w Chrobrym królu zawrzał, zazgrzytał zębami i „harde przekleństwo nad brzegiem Łaby wyzionął.*) Poczem ziemię między Łabą, Stremą, Habolą okropnie zniszczył;**) zwrócił się do Łaby, przeprawił sie przez jej wody, na prastary słowiański Dziewin, dziś stolicę niemiecką Magdeburg, uderza. W twierdzy popłoch i zamęt. Odsiecze cesarskie pobite, niemasz dla niemieckiej załogi ochrony ni ratunku, wnet gród padnie przed straszliwym zwycięzcą, nie obroni ogromnej warowni, ani cesarska, ani ludzka ręka...—

Ale ją przed najazdem Bolesława obroniłeś ty Maurycy, święty Męczenniku! Obroniło twierdzę niebo wtedy, gdy już żadnej nie było nadziei ratunku...

*) Kroniki kwedlinburskie.

**) Tak oznacza Bielowski granice Thiethmarowskiej „pagus Morezini.“

Wszak wielki ten patron niemiec w Magdeburgu spoczywa, wszak przed ołtarzem z jego relikwiami całe Niemcy biją czołem.

Wstąpił ten święty w zapamiętałe serce zdobywcy, przypomniał dyszącemu żądzą zemsty królowi, że on sam posiada włócznię świętego, że przeto „zachodzi konfraternia w Chrystusie między Bolesławem, a magdeburczykami.“

Gdy bramy miasta otworem stały, gdy obrona grodu w proch startą była, przeląkł się przesądny Bolesław Chrobry gniewu wielkiego patronu rycerzy, przeląkł się własnego dzieła najazdu na gród, który pod opieką świętego Maurycego zostawał. Wstrzymał zwycięskie wojska na stokach warowni, do otwartych bram nikomu wejść nie dozwolił Zadrzał nie przed cesarstwem rzymskiem, ale przed pomstą świętego, którego włócznia była jego berłem. Ukorzył się przed majestatem rycerza Chrystusowego i od miasta odstąpił.

„Cud się zaprawdę wielki stał, św. Maurycy ocalił swą stolicę.“*) Ale nie wykorzenił święty męczennik bezmiernej zapalczywości, jaka umysł Bolesława ogarnęła, nie ustąpił wrejącej krwi, która po nowe zwy-

*) Th. VI. 24.

cięstwa, po pomstę i odwet na Niemcy króla polskiego gnała. Wpadły polskie pułki w głąb saskiego kraju, na Serbiszcze Bolesław Chrobry je prowadzi; wielkiej twierdzy bronią trzej waleczni wodzowie sascy: Ludolf, Tadilen i Tadi. Przypadł, niemców wybił, mieszczan zniewolił. Grodno niemieckie zburzone, Ludolfa, Tadilena i przezacnego rycerza Tadi, do Polski wojsko prowadzi.

Wraca Bolesław na Śląsk. Podbił całe Łużyce, idzie na wojskami obsadzony Budziszyn. Wszak niedawno przy zdobywaniu stolicy serbskiej wielu walecznych życie straciło. Marnie przelana krew! Krwią cesarz Budziszyn zdobył, haniebnie go utracił. Bo gdy załoga ujrzała wojska Bolesława uciekła zaraz z twierdzy „piechotą i smutno odchodząc do domu.“*)

Obsadził król wojskiem słowiańskie grodno. Po wojnie, po orlich polotach, które miały kształt błyskawicy i szybkość błyskawicy, na wczas, na odpoczynek do śląskiego Głogowa idzie...

* * *

*) Tamże.

„Zdjęła żałość cesarza Henryka.“ Wieść za wieścią gońce niosą, coraz straszniejsze nowiny, coraz większe przygnębienie, coraz większy gniew, coraz większa kolka cesarza w boku łamie. I upomniał cesarz książąt saskich „aby się przecie pomścili swojej zniewagi.“ Posłuchali cesarza znakomici mężowie, dobył miecza magdeburski arcybiskup Tagino, wyruszył na wojnę w stal zakuty biskup merseburski Thiethmar, rycerskie zastępy na Bolesława wiedzie. „Zebrali się jednak późno i zwolna Bolesława ścigali.“ Mimo to jednak nieustraszone wojska mężnie idą naprzód, żądzą zemsty ziejąc. I byłby niewątpliwie Bolesław poszedł w praszczęta, gdyby nie to, że gdy niemcy doszli nad rzekę Nutę pod miasto Jutrybóg, przemówił do wojska Thiethmar:

— „Najmądrzej zrobimy, jeśli wrócimy się do domu.“*)

Z niezmiernym zapałem przyjęło rycerstwo radę znakomitego wojownika. Wre wojsko niezmiernym entuzyazmem, biją kotły, okrzyki radosne pod chmury lecą. Bo ta rada była w istocie bardzo mądra. Na rękach rajcę po obozie noszono, poczem

*) Własne słowa Thiethmara powiedziane pod Jutrybogiem.

arcybiskup Tagino wraz z walecznymi nie pożno już i zwolna, ale wcześnie i bardzo szybko do Saksonii powrócił.

. . . . . .

„Gęsto w lecie i w zimie przemyśliwał cesarz nad przytłumieniem Bolesława.“ Myśl zmienia się w czyn, za wodzem swym, monarchą i panem znowu całe cesarstwo na „okrutnego słowianina“ idzie.

Wszystko co zacne i przednie na bój wyruszyło, arcybiskup Tagino i proboszcz jego Walterd mścić się klęsk niemieckich idzie. Biskup halberstadzki Arnulf, padernborski Meinwerk i merseburski Thiethmar swe wojska przyprowadzili, książę saski Bernard, margrafowie Herman i Geron żelazne pułki na bój sprawiają. A przecie idzie to wojsko bez wiary w zwycięstwo, bez ufności w pomyślne zakończenie wyprawy. Jakby na pogrzeb szli, nie po zwycięstwo, nie po chwałę.

Margraf Gero gościnnie wielką armię w swych ziemiach przyjmuje, na każdym zamku cesarza czeka uczta i gędźba wesoła Dobrze się dzieje wojskom, dopóki przez posiadłości Gerona idą, strach chwyta serca na myśl, co będzie, gdy gościnne jego dziedziny opuszczą.

— Głód nas czeka.

— Tak jak było w ziemi poznańskiej; pomór głodu nastanie.

— Czas zaradzić złemu.

— Wojsko w zapasy żywnosci zaopatrzyć.

— Skąd wziąć żywności?

— Jakto skąd? Głupiec tylko czerpie wodę ze studni w której wody niema.

— Tak jest. W majątkach Gerona jest bogactwo i obfitość wszystkiego wielka.

— Gerona złupić! Gerona!!

Wzamian za wierną służbę, za gościnę splądrowała armia całą ziemię margrafa Gerona.

„Bo my wszyscy nie przyjaciółmi, lecz wrogami Gerona będąc, cały majątek jego zrabowaliśmy, zwłaszcza że cesarz się temu nie sprzeciwiał." (*)

U progu Polski, na wstępie do Łużyc, zatrzymał cesarz armię w pochodzie i rzekł:

— Możeby było nieźle pokój z Bolesławem zawrzeć.

— Jakto? Przed wojną?

— A dlaczegoż spokój ma być zawieranym zawsze po wojnie?

— Oczywiście. Zróbmy wyjątek.

— Może skruszyło się serce „wściekłego

*) Thiethmar.

bezczelnika" może dobrowolnie wyda zabrane ziemie.

— Może się przeląkł ten „publiczny nieprzyjaciel ojczyzny."

— Może zmiękł „pustoszyciel większej części cesarstwa."

Wysłał cesarz poselstwo do króla polskiego. Wyruszył Bernard, książę saski, z proboszczem Walterdem.

Ale Bolesław szorstko przyjął posłów, zuchwałemi słowami obsypał i z niczem odprawił.

Bernard i Walterd „nic u Bolesława nie wskórawszy, próżno wrócili." A cesarz, który nadzieją zgody się cieszył, z upragnieniem pokoju oczekiwał, usłyszawszy obelżywe Bolesława słowa, okropnych kolek w boku dostał, tak straszliwie się z żalu rozchorował, że arcybiskup Tagino monarchę pielęgnując, jęki jego słysząc, sam z żalu w ciężką zapadł chorobę. „Rozchorował się arcybiskup i znaczna część wojska się rozchorowała!!" Zwołano radę cesarską, na której uchwalono, aby wszyscy chorzy do Niemiec wrócili, reszta zaś wyruszyła na Bolesława. Był on wtedy w Głogowie, na Śląsk tedy niemiecka armia idzie. Zapuścili się w kraj tak daleko, że wojsko widziało

wieże głogowskie i warownie Bolesława. Thiethmar się przeląkł własnej odwagi, że wojsko aż tak daleko wlazło w paszczę ryczącego lwa. To też na Głogów nie uderzono.

Ale polski obóz wre i rycerstwo chce na armię niemiecką uderzyć.

— Zdziesiątkujemy ich szeregi!! Obóz ich na szablach rozniesiem!!

Gorącą krew żołnierzy uspokoił król i wycieczki z murów Głogowa zabronił.

— „Szkoda marnować życia ludzkiego! Bo zwycięstwo, czy klęskę poniosę, stracę w bitwie rycerstwo. Pohamujcie się do czasu, a teraz bez własnej straty podjazdami ich gnębić będziem." (*)

Widząc, że Bolesław nie napada, nawet łupieży siół się nie mści, nabrały otuchy niemieckie szeregi, zaczęły wierzyć w zwycięstwo, w blizki pogrom Polski i Bolesława. Już wyruszono, aby króla polskiego zgnieść, nieśmiertelną chwałą zwycięstwa się okryć...

Niestety w pochodzie zwycięskim wstrzymał cesarskie wojska „gęsto padający

*) Własne słowa Bolesława zapisane u Th. IV 38.

deszcz," (*) skutkiem czego wielka armia uciekła do Niemiec.

* * *

Niemcy w wojnie z Bolesławem podobne do człowieka, którego żre gorączka: co chwilę paroksyzm przychodzi, organizm rozpala, aby znowu odejść, ciało jeszcze bardziej sił pozbawić. Po klęsce, po ucieczce gorączka nowa, nowe zamysły zaborczej przeciw Bolesławowi wojny. A pobożny cesarz Henryk przystępuje do niej podstępnie i chytrze: oto pięcioletni rozejm z królem polskim zawiera, a zawarłszy go i słowem dotrzymanie pokoju poręczywszy, bezzwłocznie nową wyprawę na Polskę gotuje, wielkie wojska pod Białogórę (**) ściąga. Nie stawił się na nową wyprawę waleczny arcybiskup Taginon, bo śmierć powołała go na wielki sąd boży; wybrany więc na jego miejsce arcypasterzem proboszcz Walterd pod Białogórę z wojskami biskupiemi śpieszy.

Dowiedział się o podstępnych matactwach Bolesław, bezzwłocznie więc do siebie, do

*) Tamże.
**) W Thiethmarze „Belegori."

wsi Sciesanic, Walterda na rozmowę wzywa. (*)

Bogatymi upominkami arcybiskupa Bolesław obdarzył, ale gorzkimi obsypał wyrzutami. Dwa dni zaledwie Walterd u Bolesława bawił; ten czas wystarczył, aby przypatrzył się ogromnym przygotowaniom do wojny, aby stracił nadzieję i wiarę w zwycięstwo niemieckiego oręża. Wrócił pośpiesznie pod Białogórę, gdy zaś cesarzowi zdał sprawę ze swej podróży, to otaczającym cesarza książętom „nie wydawało się rzeczą bezpieczną zapuszczać się w dalszą drogę"...

Wrócili znowu do Niemiec, aby umocnić granice, aby warownie przeciw najazdom stawiać. A Bolesław bezzwłocznie za podstęp podstępem niemcom płaci, w chwili gdy cesarz, zawarłszy traktat, chyłkiem i milczkiem wojska przeciw Polsce zbierał, Chrobry Stoigniewa do południowych Niemiec posyła, aby ten wzniecił tam rokosz i bunt. Wielki mistrz matactwa do Lotaryngii, do Metzu śpieszy, stamtąd do obozu cesarza idzie „niby to, aby pokój zawrzeć, głównie, aby wodę zamącić." (**)

*) W Thiethmarze: Sciciani. — Seitz? Zinitz? Syneńce? Sathaum? Ciesanice?

**) Thiethmar VII 6. Stoignevus ad pertur-

Ostrzegł przed Stoigniewem cesarza biskup merseburski Thiethmar.

— Każde zdanie jego to bezczelne kłamstwo, z każdego słowa jego siedem żmij jadowite języki wystawia.

— W błędzie jesteś Thiethmarze. Zacny to i waleczny rycerz. Wczoraj sławił przedemną majestat rzymskiego imperyum, mówił mi, że należy mi się panowanie nad Afryką i Palestyną...— —

— Darował ci monarcho te kraje?

— Przyznał prawo do nich.

— Tanio mu zaprawdę ta darowizna wypadła.

— Wszystkich Thiethmarze podejrzywasz.

— Zatem powiedz, aby nie Afrykę i Palestynę ale kawałek Polski ci darował. Tymczasem zwróć władco uwagę na matactwa i kłamstwa, przypatrz się jak Stoigniew pod twym bokiem broi.

Długo opierał się podejrzeniom cesarz, wreszcie dał się ostrzedz; na działalność Stoigniewa w Lotaryngii pilne zwrócono oko. Przekonano się, że obaj dziewierze cesarscy są codziennymi polskiego posła gośćmi, że Stoigniew pieniądze wśród woj-

---

bandum, maqis, quam, ut simulaverat, ad pacificandum missus est.

ska rozrzuca; mimo ogromnej zręczności „wiecznego kłamcy" udowodniono, że z poręki jego knuje się bunt przeciw cesarzowi. Dzień w dzień Stoigniew z rycerstwem cesarskiem tajne narady odbywa, koło niego skupia się kwiat niemieckiej armii. Ze zgrozą dowiedział się Henryk, że na czele dojrzewającego buntu stoją dwaj cesarscy szwagrowie, których Stoigniew podburzyć potrafił. Mówił do nich:

— Bolesław Chrobry za wasze ujmuje się prawa, o waszą krzywdę, o wasze dziedzictwo z cesarzem się bije. Jeśli wy napadniecie z jednej strony a on z drugiej strony to...

Długo się tiło, wnet ukazały się wyraźne płomienie buntu...

Zawrzał cesarz gniewem wielkim. Kazał wziąć Stoigniewa pod straż. Uczynił to w przystępie porywczości i złości; przeląkł się jednak wnet własnego czynu, boi się pomsty i wojny...

A więc Henryk posła polskiego na stopnie tronu wzywa, aby mu pokazać dziwne widowisko...

Patrzy Stoigniew przerażony, oto wszyscy jego niemieccy przyjaciele nocą napadnięci i w pęta związani. Do sali tronowej dziwny

orszak wchodzi, kat w czerwonym stroju skazańców na pohańbienie przed majestat wiedzie. Dwaj szwagrowie cesarscy z polskim Bolesławem sojusz zawierali, za zdradę więc na pośmiechowisko ich publiczne wystawiono. Idą przed tron w stroju pokutniczym i boso; nie szkarłat i złotogłów lecz konopne giezło ich barki stroi, na karkach pętlica szubieniczna, na pętlicy wisi miecz. Krewnych cesarza na hańbę oprawca przed tron wiedzie...— — —

— Przypatrz się — woła na Stoigniewa Henryk—oto sprzymierzeńcy twoi. Idź, powiedz Bolesławowi, jak cesarz nad wrogiem tryumfuje!!

Poczem puszczono Stoigniewa do Polski z powrotem. (*)

. . . . . .

Tymczasem wojska niemieckie na pograniczu nad odbudowaniem Lubusza pracują. (**) Dawny to był gród, prastara warownia, długie lata przez ludzi opuszczona. Od czasów króla Henryka Ptasznika

*) Thieth. **) Sławna z wojen bolesławowskich Lubusza, (Th. Liubusua) nie jest identyczną z dzisiejszym „Lebusem" nad Odrą. Tego zdania (wbrew Zarańskiemu) jest Bogusławski i Bartoszewicz. W dziejach Bolesława mowa o jakiejś innej Lubuszy, zapewne nad Łabą lub w słowiańskiej Saksonii.

stała w gruzach olbrzymia ruina. Wszystkie baszty napół zawalone z nad rozłożystych murów sterczą, gdy dachy się zapadły, na pułapach wiatr zasiał nasiona, które attyki zielenią i kwieciem ustroiły. Dwanaście kamiennych bram do niezmiernej budowli prowadzi, ogrom murów podziwem ludzi przejmuje. Przyszedł biskup Thiethmar na ruinę, Farsalię poety rzymskiego Lukana sobie przypomina: ta pustka, ten bezmiar gruzów przypomina mu warownię w Dirachium przez Juliusza Cezara wzniesioną, w której więcej niż dziesięć tysięcy ludzi mogło się pomieścić.

Wieszczym językiem poety biskup merseburski na spustoszenie dzieła ludzkich rąk się żali, słyszy biskup, że cesarz chce twierdze odbudować, złe przeczucia się rodzą, nietoperze, które w lochach twierdzy się gnieżdżą, puszczyki, które ze szczytów zrujnowanych baszt gwiżdżą, ostrzegają, aby zaniechać wznowienia i odbudowania tej budowli. Odradzał cesarzowi Thiethmar, ale cesarz na swojem postawił. Sam z Lotaryngii do Lubusza przybył, sam nad budową wielkiego dzieła pracuje. Dźwigają się mury, baszty w niebo lecą, warownię niezdobytą cesarz przeciw Bolesławo-

wi stawia, pałace dla wodzów, kazamaty dla żołnierzy buduje. W niespełna rok dzieło ukończono. Twierdzę ogromną, warownię kresową wojskiem obsadzono; oto skała, na której napady polskie się rozbiją, która się oprze „wrodzonej wściekłości" króla Bolesława. Czas to ostatni czas... —

Gdy Stoigniew z Metzu wrócił, o krzywdzie swej się pożalił, o pohańbieniu przyjaciół Bolesława a dziewierzy cesarskich oznajmił, bezwłocznie w Niemcy wpadł polski król. Jako stado orłów wojsko bolesławowskie przez niezmierne przestrzenie przelatuje, jako nie zgadniesz, kędy leci zmienny wicher, tak wróg nie dowie się, gdzie huraganem wpadła sławna bolesławowska konnica. Piorunem i nieszczęściem zjawia się, aby zniknąć, ukazać się pomstą i odwetem w innej świata stronie.

Rozbili saskie wojska, spalili saskie grodna, rozlecieli się po niemieckich dzierżawach, jako pszczoły po tatarakach i łąkach rozmaitych, aby wnet zgromadzić się w ulu koło królowej matki, aby wojskiem niezmiernem zejść się pod Strelą, gdzie się Bolesław przez Łabę przeprawia. Teraz wpadł w głąb Niemiec, zapłacił za spu-

stoszone poznańskie sioła, przyleciał pod Lubusz, na niezdobytą twierdzę uderza.

* * *

Starym, wojennym, piastowskim obyczajem, naprzód na wały król Bolesław chłopskie pułki wysyła. (1) Wszak te spracowane ręce, Myszny w niedawnej wojnie zdobyły; (2) chłopska piechota to rdzeń sławnego bolesławowskiego wojska „kmiecie tańczą około nieprzyjaciela, szarpiąc jego boki i tyły." (3)

W obronie matki ziemi oni pierwsi idą na rzeź. Gdy nieprzyjaciel pokonany uchodzi, tłum chłopstwa ogarnia nieprzyjaciela. (4) Ogłosił Bolesław, że kto z kmieci z cepami lub kosą na wojnę się stawi wolnym jest od służebności i pańszczyzny. (5)

W zaraniu dziejów Polski wielka chwila, wielkie polityczne dla przyszłych wieków wskazanie. Oto nieśmiertelny Piast, który pierwszy zrozumiał, że chłop to narodu trzon, treść, istota. Pod Myszny, Budziszyn i Lubusz on ich zawołał, aby kraju przed najazdem bronili, wezwał ich, aby budowali wielkie słowiańskie mocarstwo. Wieki prze-

---

1) Bart. 2) Thieth. Bartoszewicz 261. 3) Gall. 4) Bartoszewicz. 5) Tamże.

płyną, nim zrodzi się takie rozumne, zacne, gorejące serce, nim wstanie nowy siermiężny „opiekun biednej wdowy i każdej chudziny." Kmiecią czerń woła na bitwę Bolesław pod Głogów. Gdy Waregowie opadli chrobrego króla, kmieć wyratował go od niechybnej śmierci, (1) chłopska krew zabarwiła pola wszystkich przesławnych Bolesława bitew, chłopi wraz z Chrobrym to budowniczowie, którzy wznieśli gmach państwa polskiego. Twórca Polski wie, że nie żołnierz, ani nie rzemieślnik miejski jest narodem; „Bolesław Chrobry tworzy ze stanu włościańskiego całkowitą istotę narodu," genialny jego umysł wie i uznaje, że naród to chłop. (2) Powołanie kmiecia do służby obywatelskiej, to największa Bolesława Chrobrego wygrana, on największą bitwę wygrał tem, że pierwszy, tysiąc lat temu, na chłopa krzyknął: bracie! Morze krwi, morze łez, modlitw i przekleństw przepłynie, przypomną sobie kiedyś ludzie zawołanie Chrobrego...

. . . . . .

Oto zabieliły się zielone pagórki od siermięg konopnych; ze wszech stron nawała

1) Hist. 2) Tamże.

na wielkie ludzkie mrowisko leci, chłopi na rozkaz Bolesława na warowny Lubusz uderzają. Lubusz zdobywa wiara rękami czarnemi od pługa, huraganem leci czerń po zwycięstwo, po śmierć...— —

* * *

Las padł pod toporem królewskich cieśli, sosnowe pnie pod mury Lubusza znoszą, ogromne maszyny oblężnicze budują. Na wały, na przykopy śladem chłopstwa żelazne rycerstwo idzie; wróbel zagnieździł się w jaskółczem gnieździe, rój jaskółek gniazdo okrąża, niosąc złodziejowi cudzego mienia śmierć. Na słowiańskiej ziemi zagnieździł się niemiec, straszno i ciężko będzie w tej kamiennej matni, wieniec jaskółek coraz gęstszy koło gniazda, z wysiłkiem i męstwem broni się osaczony dookoła wróg. Wie o tem, że ta nawała chłopska, to śmierć, drwi jednak ze śmierci, z otuchą patrzy na mury nie do zdobycia, dufa, że na nich rozbije się straszliwy wróg.

. . . . . .

Na pagórku skąd cały Lubusz widać, skąd mrowisko bijącego się tłumu jak na dłoni ujrzeć można—uczta wielka i wspaniała. Zwyczaj frankońskich królów wobec

bijącego się wroga ucztować każe. Bolesław Chrobry przypomniał sobie widziane na zachodzie obyczaje, rycerskiemu obrządkowi zadość czyni, w obliczu krwawej bitwy stoły biesiadne zastawić każe, biskupów, słowiańskich gości i rycerstwo przednie do stołu swego zaprasza. W królewskiej pysze, w niezmiernym majestacie król z biesiadnikami zdaje się urągać tym murom, które na strach Polsce wystawił cesarz Henryk. Niechże widzi wróg, że tam już jego pogrzebowa stypa, że tam pieni się wino, zaczyna się uczta, której koniec będzie wtedy, gdy zdobyty gród padnie u stóp zwycięzcy ruiną...— — —*)

. . . . . .

Dwudziesty sierpnia 1012. roku. Słonko, które zeszło jasne, prześliczny zapowiada dzień, ubiegła, chłodna noc bogate rosy na trawach zostawiła, zapowiadając po nocnym chłodzie upał i pogodę. Zazieleniły się już na nowo ścierniska, z których dawno jęczmień zesieczono, schną po ugorach mietlice i kostrzewy, w których polne koniki, wróżąc łanom macierzanki przekwit i śmierć wstępny hymn jesienny grają. Muzykę lata

*) O uczcie tej podczas zdobywania Lubusza pisze Thiethmar.

tłumi bitwy pomruk i gwar. Tam wdali bitwa wre...— — — — —

Pod zielonym namiotem liści bukowych ogromne ognisko żołnierze rozpalili, pobite sarny, żubry i jelenie pieką, dymiące udźce wprost z ogniska na stół królewski niosą. Wybito w beczkach czopy, wydobyto z podwód srebrne dzbany i złote kielichy. Wino, które się zrodziło nad morzem, na słowiańskiej, chorwackiej ziemi, pachołek w czary leje. Rozgrzało wino krew, rozjaśniło ludzkie lica, zaiskrzyło i wyostrzyło oczy ludzi, którzy na pobojowisko patrzą. Ksiądz Zdzieszko patrzy na mury, patrzy na bijący się ludzki rój, oczy mu płoną, koścista ręka szarpie i targa niecierpliwie brodę. Patrzy na bitwę król, chwilami radość w jego oczach, to znowu gniew, marszczy brew, oko wpite w bitwę,—ujął w rękę puhar Bolesław, podniósł go w górę, powstał i rzecze do biskupów:

— Tam się leje chłopska krew, tej krwi poczciwej wnoszę zdrowie!

Wypito kielichy duszkiem, z zapartym tchem na losy bitwy rycerstwo patrzy. Orli wzrok króla po szeregach leci, zarządzenia wojewodów śledzi, to się nieudałym zamachem na gród zasmuci, to znowu na widok

sprawności i męstwa swych dzieci, się raduje. Oto „hrabia“ Stoigniew wylazł na drabinę, z olbrzymem jakimś na miecze się rąbie, walka na śmierć kilka mgnień oka trwała, trzasły miecze, ujął hrabia chłopa w pół; zachwiały się dwa śmiertelnym uściskiem złączone ciała, zmógł wroga Stoigniew, ściągnął go z twierdzy, stracił grunt i z palisad z nim zleciał. Strzaskał mu snać w rowie kości, olbrzym trupem leży, a karmazyn nanowo na drabinę leci.

Nie uszła uwagi króla odwaga, sprawność i zimna krew jakiegoś tysiącznika, który z tłumem chłopstwa w palisadach szczerbę wywalił, odparty, z nieustraszonem męstwem drugi i trzeci raz na bój, na śmierć idzie.

— Co to za jeden?—pyta się Bolesław.

— To Wetenik z nad Łaby, Lestek.

— On?! Niech się przed obliczem mojem stawi.

Pobiegł konny pachołek i młodzianka przywiódł.

Uśmiechem serdecznym król żołnierza przyjmuje.

Powstał Chrobry, dobył miecza, uderzył młodzieńca żelazem w ramię, na znak, że go rycerzem pasuje, dotknął się prawicą jego brody na znak, że go za syna przyjmu-

je. Zdjął Bolesław złoty łańcuch ze szyi i ramiona Lestka nim ozdobił.

— Jesteś, chłopie rycerzem moim, ozdobą rzeczypospolitej naszej.

A Lestek.... — — On jako posąg, który mówić nie może...— —Słowa nie mógł wymówić młodzianek, gardło zdławił okrutny płacz. Upadł do królewskich stóp...

Dźwignął go z ziemi Bolesław...— —

— Idź tam! Wszak o twoją, lutycką macierz Polska się bije...— —

Dobył chłopak białego miecza, podniósł go w górę...

— Dajże mi Boże umrzeć dziś za nią i za... ciebie, ojcze nasz!

Skoczył na konia i błyskawicą pognał do kotłowiska, w którem królowała śmierć...—

Chłopstwo zwycięsko się z wojskiem cesarskiem bije, radosne okrzyki co chwila słychać, przy biesiadnym stole okrzyki podziwu, na chwałę, na zwycięstwo rycerstwo kielichy w górę wnosi. Czemuż nagle posmutniał Belesław, czemuż mgławica żałoby pokryła pogodne jego czoło? Patrzy król na gnieźnieńskie, mieszczańskie pułki.*) Patrzy na synów poznańskich trud, patrzy na krew...— — —

*] Gall.

— Wojna — zaszeptał żałobnie król, — Wojna!

Zastanowił i uderzył wszystkich smutek wielkiego wodza.

— Czym ja—zawołał Bolesław—winien, że się krew ludzka leje?

Ozwał się krzyk zaprzeczenia.

— Nie ty! Krew niewinna spadnie na tych, którzy kraj nasz najechali.

— Wszak to połabska, słowiańska ziemia!!

— Posiadania naszego bronim!

— O ziemię naszą się bijem!

— Walczym o prawa braci naszych, o połabskie dziedzictwo!

— Za nasz kraj—wołali czescy, serbscy i lutyccy żołnierze.

— Za wolność naszą i waszą!!—krzyknął Bolesław Chrobry.

— Niech ci Bóg Wszechmocny dopomoże!!!

— Słuchajcie bracia! Czyście wy czesi kiedykolwiek cudze ziemie najeżdżali?

— Nie! Nie!

— Czy serby, połabianie i słowieńcy chodziliście kiedy zwyciężać inne narody, zdobywać cudze kraje?

— Nie!

Biskup zawołał:

— Słowiańska ziemia nigdy zrodzeniem zaborcy się nie splamiła, ty Bolesławie piędzi cudzej ziemi nie chcesz, swojego dziedzictwa, swej braci, swej domowiny jeno bronisz!

— Sto razy królu mówiłeś mi, że pragniesz rzucić miecz, a chwycić pług... — —

— Napady niemieckie cię od piastowskiego, kmiecego pługa oderwały, zmusiły naród oraczy i gęślarzy, aby chwycił do obrony za miecz!!

— A przecie — rzekł król, tam mrą ludzie... Jakto?! Czy dziecko na to matka wykołysała, po to tysiąc nocy nie przespała, po to wypieściła i wycałowała swe maleństwo, aby jej ukochanie pożarła na wojnie śmierć?!!

Powstał od stołu Bolesław Chrobry, chwycił srebrny dzban w ręce, przepełnił winem kielich, ujął czarę w dłoń, wzniósł ją w górę.

— Przekleństwo wszystkim zdobywcom świata tego!!! Zaraza niechaj wielkich, wawrzynem okrytych zwycięzców wytraci!!! Niechaj przeklęta będzie pamięć tych, którzy po cudze dziedzictwo idąc, krew ludzką rozlewali!!! Niechże pomniki geniuszów wojny staną pod szubienicami!!! Ty Boże

miłosierdzia nie miej nad krwawym mordercą, który zwycięstwa koronę uplótł z pereł ludzkich łez, z rubinów ludzkiej krwi!!!

Wychylił król czaszę, na pole bitwy iskrzącem spojrzał okiem. Nagle zmiął kruszcowy kielich w palcach jako liść jaworowy...——

Oto...— — —

Mrowisko ludu na Lubusz uderza, kiryśnicy i oszczepnicy na wały i palisady idą. Widzi król... chłopstwo polskie trupami błoń pokrywa, po trupach kmiecie huraganem na warownie lecą, mieszczańskie, wielkopolskie pułki się biją, przyłożył Chrobry rękę do oczu, tam majaczeje ruchoma krwawa ludzka calizna... tam garbarze, kowale i szewcy poznańscy na rzeź idą...— — —

Pożaliło się biednego ludu Bolesława gorejące serce. Wichrem wyleciał, konia dopadł, już jest wśród czerni, już z konia skacze, na wałach Lubusza się zjawia... —

Znają go niemcy dobrze. Wszak w obozie cesarskim żołnierze pieśni o Bolesławie śpiewają.

Gęślarz niemiecki śpiewa jego hojność i męstwo, bo wróg nawet nie jest natyle ślepy, żeby nie widzieć jego cnót i wielkiej rycerskiej duszy. Wszystkim wiadomo, że Bolesław poległych w boju nieprzyjaciół

opłakuje. Jeśli wróg był rycerskim, a zacnym człowiekiem, to śmierć jego spada na serce bolesławowskie żałobą.*) A gdy niemiecki harfiarz pieśń na cześć Bolesława śpiewa, to motłoch żołnierski obelgą mści się na Chrobrym za pogrom i klęskę. W czasie pokoju, w bezpiecznem schronieniu drwią sobie z pogromcy, wspominają osobiste Bolesława nawyknienia, leci przez cesarski obóz obelżywe przezwisko: Tragbir! Piwosz! Beczka nalana piwem!! Traba!!

I teraz od jednego końca Lubusza do drugiego leci wśród niemców straszny krzyk: Traba!! Traba!! Okropny widok, śmiertelne zjawisko...

Otyły olbrzym zjawił się na murach, okrzyk: Traba!! leci, wśród murów zamkowych się rozlega, a od tego straszliwego słowa: Traba!!! blednie żołnierz, ścina się w żyłach krew, wrzask Traba!! Traba!! odbił się o dalekie lasy i wrócił echem: Śmierć!! Śmierć!!

Motłoch rzuca broń i na oślep ucieka, nie wie, dokąd lecieć, bo zamczysko zewsząd otoczone. Cesarscy wodzowie Wizo i Guncelin rozpaczliwy opór na wałach stawiają, kasztelan zamku, mężny Izyk, rozpierzchłe

*) Thiethmar V, 16.

żołnierstwo zbiera, ducha dodaje, na wały, na Bolesława uderza. Zapóźno, już zapóźno. Bo na wałach zjawił się straszliwy demon pogromu. Ci, co mu opór stawić chcieli, są jak ćmy, które poleciały w ogień... pomarli. Stoigniew, królewicz Mieszko, Lestek, to jak trzy skrzydła halnego wiatru, huragan wpadł w ludzki las... gdy siły stargał, wtedy już tysiąc sosen trupem leżało. Ze wszech stron chłopstwo się wdziera, pięciuset polaków przy oblężeniu Lubusza poległo*), pięć tysięcy niemców teraz pod toporami mściwej czerni padnie. Nie, nie padnie. Najezdniczą dzicz ocali wielkie i zacne serce. Od rzezi ocali ich łaska chrześcijańskiego władcy i pana. Gdy opór ustał, gdy wojsko się poddało, przebaczenie i dar życia herold królewski wodzom oznajmuje; przy płonącem jak jedna olbrzymia pochodnia Lubuszu, wodzów cesarskich Wizona, Guncelina i Izyka łykami i powrozami pachołkowie pętają. Spętali ich „i wszystkich pojmanych panów zaprowadzono przed oblicze dumnego tryumfatora, na którego rozkaz silną strażą ich otoczono.**)

Nowo zbudowany, nie do zdobycia warowny Lubusz, wielkie dzieło cesarza Hen-

*) Thiethmar. **) Th. VI. 48.

ryka w morze płomieni się zamienił. W strasznych ciemnościach nocy wygląda dziś Lubusz jako ogromna romańska świątynia, sto budynków goreje, sto krwawych kolumn do nieba się wznosi, na każdej kolumnie głownia czarnego dymu, strojna w złote iskry i płonące żagwie, na czarnych kapitelach dymów i gorejących wieńcach spoczął architraw ciemnych chmur...—

. . . . . .

Postąpił Bolesław do ruin klasztoru w Kalwie i tam, gdzie Solawa do Łaby wpada, żelazne słupy w wodę wbijać każe. (*) Wbito w ziemie żelazne ogromy, wytyczono granice Słowiańszczyźnie. Gdy rzemieślnik pracę swą ukończył, zwołał Bolesław morawskich pułkowników, przyzwał Lestka, sorabów i słowińców, którzy się razem z nim bili. Wódz polskiego ludu wskazał ręką na szeroką wstęgę rzeki Łaby, na tę historyczną granicę słowiańskiego posiadania, wskazał na żelazne słupy i rzekł wielkie słowa do tysięcy przyszłych lat:

„Połączcie się! Pomnijcie, że jedna płynie w waszych żyłach krew."

*) Zapisane u kronikarzy z XIV w. Słupy żelazne graniczne wbijano w rzekach, dowiódł tego Szajnocha, twierdzenie więc Szujskiego, jakoby podanie o żelaznych słupach wbijanych w Łabę było „bajką," jest nieco śmiałe.

XVIII.

Smutno, głucho w obozie. Dawniej purpurowy namiot cesarza do później nocy zawsze wrzał życiem, sejmem rycerskim, czy biesiadą huczną. Dziś przy Henryku rycerstwa nie widać, poszli, opuścili cesarza, na radę już, ni sąd nikogo nie stać, wobec klęsk, które spadły, nikt nie ma odwagi powiedzieć Henrykowi: miej nadzieję. Bo ta nadzieja jest jako chabina trawy zielonej; kilka razy zżął ją kosiarz, kilka razy nanowo odrosła, przyszła wreszcie jesień, sił roślinie do nowego odrodzenia nie stało...— —

Chodzi cesarz po namiocie, myśli zbiera, pracuje jego dusza, błąka się jako Dyogenes, który z latarnią szukał człowieka we dnie. Henryk człowieka szuka, rady szuka. Człowieka niemasz i otuchy niemasz. Spoj-

rzał Henryk na złoty ikon św. Maurycego, zawieszony nad łożem w namiocie, stanął przed obliczem świętego, wnet upadł na twarz...— —

— „Przytrzej pychę wroga Bolesława, o to cię ze skruszonem sercem proszę." (*)

Serce żalem wzbiera, słowa prośby zatamowały łzy. Boleść duszy odbiera siły ciału, dziedziczna choroba wybucha i dręczy cesarza. Chwycił się Henryk za bok...

— Kolki! Kolki!! O!

Niemoc, ból, żal rodzi złorzeczenia, straszne przekleństwa.

— Grzesznem mojem ciałem choroba ciężka kręci. O! żeby cię wrogu niemoc śmiertelna nawiedziła, żebyś trzy dni konał, żeby w chwili zgonu sparły cię kolki, które mnie dławią przez całe życie moje.

Ścichł żal, ścichł wnet ból i ustąpił, cesarz powstał, uchylił opony namiotu, na obóz szeroki patrzy. Jakby wszystko wymarło. Obóz śpi, żołnierz zmordowany bez duszy leży. To mrowisko białych namiotów, to jakby nawała nowo usypanych mogił. Na krańcach tylko ognie płoną, słychać echo ludzkiego życia. Życia?! Boże!

*) Hist. Modlitwa cesarza, zapisana w annałach kwedlinb. od r. 1915.

Pod sosnami brzask światła wielki, dwadzieścia świec się jarzy. To pobici przez Bolesława w Lubuszu rycerze, wykupione z rąk polskich ciała... Do grobów w Merseburgu ich wiozą, aby spoczęli na ojczystej ziemi.

Zbliżył się do żałobnego pola cesarz Henryk, do zakonnika, który się modli i świece woskowe przez wiatr zdmuchnięte nanowo nad zwłokami zapala...

— Co to?

Nowy widok niespodziewany i rzecz niesłychana. Tu żałoba, pieśń trumienna, a tam... głosy jakieś ciszę przerwały... Koło dalekiego namiotu ognisko wielkie, żołnierze niemieccy piwo garncem piją, pieśni wojenne śpiewają. Słyszy cesarz:

Chwała tobie Bolesławie!
Twemu męstwu, dostojeństwu,
U sług twych królewskie szaty
Ich niewiasty w złotych wieńcach
Bławat na nich, strój bogaty. (*)

Złość chwyta, żółć pęka. Rozlała się żółć po arteryach, krew wzburzyła, krew zatruła... Własne niemieckie wojsko pieśni o polskim królu śpiewa, (**) wielbi jego odwagę' sławi jego czyny. Wielki demon

*) Parafraza pieśni Galla. **) Historyczne. Bartoszewicz, Koneczny.

wojny zdobył dla swej cnoty cześć, nawet u wroga, stał się bohaterem jego pieśni, przedmiotem jego podziwu, sława Bolesława przędzą jego marzeń...— —

Wsparł się cesarz o pień grobowy, z rozchylonemi z podziwu usty, hymnu o swym wrogu z ust własnych żołnierzy słucha...

Żeby jemu, cesarzowi, za tyle lat trudu, za tyle męki, za jego zgryzotę i jego łzy choć dobrem słowem zapłacono, żeby uznano jego gorliwość dla dobra państwa, dla dobra rzymskiej, świętej monarchii... Ta pieśń żołnierska śpiewana o wrogu śmiertelnym, o wściekłym bezczelniku, gadzie jadowitym i pustoszycielu cesarstwa, policzkuje go, urąga mu, najgrawa się jemu.

Skarcić żołnierski motłoch?! He! He! Spędzić tę pieśń z ust, aby tem silniej zagnieździła się w sercu; gwałt czynić ludzkiej myśli, to ognisko rozpalone tłumić, okładając ze wszech stron warstwą smolnego, sosnowego drzewa: scichł na chwilę ogień, wśród polan dym się gęsty przewala, głupiec myśli, że ogień pokonał i umorzył... że on stłumił ogień ludzkich dusz!! Pieśń żołnierską słychać, a sił nie starczy — bo siły sparaliżowała ta pieśń. Idzie cesarz do namiotu, na brzezinach białych się

wspiera... Ledwie że doszedł, odchylił namiotu zasłony—słaniając się ku ziemi, aby nie upaść, wsparł się całą siłą, ręka ciężarem spoczęła, jakby na cierniach... kłują... ranią!!—co to?! Korona; złota korona, ostre rubiny i dyamenty, na których wsparła się cesarska dłoń...

W blaskach kagańca migocą się szafiry i topazy...—

Ujął dyadem w rękę cesarz...

— Korona! Moja korona! Ciernie twe zraniły me czoło, krwią zalały moje oczy, wpijają się w mózg...

Wpatrzył się cesarz w złoty klejnot wspaniały, czoło pokryła chmura smutku...— —

— Trupie złoty. Czerepie martwy! Ty cielcze złoty, przed którym motłoch się kłania! Szacunek ludzki? Cześć? Gdy cię ohydny czerepie powieszę na chochole, który wróble straszy, ludzie oddadzą ci cześć... Im wszystko jedno — oni będą każde lizać stopy...— — —

Duma Henryk długo—myśl jakaś się rodzi... myśl jasna, myśl przyszłości i nadziei. Jako po burzy rozchodzi się czarniawa chmur, niebo się przeciera, jasność bławatkowego nieba cieszy ludzkie oczy, tak z lica cesarza ustąpił smutek i żal...— —Ujął pra-

wicą koronę, podniósł ją w górę, ścięgna ręki kurczem gniewu zadrgały. Siłą i mocą tęczowy złoty klejnot na ziemię rzucił. Zadźwięczał na klepisku dyadem, zadzwonił klejnot, uderzywszy o drewnianą skrzynię, jęczy złoto, płacze korona państwa rzymskiego...— — —

— Niechże cię czerepie porwą wszyscy szatani!!!

Zrzucił cesarz purpurową szatę, otulił się w szary płaszcz oszczepnika, zarzucił kaptur na głowę i namiot opuścił. Jakby się na nowo na świat narodził, sił mu przybyło, szybkim krokiem wśród namiotów bieży. Idzie przez zaułki obozu, wszedł w olsze, przez linie ognisk i strażników się przekrada...— —

. . . . . .

W późną noc zadzwonił podróżny do merseburskiego klasztoru. Gdy nikt bramy nie otwierał, ujął ręką żelazny krzyż wiszący na łańcuchu i raz jeszcze dzwonkiem szarpnął. Chwila ciszy, wnet echo ludzkich kroków się zrodziło, ktoś do furty się zbliża, zarzegotał i rdzą zaskwierczał w bramie zamek, żelazne drzwi się otwarły.

— Kyrie elejson!

— Chryste elejson! Skąd przychodzisz? Kim jesteś?

— Nieszczęśliwym.

— Czego żądasz?

— Spokoju.

Brat zakonny przypatrzył się gościowi, wpuścił go w krużganek, udał się do cel klasztornych i wnet z przeorem do furty powrócił.

— Przyjmij mnie, ojcze! Ulituj się!!

— Płaczesz?!

— Osusz moje łzy!

— Jakie twe imię?

— Nieszczęście moje i imię moje za tym progiem pozostanie.

Widział przeor skruchę wielką, patrzał na gorzkie łzy i pytań zaprzestał. Nie imię, lecz rozpacz pokutnicza otwarła nieszczęśliwemu klasztorne bramy.

Wprowadził Henryka mnich do ciemnej wązkiej celi, gdzie na ziemi leżał barłóg ze słomy, gdzie na białym stole był krucyfiks osadzony na trupiej głowie...— —

Wszedł Henryk do celi jak żeglarz do przystani. Modlił się cesarz, aż zmęczony modlitwą, opadł na łoże i zasnął.

Od wielu lat po raz pierwszy zjawił się cichy sen i spokój na twarzy nieszczęśli-

wego, zmordowanego bólem i walką człowieka...— — —

* * *

W starym, słowiańskim Braniborze sejm walny, na uroczysko święte przed ołtarz pana niebios Świętowida kapłani wodzów i kmieci zwołali.

Ważny sejm. Książę słowiański Kruk rozprawom przewodniczy, o jutrze narodu połabskiego, o przyszłości jego mowa. Ślepy tylko nie widzi, że sojusz z niemcem to narodu śmierć; najwięksi wrogowie Bolesława zrozumieli, że tylko ramię w ramię z Polską stojąc, można wywalczyć wolność i zrzucić jarzmo, w którem jęczy słowiański lud.

Wszystko nową wojnę zapowiada: straszna kometa zjawiła się na niebie, stada kruków włóczą się po lasach, od strony Polski, od Odry za Łabę, na niemiecki kraj ciągnąc. Ludzie opowiadali, że źródła nie kryniczną wodą, lecz krwią biły, wojewodowie w opolach i żupach wróżby z biegu koni stawiają, rumakom przez dwie włócznie skakać każą, a wróżby te zapowiadają rozlew krwi i śmiertelne boje. (*) W głębi

*) Zwyczaj wrózbiarski u słowian. U połabian utrzymywało się mnlemanie, że przed wojną źródła biją krwią.

puszcz wilkołaki na pomór ludzki wyją; chochlik, ten, który promienie księżycowe jada, który zapachem kwiatów się żywi, schował się w liliowy kwiat szczerbacza i ze strachu śpi w sąsiedztwie brata swego wodnego skrzata, zamieszkałego w kielichu baśnicy. Złowrogie głosy w nocy po borze słychać, puszczyki w kościelcach gwiżdżą, w gradowych chmurach duchy się biją, wieść, że Bolesław znowu na niemców idzie, przez kraj szeroki leci... —

Nawróciła się do Bolesława starszyzna lutycka, myśl o poddaniu się w opiekę króla polskiego z radością przyjął słowiański lud. Sejm poselstwo do Bolesława wysłać postanowił. Jak zjazd władyków odbył się w tajemnicy przed okiem grodów niemieckich, tak też w tajemnicy do Bolesława dwóch weteników (*) się wybrało. Aby nie wpaść w ręce niemców przez puszcze i knieje się przedzierają, we dnie kryją

*) W źródłach od IX w. często spotykamy nazwę Vethenici (Bethenici). Nie jest rzeczą jasną, czy to imię pospolite czy też własne. Thiethmar mówi o nich satellites Vethenici. Bielowski sądzi, że własne, że to nazwa narodu na wschód od Łaby. Szajnocha tłómaczy ten wyraz, „stróżowie zamku." Ponieważ w innem miejscu wyraz ten plsze Thiethmar: Weneinici, sądzę, że tłómaczyć go należy, wojennicy, wojnicy.

się w paryach podszytego lasu, nocami ku Polsce idą i idą....— — —

* * *

Złapano ich, gdy wracali z Poznania, ujęło ich rycerstwo, które na pomszczenie niesłychanej hańby, niesłychanego napadu z obozu niemieckiego wyprawiono. Oto na rozkaz Bolesława poszła w Niemcy rota lekkiej polskiej jazdy, trzydziestu szalonych odwagą ludzi postanowiło kraj wzburzyć, popłoch wywołać, trwogę rzucić na niemieckie grodna. Ludzie o orlim locie, o lwich sercach wypadli z Budziszyna, wzdłuż granicy czeskiej lecą, dopadli Łaby, w jednym dniu dwadzieścia mil przebyli, piorunem spadli na niemiecką załogę w Drażdżanach, stu ludzi wycięli, jak błyskawica się zjawili, jak błyskawica znikli, przez Łabę się przeprawiają, uderzają na stolicę margrafa, na Myszny. Jakby burza gradowa przez łany niemieckie przeleciała. Trzydziestu zuchów popłoch na dziesięć tysięcy rzuciło, na burgi spadł paniczny strach, w obozach sen uleciał żołnierzom z oczu. Od miasta do miasta wieść leci o napadzie, w wyobraźni wystraszonych załóg rośnie liczba najazdu, potworne rozmiary przybiera, o stu, o tysiącu, o dziesięciu tysiącach

najezdników żołnierze sobie wieść podają. (*)

— Czarownicy to, nie ludzie.

— Lecą jak burza.

— Przewodnikiem ich wetenik Lestek.

— Skąpał się w naszej krwi!

— To poganin, wróg Chrystusa.

— Od paszczy sługi szatana zachowaj nas panie!

Zwiedziano się wreszcie, że to nie armia, ale szaleńców trzydziestu; kilkaset koni wyruszyło przeciw nim wtedy, gdy oni zniszczywszy niemiecką ziemię do Bolesława do Budziszyna wrócili. Wszyscy cało ze zdobyczą doszli, oprócz Lestka.

Ten z rozkazu Bolesława rotę opuścił, do Braniboru spieszy...— — —

* * *

Złapali dwóch weteników i grożąc śmiercią, do zeznań ich zmusili.

— Przebaczenie wam, jeśli wydacie; śmierć wam, jeśli o poselstwie waszem zamilczycie.

*) O tej brawurowej wycieczce konnicy polskiej pisze Thiethmar VI. 37. Szalona odwaga tych zuchów przypomina Somosierrę, Szajnocha porównywa ją z bitwami Żółkiewskiego, Czarnieckiego i Jana III.

Dwaj słabi ludzie wybrali przebaczenie i życie.

— Kto was do Poznania wysłał?

— Sejm w Braniborze.

— Co wam mówił polski król?

— Nic.

— Nic?! Jeśli nic, to zawiśniesz na sznurze.

— Nic nie mówił panie. Rzekł tylko: idźcie, tam w Braniborze jest mój syn...

— Syn? O kim on mówił?

— Wy dwaj byliście w zmowie, aby rocie polskich zbójców bramy Myszen otworzyć?!

— Przebacz nam to panie!

— Byliby podpalili gród, gdyby nie to, że zmieniono straż, że przy wierzejach sascy oszczepnicy stali.*)

— Ulituj się panie!

— Cesarz daruje wam życie, przebaczy zbrodnie, jeśli wydacie zamiary Bolesława, jeśli powiecie, kto z nim w zmowie, kto bunt podnieść zamierza, gdzie rokosz wybuchnie.

— My nic nie wiemy panie!

— Kto zatem wie?

— Lestek.

*) Thietmar.

— Kto?! Lestek?

— Lestek!—krzyknął saski pułk, w którym imię to dreszczem strachu przeleciało...

* * *

Uciszył się popłoch, wywołany nowiną, że cesarz zaginął, umarły okropne wieści, że monarcha z polskiej ręki poległ, że porwanym został w niewolę, że czartowska moc ojca państwa, wodza armii zabrała. Strwożone wojsko wie już, gdzie cesarz... Dziesięciu biskupów do Merseburga jedzie, stare klasztorne mury nigdy tyle majestatu, tylu książąt Kościoła razem nie oglądały.

. . . . . .

Spokój wrócił do serca pokutnika, zło, rozpacz, smutek, zgryzota zostały na wysokościach tronu, w ciżbie i wrzawie dworskiej, na świecie, od którego cesarza mur klasztorny poczerniały ze starości dzieli. Dzwon opactwa który o wschodzie słonka na modlitwy mnichów zwołuje, radością się i weselem w duszy brata Henryka odzywa, zerwał się z łoża, pergaminową, złoconą księgę chwyta, do chóru bieży, psalmy Dawidowe z zakonnikami, szczęśliwy już i spokojny pokutnik śpiewa. Dziwnym torem lecą myśli złamanej boleścią duszy:

surmy wojenne, pieśni śpiewacze i gędźba dworska, żałobą, mnisi smutny śpiew radosnem gra w duszy echem...

Słoneczko wstało, w ciasne okna krużganków kościelnych się wdarło, ukończyli zakonnicy modlitwy, do furty brat Henryk śpieszy, aby podróżnym wsparcie, ubogim jałmużnę rozdać.

Przyszedł wędrowny z dalekich krajów, suknie mu włóczęga po świecie podarła, ciało jego zbiedzone głodem, olbrzymia a zbiedzona postać wędrownego, ledwie na nogach się trzyma, na twarzy sfałdowana skóra, bruzdy i rysy, które wykuł ból... Oczy jego błędne, ciągle się łzy cisną w te wystraszone, okropne oczy, na świat patrzą jego źrenice przez łzy...— —

— Coś ty za jeden?

— Głodny jestem!

— Oto chleb, jedz.

Wędrowny spojrzał na chleb, ręce jego ze wstrętem od chleba uciekły, uciekł w kąt ciemnej bramy, jakby się bał chleba, który mu podano.

— Chleb ci podaję! Nie widzisz?!

— Nie.

— Ślepyś?

— Oczy otworzyć się boję.

— Czemu?

— Bo krew!

— Gdzie?

— Ręce twe krwawe, chleb twój cieknie krwią.

— Co ty mówisz?!

— Kędy spojrzę na świat, wszędzie widzę krew...

— Czego chcesz od nas?

— Chleba.

— Wszak ci daję.

— Chleb? Chleb? To nie chleb, to posoka...

— Jedzże! Jedz!— mówił brat Henryk, nieszczęśliwego włóczęgę spokojąc, do ust mu złomek chleba niosąc.

Wziął chory człowiek chleba do ust...

— Ohyda!

— Co czynisz?

— W ustach smak krwi, o ! widzisz?! Trup ohydny na gałęzi sie kołysze, Msta, który z głodu umarł, do mnie idzie... Ratuj!!

— Szalejesz !!

Zerwał się przybłęda, usta szeroko otworzył, wargi i język gorączkowo pracują, jakby się chciał pozbyć z ust okruszyn chleba.. ohydne usta chcąc chleb wyrzucić, pianę

wydają——próżna robota—zatkał wreszcie oburząc usta, całą siłą dłonie do ust tuli...

— Szaleńcze!

— Precz z chlebem!! — krzyczy chory człowiek.

— Szatan cię opętał...

Zapienił się obłąkany człowiek, przez zęby syczy urywane słowa:

— Krwawi się rana... z piersi bucha krew! A trup przytyka paszczę otwartej rany do mych ust i szepce: pij morderco, pij...— —

Uszedł przed straszliwym widokiem brat Henryk, boi się szaleńca, boi się zostać z nim, boi się z rąk obłąkanych śmierci. Gdy wnet z zakonnikiem wrócił do furty, żywej duszy już nie widać, żywej duszy niema na dworzyszczu, ze wszech stron otoczonem wysokimi murami. Przebiegł je wnet zakonnik, furtyana o szalonego człowieka się pyta...

— Wyszedł?!

— Nikt nie wychodził.

— Jakto?! Był tu chory człowiek...

— Nie otwierałem nikomu bramy.

Popatrzyli zakonnicy po murach, śladu człowieka nigdzie niemasz; spojrzeli na głęboką w caliźnie kamiennej wyrąbaną stu-

dnię,—straszliwe przeczucie zatargało wszystkiemi nerwami.

Spojrzał Henryk w czeluść bezdenną...——tam zwierciadło wody słabiuchnym blaskiem jakby niebieskie próchno błyszczy,—woda się niespokojnie chwieje...

— Czy widzisz?

— Woda zmącona...

— To bębło bije...

— Nie, nie!

— Na powierzchni zwierciadła...

— O! O! O!

Gdy wydobyto trupa, spojrzał przeor na jego wynędzniałe lice i krzyknął:

— Książę Bernard saski!!

— Zdobywca Braniboru. Krew ciągle wspominał...

— Wytoczył morze słowiańskiej krwi.

* * *

W późną noc zapukał do celi brata Henryka przeor.

— Imię Chrystusa niech będzie pochwalone.

— Po wszystkie wieki.

— Wieść ważną ci bracie, zwiastuję.

— Mów przewielebny ojcze.

— Jutro twe śluby zakonne. Żyłeś dotąd w tych murach jako penitent, przebyłeś okres próby jako nowicyusz, zostawiono ci czas do namysłu, czy tu dobrowolnie żyć chcesz, czy zakonne życie jest istotnem twem powołaniem i celem. Dziś jeszcze czas iść stąd na jasny, wesoły świat i na świeckie życie. Jutro już będzie zapóźno. Gdy śluby złożysz, żadna moc cię stąd nie wydobędzie; mury te, to twoje życie, twój grób. Jutro zaprzysięgniesz przed Bogiem zakonne posłuszeństwo. Namyśl się bracie, wejdź w głąb ducha twego... —

— Namyśliłem się ojcze—rzekł brat Henryk, płacząc łzami szczęścia i radości.

* * *

Nie zamknął prawie oka. Dzionek jeszcze nieba nie zabielił, a brat Henryk opuścił cele i do kapitularza idzie. Tam wszystko do uroczystego aktu ślubów przygotowane, na środku kobierzec rozwinięto, przed kobiercem klęcznik dębowy, na klęczniku złocona jaskrawa księga na którą śluby zaprzysiądz trzeba. Koło krucyfiksu z kości słoniowej dwie świece woskowe stoją... Upadł pokutnik, rozkrzyżował ręce, modli się. Godzinę już płakał, gdy z krużganków ozwał

się dzwon ranny, budzący zakonników ze snu, wołający ich na modlitwę. Święte hymny w kapitularzach odśpiewają, przysięgę świętą od brata Henryka odbiorą...—

Szum ludzkich stóp z klasztoru się zbliża, zakonnicy do kapitularza idą. Nie widzi rozmodlony pokutnik, że oprócz zakonników, dziesięciu arcybiskupów i biskupów do kaplicy przyszło, nie wie o tem, że oni wczoraj do Merseburga przybyli...—

Nie widzi kwiecistych szat, nie widzi złotem tkanych mitr, nie widzi wspaniałego wieńca mężów, który usiadł w stallach kapitularza, oczy nie widzą bo zalały je łzy..

Odmówiono pieśni Dawidowe, gdy ukończono ranną modlitwę, wielki obrzęd się zaczął, hymnem do Ducha Świętego. Do leżącego krzyżem brata zbliżył się przeor, wziął krucyfiks w rękę, podniósł go w górę i woła:

— Dojrzałaż twoja myśl?

— Bóg ją dał, Bóg ją utwierdził na wieki.

— Wyrzekasz się świata i wszelkiej mamony jego?

— Dopomóż mi Boże.

— Wszelkiej obłudy i wszelkich grzesznych uciech jego?

— Wyrzekam się na wieki.

— Przyjmujesz li dobrowolnie regułę zakonu?

— Całe życie wiernym jej pozostanę.

— Czy wiesz, jakie są obowiązki zakonnika? Czego zakon chce od ciebie, o co na ciebie woła?!

— Wiem!

— Mów!

— Dozgonne ubóstwo, dozgonną czystość bezgraniczne przeorowi posłuszeństwo.

— Zaprzysięgniesz je?

— Przysięgnę!!

— Przysięgnij. Mów za mną słowa, które słyszy Bóg!

Szelest, gwar ludzki leci po ciemnej kaplicy, to wszyscy zakonnicy i biskupi z miejsc powstali, aby uczcić majestat świętej przysięgi. Ze wszystkich ust od biskupów i mnichów leci głos:

— Przysięgaj! Przysięgaj!

Echo bieży po kapitularzu, te czarne ściany mówią, te złote ikony świętych mówią, jakby groby zakonników w podziemiach złożonych wołały na brata Henryka:

— Przysięgaj!!!

Ukląkł brat Henryk, w Chrystusa zapatrzony, do ran Jego rozmodlony... — —

Przeor mówił głosem wielkim:

— W obliczu Twojem Wszechmogący Boże...

— W obliczu Twojem Wszechmogący Boże...

— Ja brat Henryk przysięgam...

— Ja brat Henryk przysięgam...

— Bezgraniczne przeorowi memu posłuszeństwo.

— Bezgraniczne przeorowi memu posłuszeństwo.

— Tak mi dopomóż Chryste, który słyszałeś słowa moje...— — —

. . . . . .

Postawił przeor krucyfiks na klęczniku i rzekł:

— Wstań!

Powstał nowy zakonnik. Patrzy w głąb kaplicy...— — —

— Co to?... Tam...

Tam na wysokich biskupich tronach siedzą wielcy dostojnicy rzymskiego państwa, tam jest Ekihardt arcybiskup moguncki, Walterd arcybiskup Dziewina, Arnulf biskup halberstadzki, Meinwerk padernborski, Thiethmar merseburski i Eid biskup—pokutnik myszneński.

— Przysiągłeś!! Przysiągłeś!! Przysiągłeś!!—odezwał się chór księży i biskupów.

— Słyszał moje słowa Chrystus!

Wyszedł przeor na stopnie arcybiskupiego tronu i zawołał:

— Bracie Henryku! Słuchaj! Twój przełożony ci rozkazuje!! Ja przeor w Imię Boga, któremu przysiągłeś...

— Przysiągłeś!... — powtarza ust kilkadziesiąt.

— Każę ci...

— Przysiągłeś!... — napominają echem mury kapitularza.

— Każę ci...

— Mów ojcze mój, mów!

— Opuść klasztor i włóż na twe ramiona monarszą purpurę!!! Skronie twe zwieńcz złotym cesarzów rzymskich dyademem!! Władaj królestwem niemieckiem!! Nagradzaj dobrych, karz niesprawiedliwych! Oto ojczyzna nasza o obronę, o pomoc na ciebie woła! Granice nasze napada upojony pychą wróg!! Idź na północ, zetrzej wroga w proch, nie spocznij, aż Bolesław w nędzy i upokorzeniu legnie u twych stóp!!!

Milczenie zaległo grobową kaplicę...

— Przysiągłeś!! — leci wielki głos przez salę...

— Przysiągłeś!! — odpowiada echo czarnych, ponurych ścian kapitularza...— — —

Powstali zakonnicy, ze stalij wychodzą, w dwa szeregi się ustawiają, psalmy Dawidowe pomrukiem jeden szereg śpiewa, psalmem Dawidowym drugi rząd mu odpowiada. Głosem żałoby pieją zakonnicy:

— Pańska ziemia jest i napełnienie jej...

— Okrąg i wszyscy, którzy mieszkają na nim...

— Bo Go On nad morzami ugruntował i nad rzekami nagotował go...

— Któż wstąpi na górę Syon...

— Probuj mnie Panie i doświadcz mnie, wypal nerki moje i serce moje.

— Wybaw Panie Izraela, wybaw go ze wszystkich ucisków jego.

Za długim szeregiem zakonników, szereg arcybiskupów niemy idzie, przeszli przez czarną kaplicę, już wszyscy ją opuścili, ostatni ze siłą zatrzasnął żelazne rzeźbione drzwi...— — —

W kaplicy świętej przed krucyfiksem stał w zakonnej szacie cesarz rzymski Henryk. (*)

* * *

— Wszystko wetenicy powiedzieli?—pyta się rycerzy cesarz Henryk.

*) Scena historyczna. Act. S. S.

— Tak jest wielki władco. Imieniem twojem poręczyliśmy im życie, jeśli wydadzą, w jakim celu do Poznania do Bolesława chodzili.

— Poręczyliście? Bardzo dobrze! Wyznaliż?

— Wszystko co oni wiedzą, wiemy i my.

— Odrazu prawdę powiedzieli?

— Gdzie tam. Chcieli nam za złoto dać mosiądz, za ogień, dym. Dopiero, gdy im powróz zawieszono na szyi, powiedzieli wszystko...

— Cóż więc się stało, gdym w modlitwie i w pokucie pędził moje dni?

— Rycerz bolesławowski Lestek w połabskiej ziemi broi, powszechne powstanie słowian przeciw nam gotuje. Był za Łabą nad Mżą, gdzie niedobitki słowiańskie żyją, był w Podborzu na Rujanie, do powstania wyspiańskich słowian podjudzać.

— Wiecież gdzie on jest?

— Dwaj wetenicy pod szubienicą miejsce jego pobytu zdradzili. Już wiemy, siedzi w matni. Jest otoczony ze wszech stron w świętej, pogańskiej Retrze.

— Nie ujdzie?

— Retra na wodach zbudowana, jezioro ze wszech stron przez naszych żołnierzy

otoczone. Ptakiem nie przeleci, rybą nie przepłynie.

Spojrzał cesarz łaskawie na skrępowanych weteników.

— Wielką tajemnicę wydaliście wy dwaj bracia mili, wielka też wasza zasługa. Chodźcież do mnie. Tak. Imieniem mojem królewskiem przyrzeczono wam życie? Czy tak?!

— Tak jest, władco.

— Wy trzej przezacni ręczyliście?

— My trzej.

— To oddaję wam w ręce tych miłych młodzieńców. Trzeba ich zaraz powiesić. Patrzcie! O! Co za sosna. Co za gałęzie! Nie wysoko a pochylone ku ziemi...

Oniemieli rycerze...

— Ręczyliśmy wielki królu.

— Czyń, com rozkazał.

— Wieszać?

— Wieszaj!

— Ależ słowo twe...

— Czy nie widzisz bluźnierco, że ja już zacząłem odmawiać modlitwy za konających?...— —

. . . . . .

Gdy dwóch słowiańskich weteników wieszano, (*) nadeszli do obozu cesarskiego gońce z nad Łaby, hiobowe wieści niosąc. Zagraża państwu nowe, niezmierne ludów słowiańskich powstanie. Dźwigają się znowu po latach narody, stare rzymskich królów zbrodnie o nową pomstę wołają. Gdy nikczemny oszust Gero na ucztę władyków słowiańskich sprosiwszy, wszystkich książąt w domu własnym podle wymordował, gdy miecz jego pomorem przeszedł od Draždžan i Wełtawy aż po morze, gdy Ottonowie ogniem i mieczem kraj podbili, zdawało się wszystkim, że szeroka połabska ziemia to popielisko, w którem ścichł ogień buntu i na zawsze umarł. Szlachta lutycka płaszczyła się u stóp tronu cesarskiego, w pokorze znosił jarzmo lutyckich edelów rolny lud. Ten lud do pługa przykuty darował erbom cesarz niemiecki, to była ich herbnuszcz, to była ich herbwańska własność. (**) Dziś powstaje ten lud; — jak ich panowie z cesarzem, tak oni, wydziedziczeni nie-

*) Była to szósta szubieniczna egzekucya dokonana przez Henryka na słowianach z Braniboru, zapisana u Thiethmara. Ex-zakonnik w wieszaniu słowiańskich wojowników nie ustępuje krwawemu Geronowi.

**) Herbnuszcz, własność, herbwański, własny.

wolnicy, z Bolesławem Chrobrym i Polską się łączą. Nawet wsród tych, którzy byli zdrajcami własnej ziemi, którzy byli pokornymi sługami niemców, szpiegami, dobrowolnie donoszącymi cesarzowi o zamiarach Bolesława, nawet wśród tych budzi się sumienie, nawet niejeden z edelów podszeptom Lestka posłuch daje i do wojny się gotuje. Wojna święta wschodzi, godzina wolności wnet wybije, swoboda zakwita, a jako w prześlicznem zakwitającem kwieciu róży robak się lęgnie, tak w wielkie dzieło oswobodzenia lutyckiej ziemi wkradł się podstęp i zdrada...

Sto szpiegów niemieckich z niczem wróciło; byli oni jako człowiek, który wie, że z rozpalonej ziemi rodzi się chmura: chmurę człowiek widzi, nie oznaczy jednak miejsca, gdzie ona się zrodziła, nie widzi par idących z ziemi, nie wie, gdzie powstała mgławica, która się na wysokościach bałwani. Jako chmura nad ziemią, tak powstanie nad połabskim krajem wisi, wszyscy wiedzą, że tak jest, nikt nie wie, gdzie jego ognisko. Lestek od sioła do sioła nocą leci; w Braniborsku, krainie słowiańskich mogił, zjawił się on jako błędny ogień pomsty, ogień zrodzony z grobów, żyjący zawartością gro-

bu, wołający o odwet za tych, co w jatkach Henryka Ptasznika, pod toporem zachodnich oprawców pomarli. Świeci błędny ogień grobom, żywych do słonecznej jasności prowadzi. Nie schwycić niemcom rycerza bolesławowskiego, zrodzonego na połabskiej ziemi, jako ręka ludzka nie ujmie promyka księżyca ni błędnego ognia.

Nie znaleźli zarzewia cesarscy szpiedzy, a czego nie dokazał szpieg, tego dokonała zdrada. Przyszedł do niemców płatny nikczemnik, doniósł, że na nowiu święcić będą w Retrze noże...— — —

* * *

Święta Retra, w której zamieszkał pan świata Radegast. Na ogromnym jeziorze wśród niezmiernych bagnisk wyspa maleńka między wodami. Ta wyspa, to gaj święty, zarosły odwiecznymi dębami; wśród dębna uroczysko święte i kościelec, na kościelcu, wśród bluszczów i dziewan, posągi bóstw stoją. Wśród kwiecia Perun straszliwy i Trzygłów i Łada. Z calizny głazu snycerz je wykuł, w cudne rzeźby ustroił, runicznym napisem ozdobił. (*) Naokoło wyspy kro-

*) Posągi z Retry dochowały się do naszych czasów. Odkryto je w XVII wieku i złożono w muzeum w Nowych Strzelcach (Mikilinbor-Strzelce).

cie słupów dębowych w wodę wbito, na palach pomost przy pomoście się bieli, na pomostach tysiąc modrzewiowych domostw zbudowano. Chaty wieśniacze ścisnęły święte uroczysko wieńcem szerokim, chaty otoczył rząd palisad, które ze wszech stron miasto opasały. W palisadach dziesięć bram, od każdej bramy most przez wody aż do lądu powadzi. (*) I gdybyś był ptakiem i pod niebo wzleciał, to na szerokim lazurze wód ujrzałbyś gwiazdę niezmierną: jądro jej i ognisko to ołtarz święty, miąż jej to chaty wieśniacze, od planety dziesięć promieni po lazurze leci, to długie na mile mosty, które przez wody aż do lądu biegną.

W cichości i tajemnicy otoczyły Retrę wojska cesarskie ze wszech stron. Idą chytrze, cichaczem, podstępnie, pułki na roty podzielone, lasami się przedzierają, gdybyś z Retry którąkolwiek świata stroną wyszedł, to natkniesz się na cesarskie szeregi. I jest ta Retra jako ul przy końcu gorącego upalnego dnia: ze wszech stron świata pszczoły doń lecą... Pszczoły! Ga-

*) Według współczesnych opisów. Retra [Radgoszcz, u Thiethmara Riedegost] dziś osada przy wsi Przyblice [Prilwitz] w Strzelcach mikilinborskich.

dziny, dyszące mordem, żądzą krwi. A szli tak cicho, że nikt z pątników nie spotkał się z niemieckim żołnierzem, nikt nie ostrzegł ludzi, którzy się na wielką uroczystość Sobótek w świątyni Radegasta zgromadzili.

Gdy zapadła ciemna noc na nowiu, wdarli się na mosty ze wszech stron żołnierze, dwadzieścia łodzi naokoło do Retry płynie. Domy prawie puste, mrowie ludu w świątyni się modli, straże słabe ledwie w bramach zosłały, nikt się napadu, nikt się zdrady nie spodziewał. A każdy żołnierz, który idzie przez most, który jeziorem do domostw płynie, w prawicy trzyma miecz, w lewej ręce smolną żagiew. Ze wszystkich stron Retrę podpalono, sto ognisk zjawiło się w jednej chwili, w jednej chwili wieniec sobótek święte miasto otoczył. Cofnęło się wojsko na brzegi jeziora...

. . . . . .

Ogniwa płomiennego różańca rosną i zwiększają się, sto płomieni ogromnych naokoło Retry widać, ziarnka różańca schodzą się ze sobą, łączą się, wnet ogień staje olbrzymim pierścieniem, w toni wód drugi krwawy pierścień płonie, rośnie ku górze obręcz, w słup pożogi się zmienia, święte

miasto to okropna kolumna ognia, który niebiosa krwawymi językami liże. Z wnętrza ogniowego piekła głosy zdala słychać, krzyki straszliwe, jęki, cała Retra to harfa, która rozstrojona zadźwięczała, jakby krwawe pożarem miasto płakało; to ludzie w płomieniach płaczą, krzyczą, wyją...— —

Przepełnione ludźmi czółna na wodach się zjawiły, kto łodzi dopadł, ten ocalił życie, ten uszedł z piekła, w którym ludzie płoną, z uroczyska, na którem ludzie z dymu, pragi i upału się duszą. Uszedł! Uratował życie z ognia, aby wnet poledz z morderców ręki...— — —

Łatwe zaprawdę zwycięstwo. Wszak uchodzą bezbronni ludzie, wszak uciekają napół szaleni obłąkańcy, aby na brzegu znaleść ucieczkę i ratunek. Płynie i płynie łódź do brzegu z pogorzelcami, gdy się zaś do trzcin nadbrzeżnych zbliżyła, huragan śmiechu się odzywa, grad kamieni rzuconych z proc na czółno leci. To wojska cesarskie biją bezbronny lud. Kto się na brzeg dostał, od miecza poległ, reszta nie doszła do brzegu, zginęła pod kamieniami, jęczy na łodzi lub pasuje się resztą sił ze śmiercią w topieli.

Potonęli i brzeg ścichł. Wypłynęła łódź niemiecka na jezioro, wnet szybko do swych wraca, wieści niesie...

— Zbrojni!!

— Książę Kruk łodzią płynie.

— Może przy księciu znajdzie się on...

— Życie oddam—zawołał cesarz—za jego życie!

— Nowe zbrodnie jego na jaw wyszły!

— Przez puszcze przeszył się opat tyniecki, idąc do Francyi i Włoch. Po co on tam idzie? Pod Starogrodem spotkał się z nim Lestek; on wie posła polskiego tajemnice, tajemnice te, z jego żywych ust dobędę.

Usunęło się z brzegu wojsko, otwarta dla ludzi droga, władykowie płyną do brzegu i płyną, patrzy cesarz na czerniącą się na fali łódź, serce w nim bije...

— Złotem was obsypię...— — —

— Brać żywcem.

. . . . . .

Dziesięciu mężów z łodzi na brzeg wyszło, w lasy idą...

Za każdym dębem żołnierz miecz w ręku ściska; dziesiętnik, chłop zwalisty, dzierży w ręku długi sznur. Koło dziesiętnika sprzedawczyk idzie, wskazuje palcem i szepce:

— To on... to on...

— On!!!

Zasyczał sznur w powietrzu, oko ciężkiego smolną powłoką powroza na szyję Lestka spada, wali go na ziemię, gardziel ściska, chłop ciągnie rycerza; na dziewięciu jego towarzyszy stu ludzi spadło, na mieczach słowiańskich władyków roznieśli. Wlecze się po ostręgach i jałowcach ciało Lestka, przytomność już traci... zebrał ostatek sił, zdołał prawicą chwycić sznur, zelżeć szyi... Dech odzyskał...——straszliwe oko powroza zrzucił z karku... Uczuł zelżenie postronka oprawca, krzyk okropny—oto Lestek zrywa się, już ma wstać, za okropną cenę krwi życie sprzedać.

Gromada morderców na niego spadła.

— Żywcem brać! Żywcem! — płaczliwym głosem krzyczy cesarz.

Spadli ujęli, biją się i mocują, gromada ludzi jak polip, który dwudziestu rękami wywija, zmogli go, omotali, spowili... skrępowali...

— Boże!! Boże!!!

Jęczy Lestek...— —

Wzięli go jak pniak jodłowy i złożyli u stóp cesarza.

A cesarz spojrzał w niebo, złożył ręce, usiadł na zwalonych dębach, rozłożył pergaminową książkę, zwrócił ją, aby promienie pożaru na karty padały i modlił się płacząc łzami wdzięczności.

— „Wszyscy narodowie klaskajcie rękoma, wykrzykujcie głosem wesela...

„Król wielki, straszny podbił narody pod nas i człowieka pod nogi nasze.

„Śpiewajcie królowi Abrahamowemu, a śpiewajcie mądrze."

Co prawda cesarz Henryk niezbyt mądrze śpiewał. Ale śpiewał i modlił się, patrząc w złote, barwne lazurem i purpurą pergaminy.

Słowa gorącej modlitwy łatwo czytał, bo modlitewnik jaskrawo oświecała płonąca pożoga Retry...

Morze ognia oświecało świętą księgę cesarza Henryka...

XIX.

W kamiennym pałacu w Dziewinie jest ciemna izba wśród lochów, w których skazańcy i zbrodniarze gniją. Żelazne drzwi z niej w ponury kurytarz wiodą, z kurytarza widać wejścia do nor, gdzie ludzie jęczą, na wieczne skazani więzienie. Otwór prowadzący do ohydnej jamy jest tak wielki, że ledwo leżącego człowieka wsunąć można; wrzucili go, żelazną ciężką furtę zatrzaśli; raz na dzień otwiera burgrabia we furcie okienko, aby nędzarzowi dzbanek wody wstawić, podpłomyk zakalcowatego chleba rzucić. Kto tam wszedł, ten nigdy nie zazna, co to słonko, co to białość dnia...

Na końcu krużganku tam, gdzie po głazach kamiennych ohydna, zaskórna woda się sączy, są ślepe, ciemne piwnice, do których nie śmie się zbliżyć nikt, nawet burgraf, bo

strach krew mrozi. Tam w podłodze okrągły wylot zawalony kamieniem, tam wrzucają ludzi skazanych na śmierć z głodu...

Wrzucili człowieka, nikt nie wie, czy on umarł, czy żyje... minął miesiąc, wyrok cesarski drugiego na śmierć głodową skazał, odchylono kamień, nowy skazaniec spadł na rozkładające się zwłoki trupa...— —

W ciemnej izbie, u wstępu do lochów żołnierz kaganiec rozpalił, w blasku smolnego łuczywa narzędzie katowskie widać... Straszny przyrząd nielitośny mistrz wymyślił i ku zgrozie ludzkiej w dziewińskim lochu postawił. Oto łoże drewniane, u głów jego i u nóg walec dębowy, na walcu lina okręcona, w osi korba, którą się walce w ruch wprowadza.

Przy drzwiach koło zębate, zęby wpadają w wyloty drugiego mniejszego koła, które ciągnie linę zawieszoną u powały, przeprowadzoną przez bruzdę żelaznego bloka: przy drugim końcu izby tram dębowy, w tramie dwa ucha, w uchach znowu powrozy...

* * *

Oczyścił miotłą żołnierz podłogę, snać gości się spodziewa; oto kroki ludzkie

z ciemnego kurytarza dudnią, oszczepy żołnierzy zażegotały, zazgrzypiały drzwi; trabanci władcy się zjawili, w orszaku rycerstwa nadszedł cesarz, na którego przyjęcie czerwonem suknem dębowy stolec zasłano. Wszedł i usiadł, winowajcę przed swe oblicze wołać każe...

...Przyprowadzono z lochu Lestka, przed obliczem sędziego wetenik stanął, wódz cesarski Folkmar więźniowi pytanie stawia.

— Tyś z rozkazu Bolesława szedł w Braniborsko, aby lud buntować.

— Ja.

— Przebiegłeś lutycką i obotrycką ziemię. Byłeś w Poddębiu, Streli, Kamieniu nad Mżą i zachodniem morzem.

— Byłem.

— Widziałeś się w Starogrodzie z opatem tynieckim, który przedarł się do Francyi. Czy wiesz, po co on tam idzie?

— Wiem.

— Bolesław Krosno nowemi siłami umocnił, naokoło opactwa w Międzyborzu palisady bije, Głogów trzema tysiącami wojska obsadził. Ołomuniec w niezdobytą twierdzę zamienia. Czy wiesz, po co on to czyni, czy znasz jego zamysły?

— Znam.

— Wszystkie?

— Wszystkie.

— Zatem mów.

— Głupiś!

— Stoisz w obliczu śmierci!

— Wiem o tem.

— Jeśli wydasz zamiary bezczelnika, złotem cię cesarz obsypie, życie ci daruje...

— Ciekawyś?

— Chcemy to wiedzieć wszyscy. Czy wojna wybuchnie? Bolesław Niemcy napadnie?

— Dowiesz się o tem.

— Od ciebie? Powiesz nam?

— Ja? — nie! Ale twój grzbiet ci to powie. Gdy polski król pomstą i pomorem na kark wam zleci, zapłaci wam za wymordowane tysiące, za wasze szubienice i za wasze zbrodnie.

— Dość tego.

— Bezczelna gadzina!

— W pomoc Bolesława dufa!

— Przed sądem stoi, a głosem sędziego przemawia.

— Po raz ostatni pytam. Wydasz?

— Głupiś.

— Mów dobrowolnie.

— Mówić?! Słuchaj więc! Nad tobą Folkmarze pomsta Bolesława wisi!

— Na torturze wszystko powiesz!! — zawołał hrabia Adelheid.

— Ty Adelheidzie posoką stopy Bolesława zmyjesz!!

— Wieszać!

— Wieszajcie! Wy wszyscy jako łan zboża w słońcu bielejący. Straszliwy żeniec już idzie...

— Nie zamknież mu nikt bezwstydnych ust? krzyknął cesarz Henryk, w którym krew ze złości zakipiała.

— Na linę z nim!

— Na torturze jako śnieg staje jego pycha!

— Jak słowik śpiewać będziesz.

— Wszystko wyśpiewasz.

— Hola! Oprawcy!!

Skoczyło czterech katów, Lestka wpół ujęli, na stopy jego dwa oka sznura założono, skoczył chłop na drabinę, ściągnął z bloka postronek, chce ręce Lestka w tył zgiąć, chce powróz przywiązać...— —

Uderzył go pięścią wetenik w łeb, knecht z rozwaloną głową upadł do cesarza stóp.

Zwaliło się dziesięciu ludzi na bolesławowskiego rycerza, na ziemię go rzucili, linę do rąk jego przymocowali, dwóch ludzi

na nim klęczy, dwóch ręce jego trzyma, aby nie wstał, aby nie zabił cesarza...——

Zazgrzytało drewniane koło, lina się prostuje i pręży, ciągnie już ręce Lestka, zeskoczyli z niego knechty, nie ludzie, lecz maszyna ma go teraz w swej mocy. Koło skrzeczy ciągle i skrzeczy, zeschnięty, spękany blok dźwiga się w górę, żywy człowiek mocuje się i porusza jako na szpilkę nabita ćma. Bo lina ręce wstecz wyłamuje, ciało coraz wyżej idzie, pętlice nogi trzymają, coraz więcej się ciało wypręża, coraz straszliwszy ból... W pierwszej chwili iskry były w stawach, piekło w członkach, teraz płomień w ramionach straszliwy, zdaje się, że płaczą te stawy okropną męczarnią i trudem.

— Mów!

Śmiech był zrazu na obliczu wetenika, śmiech uciekł, umarł, usta strasznym bolem wykrzywione, zęby zaciśnięte, na wargach zjawiła się piana, ze zębów ciecze piana i ślina. Z lic uciekła krew.

— Mów!—rzecze do Lestka cesarz.

— Bóg pomści!—zaszeptała sina twarz.

— Mów!

— Nikczemniku!

— Ciągnąć!

Pchnęli koło. Trzeszczy powróz, wyciągnięto linę jeszcze bardziej, ręce już wywinięte i wykręcone w stawach, jakby z łopatek wstecz te ręce wyrastały, na stawach zrazu zsiniałych ukazała się teraz czerwoność, jakby z tych ramion miała trysnąć krew...

— Mów.

— Milczy.

— Ognia!!!

Dawno się pali w czeluści komina ognisko, smołę tam oprawca warzy, zakipiał płyn, przyniesiono dymiące, cuchnące naczynie, ciało skazańca siepak tnie, pas ciała drze, skórę odwija, wrzący płyn na krwawą ranę leje. Zmieszała się smoła z krwią, syczy, gotuje się, dymi...

— Przytomny?!

— Przytomny. Oczy otwarte.

— Mów.

Chwycił oprawca pochodnię, ramię Lestka pali.

— Mówi coś! Mówi.

— Jam... cię godzien... — zaszeptał głos tak cichy, jak szelest płynącego na kwiecie motyla.

— Co mówisz?!

– Jam cię godzien, — szepcą sine, niebieskawe usta...— —

— Co on mówi?

— Oszalał. Mówi że jest godzien...

— Mówże wyraźniej!

— Głośniej...

— Toście wy...

— My...

— Za mnie... zapłacze wasz naród...

Zamknął Lestek powieki, dech syczący dotąd i przez otwarte gardło świszczący ustał i ścichł, palonego ciała zaduch okropny czuć, przez kaźnie odór straszliwy przeleciał...— —

— Powietrza! Powietrza!!!

— Cesarz mdleje!

Otwarto na oścież wrota, z piwnic zimne buchnęło powietrze, ludzie nabrali tchu...

— Żyje jeszcze, żyje!

— Żyje mocowaniem się ze śmiercią.

— Kona.

— Kurczem skonu ciało się wije.

— Już nie powie nic...

— Mówić będzie przed majestatem Boga!—rzekł jakiś pachołek.

— Coś ty powiedział — zawołał cesarz, który dech wstrzymał, usta otworzył, w pachołka oczy wlepił...

Sługa zbladł...

— Tyś powiedział...

Milczenie...

— Mówiłeś, że przemówi przed Majestatem...

Skoczył rycerz Widredi i pachołka z całej siły pięścią w pysk trzasnął... Runął chłop na ziemię...

— Wetenik kona! Rozwiązać go!

Odwiązano liny, wyłamane sztywne ręce ujęto, na przód zwrócono, na piersiach wetenika złożono, jakby resztą życia grał ten trup... jakby te ręce na piersiach jeszcze żyły, jakby białe giezło kurczem śmierci rozedrzeć chciały.

— Umarł! Umarł!

— Serce bić przestało.

Rozdarto ubranie Lestka...

— Co to?

Sina ręka kurczem zwinięta...

— W palcach skostniałych...

— W ręku trupiem...

— Ziele zeschłe...

— Wianeczek rozmarynowy...

. . . . . .

Z ciemnych lochów wyszedł cesarz Henryk, przy boku jego Eid, wodzowie państwa rzymskiego Adelheid, Folkmar i Wi-

dredi. Jakby czyste świeże powietrze odurzyło cesarza, jakby otumaniło go, jakby na mózg padło zamyślenie wielkie i mrok. Tyle ludzi powiesił, na tyle tortur patrzył, a przecie śmierć wetenika zmorą pajęczą oplątała serce. Nici pająka oplątały muchę duszy, mucha brzęczy skrzydłami, rwie się, szamoce i niepokoi...

— Ten trup mówił...

— Wołał cię władco, na sąd Boży—zaszeptał Eid.

— Ten trup siny...

— Przed majestat woła...

Zamyślił się cesarz.

— Co mówił w mękach ten człowiek szalony?

Zwrócił się cesarz do wodzów...

— Wy! Wy dzieci moje, jesteście państwa mojego ozdobą i chlubą... Ty niezwyciężony Adelheidzie i Widredi...——On... mówił, że wy, to... posiew śmierci. Folkmarze!.. Co on mówił?

Folkmar nie słyszy szeptu cesarza, wdal patrzy...

— Tuman kurzu nad Łabą.

— Konnica leci.

— Podjazd naszego wojska ku nam się zbliża.

— Ciebie władco szukają. Hej! Bywajcie!

Wstrzymali konie kiryśnicy, setnik zeskoczył z konia, pyłem okryty do cesarza biegnie...,

— Z czem przybywasz?

— Strasznej wieści jestem zwiastunem!

— Mów!

— Bolesław Chrobry w Braniborsku niemców morduje!!

. . . . . .

Cisza zapanowała, cesarz po obecnych spojrzał, jakby te latające oczy myśli szukały... Nie znalazł snać jej, wzrok wdał zwrócił i mówi błędnie:

— Co ten trup mówił?!

— Mówił, że całe Niemcy płakać będą.

Zacisnął Henryk zęby, po licach ścięgno gra kurczem...— — —

— Głupiec!! — krzyknął.

— Tak jest! Głupiec! Całe Niemcy jak jeden mąż staną!

— Książątko słowiańskie zgnieciem!!!

— W pień to plemię wytniem!!

— Drodze do zwycięstwa przyświecać będzie pożoga polskich chat.

Mówił cesarz rzewnie:

— Wy to zdziałacie, drogie dzieci moje, wasza przesławna na świat cały broń! Ty wodzu Adelheidzie, nieustraszony Folkmarze i ty Widredi...

— Zaufaj nam! My go zgnieciem!...

Stanął cesarz, oczy szeroko otworzył, znowu zamyślenie, znowu smutek, oczy błędne...

— A ten siny trup mówił, że wy trzej to żniwo śmierci...— — — —

* * *

Wetenicy ciało Lestka z Dziewina porwali; do Raroga, stolicy obotryckiej je niosą,*) przed posągiem Światowida na kościelcu zwłoki młodzianka złożyli.

— Twoja ci wieś tu stała, chałupa ojców twoich.

— Przyjmie cię rodzona matka ziemia.

— Byłeś jej wierny, wyznawałeś stare nasze bogi.

— Ojciec twój za miłą matkę ziemię szubieniczną umarł śmiercią, a tyś nieodrodny syn tej ziemi i ojca twojego.

---

*) Raróg, inaczej Mikilinbor, w pobliżu Wyszomierza (po niem. Wismar, w Mekl. Zwierzyn.) Ze słowiańskiego imienia Mikilinbor ukuli niemcy Meclemburg-Strzelce (Strelitz) i Zwierzyn (Schwerin)

— Zagrajcież mu harfiarze, gęślarze i wy płaczki śpiewajcie na jego pogrzebie.

— Bo to nasza krew i nasz brat i kość z kości słowiańskiej.

Na kościelcu budują stos sosnowy, młodzieńcy zwłoki Lestka w nowe, bielutkie giezło stroją.

Ubiera wetenik zwłoki Lestka, spojrzał na jego pierś i zdziwił się wielce.

— Patrzcie! Wianeczek.

— Rutka panieńska i rozmaryn.

— Usechł na sercu gorejącem, usechł ciepłem jego serdecznej krwi...— —

— Z Polski go przyniósł.

— W Polsce serce młodzianek zostawił.

— Polskie dziewczątko wianuszek splotło rączkami białemi.

— Idźże Lestku w nieznany świat, świat gdzie Bóg łączy tych, których rozdzieli przeklęty ziemski byt.

Złożono Lestka na wysokim stosie, na piersiach jego wianek panieński bolesławowskiej córy... harfiarze zagrali ziemskie pożegnanie, zapłonął ogromną pożogą stos...

A gdy stos ten płonął, stanął w ogniu cały środek Europy. Wojnę narodową w Niemczech otrąbiono, wszystkie ludy Niemiec Bolesława zetrzeć idą. Zachód

idzie bić się ze Wschodem, mrowisko rot dąży na wschód...

* * *

Miłość, to żywioł, który drwi z ludzkiej woli, z ludzkich sił... Miłość jako moc która ze ziemi w górę nasieniu piąć się, każe: wrzuć nasienną cebulkę w głąb piwnicy, wydała pęd, w ciemnościach się snuje, kilka łokci, siny, blady badyl wyrośnie, leci ku górze, aby się wyrwać do światła, do bytu ciągnie go żywiołowa siła, mocna jak miłość. Miłość wielkie czyny, wielkie dzieła cnoty stwarza, miłość wielkie zbrodnie rodzi. Raz przez cnotę prowadzi jej szlak, czasem pochód wytyczony zbrodniami. Ona jak słonko, które żywiołową potęgą wiosnę budzi, ona jak huragan, który żywiołową potęgą niesie puszczy śmierć, zniszczenie. Skąd się wzięła? Skąd w piersiach to zarzewie i ten płomień? Zapytaj huraganu skąd się wziął, kto mu dąć kazał, on nie dba czy drogą jego jest cnota, czy zbrodnia, on dmie. Kwiat musi kwitnąć, człowiek musi szaleć. Miłość jako burza, postaw jej w drodze rozum, zdruzgoce rozum, pójdzie do swego celu po ruinie rozumu. Żywioł, który

w duszy ludzkiej szaleje, nie dba, że na hazard wystawia ludzkie życie, nie boi się własnej samobójczej śmierci, nie dba wiodąc szaleńca na śmierć, że gdy pierś śmiercią stężeje, umrze i pożoga, która w sercu żywiołem miłości szalała...— —

Gdy Walgierz z Frankonii uszedł, Zofia była jako meteor, który na ziemię spadł z niebios; w przestworzach gorzał ogniem straszliwym, atmosfera ziemi w zimny głaz go przemieniła. Była jak kamień, jak lód bez życia. Płomieniejące serce Zofii spadło z niebios w straszną krainę rozpaczy. Potem przyszła nienawiść bezbrzeżna... Znienawidziła Walgierza, tego, którego dawniej bez granic kochała. Wstąpiła potem do klasztoru, aby przemodlić, przepłakać resztę życia, wreszcie oszalała. Siostry zakonne patrzą na jej obłęd okropny, na jej czyny obłąkane, przeorysza rzekła jej:

— Idź, może cię świat wyleczy...— —

Poszła w świat daleki, leciała na północ, w dąleki kraj żywiołową mocą huraganu, który leci, choć nie wie gdzie leci. Szły wojska cesarza na Polskę, za wojskiem na północ idzie niewiasta obdarta, obłąkana, straszna. Strach przed jej szaleństwem i litość nad nędzą kazał jej dać chleb... —

Doszła do granic Śląska, od jednej kmiecej chaty do drugiej idzie, chleba prosi; gdy zjadła łzami okraszony chleb w lasy ucieka, gdzie jej nocleg, gdzie jej schronisko. Ledwie ranek zaświtał na niebie, ona już wstała, las przebiega, w okienko chaty puka, prosi o pożywienie ciała i pożywienie ducha, o dwie rzeczy ludzi prosi, o chleb i o wieść:

— Kędy do Wiślicy droga?

Idzie dzień cały; wieczór już zapada, rosy na łopuchach i paprociach siadły, chłód wieczorny rozpaloną ziemię studzi, a w jej żyłach ciepło jakieś dziwne, jakby żar upalnego dnia wstąpił w jej krew, jakby to gorące słońce, które dla całego świata zaszło, dla niej i w niej jeszcze świeciło, w war i kipiątko zamieniło jej krew, Huczy ta krew, słyszy Zofia jak na jej skroni tętno bije, gorączka rośnie, gorączką ciało całe płonie, świat majaczeje; potknęła się na ostręgach, upadła i zmysły straciła. Leży bez duszy, śpi. Czasem przebudzi się, gorączka zmalała, otwiera oczy, nad nią zielone gałęzie grabiny, złote promienie słońca przez gąszcz się przedzierają. Chce wstać, nie może, chce rękę podnieść, nie ma mocy. Zebrała wszystkie siły... ręka

opadła, mgłą zaszedł świat, znowu usnęła. Nocą zwierz dziki koło niej wyje, rano przyszedł żubr, spojrzał na nią, węszy... przeląkł się widoku i jak burza ucieka, łamiąc olsze i leszczyny.

Obudziła się po śnie strasznym, po śnie Bóg wie jak długim. Koło jej głowy rdest się wije, srebrne kwiaty lnicy ciekawie zaglądają jej w oczy. Zerwała się...— —

— Głód! Głód!

Uciszyły głód czarne grona ostrężnic, leszczyny gradem orzechów obsypane; zmyła kryniczną wodą czoło, chce iść a przecie ni ręką ni nogą ruszyć nie może. Trzymać się gałęzi musi, aby nie upaść. Przeszedł gorący wrześniowy dzień, z pochyleniem się słonka znowu gorączka przyszła, a ta gorączka daje członkom moc, ta choroba daje zdrowie i życie. Gorączką i szaleństwo ją przez lasy prowadzą, siła ta jako życie złotego grzyba, który tocząc zwalony dąb, ze śmierci czerpie moc do swego istnienia...— — —

Straszny, długi pochód śmiertelny...— —

. . . . . .

Oszczepnik na bramie szarpie się z przybłędą...

— Puść mnie! Puść.

— Precz!!

— Ulituj się!

— Co się tu dzieje?! — zawołała wracająca z łowów Heligunda.

— Szalona, jakaś obdarta dziewczyna.

— Ona chora.

— Wypieki na licach.

— Gorączka życie pożera...

— Puśćcie mnie! Puśćcie!!

Wpatrzyła się Heligunda w licą włóczęgi, usta wiśniowe z podziwu otwarła...— —

— Siostra moja!!

Bez duszy, bez życia padła Zofia u pani Wiślickiej stóp...— —

* * *

Minął miesiąc, wraca życie, wraca dusza. Na łożu miękiem, Zofię złożono, w białe gezło przebrano, znahorki ją leczą. Heligunda często do Izby Zofii zagląda, bab o zdrowie i siły swej siostry się pyta. Choć gorączka mija, przecie Zofia sił nie ma, nie poznaje snać swej siostrzycy, słowem jej nie powitała, przyjście jej szeroko otwartem, zdziwionem wita okiem. Poznała ją... poznała... uśmiech zjawił się na sinych licach, jakby ten uśmiech chciał siostrze powiedzieć:

— Winnam ci życie...

Uśmiechnęła się i jakby powitaniem zmęczona w sen upadła, jakby to powitanie wszystkie jej wyczerpało siły...

. . . . . .

Przeszyty strzałą lis martwy bez ducha leży, przyszedł myśliwy, podjął z ziemi mykitę, przytroczył do pasa, na koń siada... lis tak długo trupa udawał, aż uśpił czujność strzelca, otumanił jego wzrok martwotą swoją. W drodze, gdy strzelec spokojnie do domu jedzie, zwierzę jak piorun skoczyło, wszystkie pazury w miąż końskiego mięsa wbija, we wściekłe szczęki bok zwierzęcia łapie, koń oszalał z bólu, na przepaście leci, na śmierć jeźdźca niesie...— —

. . . . . .

Leży na posłaniu Zofia, zamknięte jej oczy jakby zapadłe powieki, cała praca jej ducha mieszka teraz w uchu, żar życia, istnienia, w uchu teraz płonie. Słucha co znachorki prawią, co służebnice mówią, wszystkiego słucha, czasem wpadnie jej w ucho wyraz, zdanie; — jedno słowo obraz w duszy roztacza, z kamyka słowa ludzkiego jej duch mozajkę formuje, malowidło tego, co się na zamku wiślickim

dzieje. Do mozajki codzień nowy barwny kamyk przybywa, szerszy obraz, dokładniejsze malowidło, ze stu słów, półsłów, niedomówień, wnioski snuje, dzieło pracy ducha gotowe, ona półtrupem jeszcze w zamku wiślickiem leży, a wie już wszystko, co się na wiślickim zamku stało, co się na wiślickim zamku dzieje. Przeszłość i teraźniejszość, to fundament, na którym Zofia buduje przyszłość. Buduje swe marzenia, swe zamysły, co się na wiślickim zamku w przyszłości stanie...— — —

. . . . . .

Widoczna rzecz, że wróciła do zdrowia, że choroba była jako kosa żniwiarza: przeszła po łące, ścięte ziele nową chabinę liścia wydaje, nanowo buja, nanowo się zieleni. Siostrę serdecznie Zofia wita, do łoża swego przywołuje, o domu rodzinnym opowiada.

— Co się Zofio z tobą stało?!

— Nie pytaj! — mówiła słabym urywanym głosem, Zofia. — Serce się krwawi.

— Wiem, że klęska spadła na nasz dom...

— Gdy ojciec umarł, Walwasor napadł na dziedzictwo nasze, spalił Solin, złupił mienie, z życiem ledwie uszłam...

— Wiem to wszystko. Wiadomość o klęsce naszej aż tu doleciała.

— On mnie pomści! On.

— Kto?

— On... Konrad...

— Kim on jest?!

— Przyjdzie tu... przyjdzie... pokłoni się tobie.

— W twe ślady przyjdzie?

— Słowo jego to stal, lilia to jego cześć. Mój jedyny...—

— Ty kochasz?

Oczy Zofii wybuchły kasdadą łez. Zemdlała, a gdy zwilżono wodą jej skroń, spojrzała z uczuciem wdzięczności na Heligundę, zaśmiała się i zaszeptała:

— On przyjdzie, pokłoni ci się do stóp...

. . . . . .

Z wieczora odwiedziła siostrę Heligunda i usiadła przy chorej na łożu. Rzuciła okiem na Zofii pierś... białe giezło rozpięte, na śnieżnej piersi łańcuszek drobny, na łańcuchu pierścień złoty drogim błyszczy się kamieniem...

Otwarła powieki Zofia, jakby śladem ócz Heligundy pobiegły jej oczy, zaśmiała się, wstydliwie, rękami pierścień i pierś zakryła

ukryć chciała swój wstyd, powód rumieńca, który okrasił bladą jej twarz.

— Ten pierścień złoty...

— Widziałaś go?

— Szmaragdowym błyszczy się kamie-, niem.

— Za życie, za świat cały go nie oddam.

— Kto ci go dał?

Uśmiech rozkoszy na bladych licach, zawstydzenie wielkie, szczęście bezmierne.

— On!.. mój ..

— Konrad?

— Konrad — zaszeptała z uczuciem wielkiem dziewczyna.

— Kochasz go?

Uśmiechem i spojrzeniem Zofia siostrze odpowiedziała, usta jej nie wypowiedzą, co serce czuje, na odpowiedź nie stać ust...

. . . . . .

Nie wspominaj mi Walgierza — mówiła urażona Zofia do Heligundy i Wisława. Potrosze wiadomo mi, na jaką skazany dolę. Nie był cię siostro zaprawdę wart, jeśli jego zbrodnie ściągnęły twój gniew i twą karzącą dłoń.

— Życzliwą mu byłaś — rzekła ze śmiechem Heligunda.

Przestraszyła się Zofia słów siostry.

— Dziś to wspominasz—mówiła przerażona, — dziś, gdy lada dzień, lada chwila przyjdzie tu...

— Nie wspominam. Już nie wspominam.

— Gdybyś przy nim wspomniała...—szeptała Zofią, zbladła ze strachu...

— Słowem nie wspomnę.

— Precz ze wspomnieniami.

— O Walgierzu myślisz?

— Nienawidzę go z całej duszy mojej.

— Chcesz widzieć mękę tego potwora?

— Nie chcę!! Oszczędź mi siostro Heligundo tego widoku!

— Przecież...

— O szczęściu nam dziś mówić, o jasności przyszłych dni.

. . . . . .

Noc grudniowa, ciemna, a przecie dla Zofii ta noc, to jakby wschód światła, to jakby rozpłomieniona jasność przyszłych dni, jakby szczęście wiosny po klęskach, po zimie i jesieni życia.

Gdy zeszła ta noc, zmroziła zrazu strachem krew, przyniosła pytanie, czy wolno igrać z oczywistą śmiercią i zatratą. Rozum powiedział: nie, ale żywiołowy huragan starł w proch rozum, wicher miłości szaleje na ruinie rozumu...— — — Gdy wstała

o północy z łoża, strach bez granic, ale i szczęście bez granic, szczęście jakieś rozkoszne, ta godzina północna była okropna, a zarazem ponętna jako dla samobójcy śmierć: koniec męki. Gdy opuścisz świat męki, szczęście wielkie, bo brak męki. Dla zgryzoty, dla żmji, która źre dusze, ssie z serca krew—koniec i zagłada — — miłość śmieje się czarami szczęścia. Ta chwila tajemnicza, jak tajemniczą jest śmierć i to, co za zgonem będzie. Wierzy Zofia, że za progiem jest bezmierne szczęście... że gdy przekroczy ten próg, zbrodnia otworzy jej drogę do szczęścia, do jasności...— —

Zbrodnia! Niemasz innej drogi. Myślała tyle dni, aby się przekonać, że niema innej drogi prócz zbrodni. Huragan straszliwy, huragan miłości przez zbrodnię leci...

Przemknęła się przez kamienne izby szalona kobieta z toporem w ręku, przez ganki ciemne bieży. Potyka się na skrętach chodników, czasem po omacku drogi szuka, dotknęła się ręką wilgotnych oślizgłych ścian...— —

— Jego drzwi.

Na palcach stąpa, do izby burgrabiego się zbliża, uchyliła drzwi... Wzrok jej po ścianach, po ubogich sprzętach leci...— —

Szukają oczy, nie znalazły czego szukały. Zatem zbrodnia. Na łożu z wilczych skór śpi burgrabia, starzec, śpi cicho...

— Umrzeć musi!

Jeszcze raz się zawahała, jeszcze czas wrócić się.

Huragan miłości wyje.— — —

Jak kot przyskoczyła do łoża, podniosła topór w górę...

— Chryste!!!

Gdzie była głowa starca, tam strasztiwy bezkształt posoki, z żył, czaszki, ze szyi krew bije jako źródło; jako bębło w lesie bulkoce, wre, bije, tak chlupie z otwartych tętnic krew...

Odrzuciła głowę trupa, który drgał i konwulsyą dygotał, podniosła wilczurę z pod głowy burgrabiego, chwyciła klucze rzemieniem związane, leci jak szalona...— —

. . . . . .

Przy żelaznych drzwiach serce młotem huczy. Tam on. Wie Zofia o wszystkiem. Wie o tem, że zdjęto go dawno z tortury, że pokutuje teraz przykuty długim łańcuchem do ziemi... Bije serce, a przecie upajająca rozkosz nadziei... upragniony cel marzeń... — — — Tyle przebyła... Gdyby

tylko raz widzieć go... A przecie ujrzy... uwolni, zabierze...—

Zażegotały zardzewiałe wrzeciądze...

— Ten nędzarz!!!—

— Ktoś ty?!

— Wybawić cię przychodzę...

— Czy mię oczy mylą?! Czym ja oszalał?! Zofia...

— Jam...

— Przyszłaś tu...

— Dać ci wolność, dać ci w rękę miecz pomsty!!

— Ty?

— Ja. Kocham cię bez granic.

— Ty?

— Ja. Dla ciebie morze łez wylałam, dla ciebie sto mil przebiegłam, dla ciebie bezmiar nędzy przecierpiałam.

— Heligunda wie, żeś ty...

— Uśpiona kłamstwem czujność jej, jako mucha przez pająka osnuta...

— Co zamierzasz czynić?

— Uciec z tobą. Poślubić cię ukochany!

— Mnie?!

— Wolnyś, jeśli zaprzysięgniesz mi wiarę.

Zamyślił się Walgierz...

— Idź precz.

— Co ty mówisz?

— Innej kobiecie wiarę zaprzysiągłem.

— Komu?

— Twej bezecnej siostrze.

— Umrzesz tu, zgnijesz!

— Czekam śmierci...

— Słuchaj Walgierzu! Może ja się przesłyszałam, może mię słuch myli. Ja ci niosę wolność, ja ci niosę szczęście, ja będę żoną twą, do grobu ci wierną...

— Za cenę wiarołomstwa nie chcę szczęścia...

— Przysiągłeś nikczemnicy, która cię zdradziła.

— Ale przysiągłem.

— Oto topór! Pomścij się!!

— Oh, gdybym mógł!! Patrz, ten łańcuch do skaliska przykuty...

— Oderwę go, uwolnię cię. Abyś ty był wolny, popełniłam zbrodnię...

— Zapłaty żądasz?

— Twej Walgierzu miłości.

— Idź precz!

— Szalejesz. Ten zgniły chleb, co na śmiecisku leży, to twoja strawa, aż do straszliwego zgonu.

— Nie kuś mnie.

— Ja cię kocham. Ja cię jedna Walgierzu prawdziwie kochałam!

— Idź precz!

Zamilkła Zofia, do ócz cisną się łzy. Świeciło szczęście, nagle niespodzianie słoneczko szczęścia czarna chmura zakryła, w piekielną czeluść zapadło słońce...— —

Pierś strasznem łkaniem wybuchła. Płacze Zofia, w żalu i rozpaczy utulić się nie może... Zdaje się jej, że słowa Walgierza to sen, straszny sen, że ona jest w gorączce, w puszczy gorączka ją trawi... A przecie to prawda... Uczucie nowe wzbiera. Zdławiła łzy, zdławiła płacz; zdeptana jej miłość, wzgardzone jej uczucie, gorycz rodzi się i żal. Pożar straszny w duchu się rozwichrza, gniew wzbiera, gniewem całe jestestwo zapłonęło...

— Bądź zdrów—zawołała Zofia. Zgnilizna, to twoje jutro.

— Bywaj zdrowa.

— Żegnasz mię? To ostatnie słowo?

— Odejdź!

Szaleństwo, zamęt w mózgu... rozpacz.

Wybiegła Zofia z jaskini, żelazne drzwi zatrzasła, idzie ciemnym grobowym gankiem, przyśpiesza kroku, bieży, leci... Zatrzymała się.

— Dokąd ja idę?...

— Po śmierć—zaszeptały echem mury.

— Po hańbę, po pomstę Heligundy... —
Szał myśli... te myśli sparaliżowały siły...
— Dokąd ja idę?
Oparła się o ścianę...— —
— Idzie straszna śmierć...— —

Uczucie wisielca, który dobrowolnie zadał sobie śmierć, w męce skonu rozpaczliwe ruchy czyni, aby zelżyć szyi, aby ocalić życie. Żywiołowe, zwierzęce uczucie zachowania życia za każdą cenę... Śmierć z ręki Heligundy... Życie... To życie było takie łzawe, takie krwawe, takie straszne. Ileż razy śmiał się do niej samobójczy sznur... topiel, odmęt, w którym woda wiruje. Teraz śmierć z ręki siostry. Śmierć!!.. A w obliczu śmierci to życie dawniej straszne, wydaje się teraz Zofii jasnością jakąś niezmierną, szczęściem niezmiernem...

— Dokąd ja idę?

Idzie w grób, w straszną stęchliznę trumny, idzie w chwili, gdy ona nie trumnę, lecz jasność dnia, światłość słoneczną wybrać może... może żyć...

— Istnieć!!!

A życie... Tam na górze śmierć okropna, bezlitosna pomsta; życie to tu, życie to wolność Walgierza, to pomsta Walgierza...—

Szaleje pragnieniem życia, pragnieniem istnienia, wszystkie pulsy jej biją, pomieszały się zmysły żądzą straszliwą życia...— —

Jak burza wpadła do lochu, wydarła z zamku klucze, rozpięła kajdany Walgierza, tyle tylko stało jej sił, potem omdlała, potem strachem śmierci zmordowana padła jakby trup...— — —

. . . . . .

Heligundę zbudził z łoża ów nerw duszy, który w pogodny dzień burzę zapowiada, ów puszczyk przeczucia, który w pogodę życia odezwie się w ludzkiem jestestwie, siejąc niepokój i trwogę. Trwoga jakaś zbudziła ją z łoża, serce młotem zabiło, wie, że coś strasznego się dzieje, a nie wie gdzie... co... Jakby ta przytomność była dalszym snem...

Wstała... po łożnicy omackiem chodzi, światło zapaliła, do izby Zofii zajrzała... patrzy... o!... Wisława na pomoc woła...

— Niemasz jej...

— Odzieży jej niemasz.

— Gdzie ona?

Okropne światło podejrzenia targa wszystkie nerwy duszy...— —

— Ona...— —

Leci Heligunda na oślep do izby burgrabiego, mróz przecież, a odzieży nie wdziała; bieży za nią Wisław. Wpadli... Zbladł pieśniarz na widok krwi...——Pochodnię założoną w żelaznej obroży ujął, światło rozniecił, krużgankiem do więzienia leci... W kamiennym ganku spotkał się...— — —

— Walg!!!

Zmilkły usta pieśniarza, krew jego prysła w oblicze Heligundy, ona w ciemnościach,— obłąkanie spadło na duszę, umarła myśl, ustała, znowu się rodzi... o! Mózg wre i gotuje się, chce się ratować Walgierzowa żona, szaleje, na oślep gdzieś bieży, o ścianę się uderza... zimna ściana... zwróciła się kobieta, na wieżę zamkową leci, strome schody kamienne w mgnieniu oka przebiegła, już jest na szczycie, mroźny wiatr z okna ją owiał, ocucił ją, rozum przywrócił... Na dolnem piętrze wieżycy echo kroków ludzkich słychać...

— To Walgierz...— —

Echo bliższe i bliższe...— —

Skoczyła na kamienną, szronem pokrytą okiennicę... jeden krok——jeden namysł—— życie lub śmierć, tu nie ma wyboru... tylko

śmierć, lżejsza śmierć, lżejszy skon niż pomsta...— — Wypadła...— —

. . . . . .

Głowa w straszliwem ze skałą spotkaniu jak czerep się rozleciała, po mchach brylanty i strugi krwi, płynie ta krew po wybojach skały, drży jeszcze ciało, stygnie już — ostygło...— —

W białej koszuli na urwisku leży siny trup... Krew się rozprysła po bielutkim jak lilia śniegu. (*)

---

*) Szajnocha udowodnił, że baśń romantyczna o Walgierzu, Heligundzie i księciu Wisławie, zapisana w kronice Baszka, przywędrowała do nas ze Szwajcaryi, że jest przeróbką poematu klasztornego p. t. „Walthariusz." Podobieństwo obydwóch legend istotnie uderzające. Zwracam jednak uwagę, że Baszko pisze: „Po dziś dzień pokazują na zamku wiślickim grobowiec Heligundy z głazu wykuty." Zatem w XIV wieku był w Wiślicy grobowiec i z grobowcem związane podanie. Mogła do nas przyjść ze Szwajcaryi legenda, nie mógł jednak przyjść grobowiec. Wniosek zatem, że i u nas żyła legenda, z Walthariusem zapewne analogiczna, którą Baszko na wzór opowieści klasztornej przerobił. Mógł strawestować baśń, nie mógł jednak wymyśleć istniejącego w XIV w. grobowca. Że i u nas istniała ta legenda stwierdza Karol Potkański w rozprawie: Kraków przed Piastami.

XX.

W przededniu wielkiej wojny cesarstwo stare sojusze odnawia, na Ruś oczy zwraca, do wojny z Bolesławem kijowski lud buntuje.

Poszła nieszczęśliwa córa Bolesławowa w ruską ziemię, a dola jej, to ponura tragedya, a pożycie jej z mężem, to szereg zgryzot, a korona jej książęca, to cierniowa korona.. — — —

Gdy Włodzimierz umarł, Ruś była wrzątkiem i ogniskiem bratobójczej wojny; gdzie spojrzy polska królewna, tam wróg, lud rzymskiej wiary wrogiem, Jarosław wrogiem, gwałtowny, nieposkromiony charakter męża wrogiem...— —

Dopóki księżna nad mężem czuwa, dopóki święte przysięgi mężowi przypomina, statek nad nim i rozum panuje, gdy książę opuści żonę i łamiąc przysięgę, kielicha się

dorwie, szalone czyny, szalone zbrodnie spełnia. Kazał zwabić zacnego swego brata Borysa i podstępnie go zamordował. Drugi jego brat Światosław uciekł na góry węgierskie; tam go dopadli siepacze i rozsiekali. Gdy Świętopełk wpadnie w szał, gdy pijany zmysły straci, odzywa się w nim krew normańskich kuningów, nad ludem słowiańskim cięży ręka krwawego warega, który w okrucieństwie nie ustępuje bratu Jarosławowi.

Oto Jarosław wydał rozkaz, aby wymordować mieszczan nowogrodzkich za to, że się przeciw waregskim żołnierzom zbuntowali. Wykonano rozkaz, a w chwilę po zbrodni wieść o zamordowaniu Borysa i Światosława do Nowogrodu doleciała. Jarosław zwołał pozostałych przy życiu nowogrodzian na wiec i zaczął przed ich obliczem płakać nad trupami pomordowanych.

— „O luba drużyno, którą wczoraj wymordowałem, a której mi dziś brak"...

Otarł spłakane oczy i rzekł do mieszczaństwa:

— Ojciec mój umarł, a Swiętopełk morduje braci moich.

Nie zna mściwości, nie pamięta doznanej krzywdy, łagodny ruski lud. Użalił się

kuninga, przyszli przed oblicze Jarosława przedniejsi i rzekli:

— Choć kniaziu wczoraj braci naszych wybiłeś, pójdziemy w bój za ciebie. (*)

Zgromadził Jarosław wojsko wielkie i idzie na Kijów pomścić zabitych braci, odebrać bratobójcy złoty kijowski tron. Zebrał Świętopełk wszystkie swe wojska, przyłączył do nich zastępy pieczyngów i wyszedł naprzeciw brata. Stanęły dwa wielkie wojska nad Dnieprem, srebrna rzeka ich dzieli. Świętopełk dzień i noc w obozie pije, uderzyć się na brata boi, tenże sam strach w sercu Jarosława, któremu przystało świętą księgę, a nie miecz brać do ręki.

Wrogie wojska czekają aż Dniepr zamarznie. Gdy przyszedł mróz i Dniepr ściął, zawołał wojewoda z obozu Świętopełka na nowogrodzian:

— „Pocóżeście z tym kuternogą Jarosławem tu przybyli?!. Wam flisakom każemy stawiać chaty nasze." (**)

Drwią z Jarosława żołnierze Świętopełkowi, namiot wodza — to izba biesiadna, morze wina się leje, wojewodowie z kniaziem piją. Świętopełk leży bez duszy, pijany...— — —

*) Nestor. 48. **) Nestor.

Zwiedział się o tem Jarosław, pijaństwo wojsk wrażych, to jego sprzymierzeniec. Pomsta im!

Przyszedł Jarosław przez Dniepr i na brata niespodzianie uderzył. Zerwała się do boju Świętopełkowa armia, broni się „pijane wojsko," zahuczały bębny, zagrały trąby: to Świętopełk pieczyngów na pomoc woła. Rozwinęli oni swój obóz za odnogą rzeki, rozlewającą się w ogromne jezioro; gdy posłyszeli wołanie o ratunek, bezzwłocznie dzicz się do walki rzuciła; horda przez lody na pomoc Świętopełkowi huraganem leci. Już przelecieli pół rzeki, już widać ich na środku jeziora, wnet dopadną brzegu...

Stała się rzecz straszna... Huk jakby się ziemia waliła, jakby grom te wody zrodziły i zatrzęsły światem. Tam nieszczęście straszliwe; prysło zwierciadło lodu, jazda w odmęt wpadła, tam tysiące ludzi tonie, tysiąc ludzi kona. Walczył pieczyng z falą, ratował się, wartka woda wciągła go pod lód... tam już ratunku niema, tam skon, tam zagłada.., (*)

Pobito Świętopełka na głowę, krwią ciepłą tajały śniegi, rozpierzchły się niedobitki, pijany Świętopełk ucieka.

*) Nestor. pod r. 6524.

Straszne obłąkanie padło na jego mózg, krew zatruta pijaństwem mary senne rodzi. „Napadł go bies i zdrętwiały kości jego, nie mógł siedzieć na koniu i niesiono go na noszach.” Ulecieli z szalonym człowiekiem mil kilka, nikogo już naokoło niemasz, gdzie spojrzysz step pusty, gdzie oko sięgnie, niezmierne białe śniegu morze, a Świętopełk wytrzeszcza na świat przekrwawione oczy i straszliwym głosem woła:

— Uciekajcie! Gonią!

— Jakto?! Żywej duszy niemasz!

— Gonią nas! Gonią!!

Piana cieknie z ust Świętopełka, palce rozpacz kurczem zaplata, zasłania oczy rękami, płacze i wyje, wołając:

— Gonią! (*)

Zwyciężył Jarosław, wie, że pomsta Bolesława go czeka, wie, że król polski przyjdzie ratować z jego rąk dziecko swoje, że się ujmie nie za wyrodkiem Świętopełkiem, ale za nieszczęśliwą córką swoją. Wie o tem; to też gdy przybyło poselstwo niemieckie, na oścież otwiera ramiona. Zawarto sojusz. Nad Polską straszliwa chmura wisi, z dwóch stron wrogowie idą. Niemcy i Ruś wojska

*) Według Nestora.

wielkie ślą. Zniszczenie ci, Bolesławie, pogrom, klęska i śmierć.

* * *

A przecie pogoda na jego czole, spokój czystego sumienia, ufność w przyszłe zwycięstwo słusznej sprawy. Bo on jako rolnik, który ziemię nad wartkim Dunajem orze, przewidział ulewy, przewidział burze i wody, co popłyną z Tatr... Groblami wzmocniony pszeniczny łan, w kamieniec wbił płot, wyplótł go wikliną, w międzypłocie tysiąc głazów wrzucił, tama stoi niewzruszona, nie poderwie roli wściekły żywioł, który z góry leci. Okryły się Tatry tumanem chmur, zaryczały w turniach pioruny, nieba się otwarły, wszystkie potoki brzemienne ślą wody, Dunajec to jedno morze... Pokonał rzekę ludzki rozum, zwyciężyła mądrość gospodarza: przejdzie burza, wody spłyną, nad pszeniczną rolą zajaśnieje słonko złote...

. . . . . .

Wojewodowie we wszystkich żupach zaciągi chłopstwa czynią, cała Polska gotuje się do obrony, cały kraj gotuje się na przyjęcie strasznych gości, którzy niosą pożogę, rabunek i śmierć...— — —

* * *

Do furty klasztornej w Tyńcu zadzwonił złamany życiem człowiek. Gdy bramę otworzono, upadł przybłęda do stóp zakonnika, ze łzami w oczach o przytułek prosząc.

— Czego żądasz?

— Uciec ze świata w te mury, ze świata, który goryczą mię poił, od życia, które nieszczęściem mi było i przekleństwem...— —

Ulitowali się zakonnicy łez i niedoli wędrownika, przyjęli go; lice mu radością i szczęściem promieniało, gdy złożył śluby zakonne, gdy łódź jego rozbita na szalejącym burzą oceanie życia, przypłynęła do spokojnego brzegu. Dwa tygodnie od ślubów zakonnych minęło, gdy w mury klasztorne wrócił opat Zdzieszko z dalekich po świecie podróży. Jako ptak wędrowny z północy na południe, ztamtąd znów na północ ciągle lata i lata, tak w różnych punktach Europy zjawiał się opat, aby wrócić spracowany, podróżą strudzony, zmęczony myślą o jutrze, o chmurach piorunowych, które nad serdecznym panem, nad królem Bolesławem się gromadzą.

Wrócił Zdzieszko do Tyńca, zwiedział się o jego przybyciu krakowski lud, ciśnie się Kraków do ukochanego ojca dusz. Usiadł ksiądz opat przy wielkim ołtarzu

w kwiecistym ornacie, gromada kmieci wieńcem go otoczyła, pierścieniem ludzkiego mrowiska opasała. On spowiedzi sumień słucha, on słowem swem wraca siłę opadłym skrzydłom dusz, on rady serdecznej każdemu udziela, mocą od Chrystusa mu daną sumienia ludzkie z grzechów rozwiązuje.

Wśród pospólstwa wlecze się do księdza na kolanach braciszek zakonny, łzy w jego oczach, zgryzota w duszy, strach przed ziemskim trybunałem, który wyrokuje w imię Boga i z mocy Boga...— — —

Docisnął się do spowiednika. Słucha ksiądz Zdzieszko słów pokuty i żalu...——

— Wyznaję przed Bogiem Wszechmogącym i tobą, ojcze duszy mojej...— —

— Czem Boga obraziłeś?

Pokutnik zamilkł na chwilę, jakby straszne przyznanie ust opuścić nie chciało...

— Zabiłem człowieka.

— Niechże nad tobą ulituje się Bóg, niech On odpuści twój grzech...— — —

— Ulituj się ojcze łez moich.

— Coś ty za jeden?

— Wojewodą królewskim byłem.

Rzucił ksiądz Zdzieszko okiem na pokutnika, głowa mnisim kapturem zakryta,

przecież z pod kaptura zakonnego widać trochę lic...

— Walgierz!!

— W prochu się czołgam przed majestatem wszechmocnego Boga—mówił braciszek zakonny. Postanowiłem odpokutować mój grzech przepłakać, w murach klasztornych moje życie, każdą pokutę, którą mi nakażesz, wykonam, pieszo, o proszonym chlebie pójdę do Rzymu, jeśli taka twa wola, do ziemi się wybiorę, w której polała się Zbawiciela świata krew...— —

Myśli ksiądz Zdzieszko, długo myśli, jakby pociechy dla grzesznika znaleść nie mógł, znalazł ją wreszcie; z oczu widać, że postanowienie w duszy się zrodziło.

— Ciężka twa wina, bracie, twardą odbędziesz pokutę.

— Rozkazuj ojcze.

— Wylałeś ludzką krew, winę twą zmaże rozlana krew twoja. Za rozlaną ludzką krew zapłacić musisz własną krwią i życiem własnem...— — —

— Co mam czynić ojcze?

— Idź się bić!! Oto macierz cię woła!! Oto kraj twój przez wojska niemieckie najechany. Stado kruków nad ziemią twą kracze, matka nasza najmilsza w potrzebie.

Idź się bić za kraj, który jest ścieżką męczenników i apostołów Chrystusowych, za króla, który nadewszystko umiłował Jezusa i macierz...

. . . . . .

Zaskarżył Bolesław cesarza przed papieskim tronem, że mu ukradł worek złota, jaki król polski wysłał świętemu Piotrowi; zaskarżył Henryka, że posła królewskiego księdza Barnabę pobił i krwawego do więzienia wtrącił. Posłał Chrobry Stoigniewa do Włoch, po książęcych dworach chytry mistrz grasuje, buntuje „kogo tylko można," aby Włochy przeciw cesarzowi powstały, aby Italia zrzuciła jarzmo niemieckie, załogi cesarskie wycięła, niemców za Alpy wypędziła. Jako błyskawica przebiega Stoigniew Europę, wnet opuścił Włochy, na dworze cesarza się zjawia, w oczach cesarza swej misyi włoskiej się wypiera, poza oczami zaś jeszcze raz bezmiar pieniędzy rozrzucił, starych jurgieltników polskich w wierności utrzymał, nowych za gotówkę kupił.

Tumanił cesarza obietnicami słodkiemi, o wielkości państwa Rzymskiego mu prawił, wyjechał wreszcie. Jeszcze łoże chytrego lisa i „bezczelnego kłamcy" nie ochłodło,

gdy wieść nadchodzi, że Bolesław wpadł nad Hawelę, ogromne zagarnął ziemie...

W wojskach niemieckich osłupienie. W ślady „wierutnego kłamcy" poselstwo do Bolesława idzie, aby zwrócił zabrany kraj.

Przyszło poselstwo na zamek poznański, żądania Henryka królowi przedstawia.

Uderzył Bolesław ostrzem miecza w ziemię, że prysnął kamień bazaltowy podłogi. Krzyknął na poselstwo:

— „Co zdobyłem, nie wydam, jeszcze więcej zdobędę!!" (1)

I nie przeląkł się budowniczy Polski, gdy mu Stoigniew doniósł, że całe Niemcy na Polskę wyruszą, że gotuje się wyprawa jakiej jeszcze nie widziano, że wszystkich sił dobyło cesarstwo, idąc na ten bój...—

* * *

Z radością cesarz patrzy na niezmierną armię. Jak daleko okiem dojrzysz roją się wzdłuż Łaby wojska, trzy mile długi ten tabor, granic nie ma ta ludzka czarniawa. Aby tej broni niebo błogosławiło, cesarz z pokorą się modli; wszedł Henryk Kulawy do kościoła w Dziewinie, krzyżem przed

1) Historyczne słowa Bolesława.

ołtarzem świętym leży, o zwycięstwo oręża niemieckiego gorąco się modli. (1)

Wyszedł załzawiony cesarz z kościoła, na pokoje cesarzowej Kunegundy idzie, za zgodą żony wieczną czystość małżeńską ślubuje, być może, że to co przeciw Bolesławowi pomoże. (2)

A brzeg Łaby wre mrowiskiem ludzkiem. Całe zbrojne Niemcy dziś nad Łabą, kilka armij tam stoi; zawołani wodzowie cesarscy wojska prowadzą, Widredi, Fryderyk, Folkmar, Adelheid, Iro i Ludolf na czele ćmy ludzkiej stoją. Około cesarza kwiat rycerstwa, wszyscy biskupi Niemiec majestat monarszy wieńcem otoczyli, pfalcgraf Burghardt, margraf Gero, tłum duków, grafów i księży, wśród których jaśnieje pobożnością myszneński Eid. Chromi nawet idą na Polskę z cesarzem. Oto z łoża boleści zerwał się Thiethmar i za wojskiem kuleje, niosąc pergaminy, na których opiewać będzie pogrom Polski, cesarza zwycięstwo i chwałę. Tryumfy niemieckie będzie opisywać, rzucać oszczerstwa na Bolesława niewdzięczny jego jurgieltnik...

* * *

1) Roczniki Kwedlinburskie na rok 1013. 2) „Vita Henrici."

Przeprawiła się przez Łabę, czarniawa i ku Polsce ruszyła. W Krośnie na Śląsku jest królewicz Mieszko z licznem wojskiem, które warowni broni.

Przypomniał sobie Henryk, że on niedawno temu Mieszka na rycerza rzymskiego pasował; wysłał cesarz do Krosna panów, aby królewiczowi obowiązki rycerza przypomnieli, do poddania się i otwarcia drogi nakłonili. Poselstwo wiódł zacny młodzian Hodo, przyjaciel i rówieśnik polskiego królewicza. Przyjął poselstwo królewicz Mieszko i rzekł:

— „Złożyłem cesarzowi rycerskie ślubowanie i chętniebym go dotrzymał, gdybym od siebie zależał. Lecz teraz, jak dobrze o tem wiecie, jestem władzy ojca mego poddany, przeto posłuchu wam dać nie mogę, bo i on nie zezwoliłby i rycerstwo nasze nie zgodziłoby się na to. Owszem, napadniętej ojczyzny mojej z całych sił bronić będę, aż mój ojciec tu przyjdzie." (*)

Zaczęło wojsko cesarskie przechodzić Odrę gdy wróciło poselstwo z odmowną Mieszka odpowiedzią. Jął, Hodo poseł ce-

*) Historyczne słowa królewicza Mieszka Th. VII. 11.

sarski, sławić w obliczu Henryka, Mieszka, jego gościnność, jego rycerskie cnoty...——

— Zdrajco—krzyknął na Hodona cesarz, który słysząc, że jego żołnierz królewicza polskiego chwali, gniewem zapłonął.

Zbladł zacny młodzieniec, ze strachem, ze zgrozą na cesarza patrzy...

— Ty władco mówisz...

— Powiedziałem, że zdrajcą jesteś!!

— Jakto?

— Płatnym Bolesława jurgieltnikiem.

— Szalejesz panie!

— Łapówkę, jako Brunzyon wziąłeś!

— Nie panie!

— W spółce z Mieszkiem jesteś, zdradę przeciw mnie z nim knułeś.

Zapłakał gorzkiemi łzami Hodo; rozpaczą i łkaniem chciał kupić wiarę i zaufanie cesarza.

— Sługą twym monarcho jestem, do grobu wiernym.

— Kłamiesz!

— Wróg twój jest wrogiem moim.

— Podła twa myśl zjawia się na ustach, jako czci i wierności barwna bańka mydlana.

Zamilkł Hodo, odszedł smutny do swego namiotu.

Zawołał najprzedniejsze rycerstwo, przyjaciół, którzy za niego, za jego cześć, życie byli oddać gotowi. Gdy noc nadeszła zawezwał Ekkrika, Sygfryda i kazał im iść za sobą.

— Dokąd idziesz?

— Za Odrę, na polaków uderzym.

— Szaleństwo! Idziesz na śmierć.

— Idę krwią dowieść cesarzowi, że nie jestem zdrajcą.

Wpadł z towarzyszami w polski obóz. Gdy na pierwszego strzelca trafił, ten strzałą wymierzoną w łeb wybił mu oko. Leci kamień z procy, pocisk rozbija mu głowę. Wypadli polscy żołnierze, przyjaciół Hodona na szablach rozniesiono. Wyrąbano do nogi podjazd, jeden zaledwie z towarzyszy, Sygfryd, zdołał dopaść Odry i walcząc z jej falą, wrócić do cesarskiego obozu.

— Skąd wracasz?—pyta się zdyszanego żołnierza cesarz.

— Z Krosna.

— Jakie wieści niesiesz?

— Hodo poległ.

— On?

— Nie wziął pieniędzy od Bolesława, lecz tobie cesarzu zapłacił jurgielt krwi!

Dzień zaświtał, przybył królewicz Mieszko na pobojowisko. Rzucił okiem na zwłoki serdecznego przyjaciela i zaczął gorzko płakać. Rycerska nawskroś dusza Mieszka nad zgonem druha-żołnierza bolała. Kazał obmyć z krwi zwłoki, we wspaniałe ustroił je szaty i polecił zwyciężonego, a przecie blizkiego sercu wroga odesłać do obozu cesarzowi. (*)

. . . . . .

Na stary sposób zaczęła się wojna, obroną brzegów Odry. Na kilka mil wojsko po obu brzegach stoi, gdzie cesarz brodu szuka, tam zjawia się konnica polska, drogę zagradzając, wstępu i przeprawy broniąc. „Dokąd tylko Niemcy zwrócili się na rączych łodziach, tam wszędzie Bolesław na skrzydlatym ścigał ich koniu. Aż wreszcie wszystkie rozwinąwszy żagle, płynęli cesarscy cały dzień, tak, że polacy nię zdążyli doścignąć ich. Wtedy bezpiecznie wysiedli na brzeg i wsie naokoło popodpalali." (**)

Wtedy Bolesław cofnął się w głąb kraju.

— „Otucha w nas wstąpiła."

— A może to podstęp?

---

*) Th. VII. 12. Szajnocha mylnie podaje, jakoby pobitym przyjacielem Mieszka, był Sygfryd.

**) Thiethmar.

— Może my na zatratę i na śmierć idziemy?!

„Wielką otuchę" jaką gorzało serce cesarza, zaczęły studzić wiadomości, jakie nadchodziły z szerokich pól wojny. Na północy rozbił Bolesław lewe skrzydło cesarskie. Bawarowie, idący na Polskę z południa, natknęli się na polskie wojska i przysłali gońca, że z wielu przyczyn nie mogą połączyć się z cesarzem. W olbrzymiej armii cesarza zapanował strach zaprawdę dziwny: gdyby Bolesław stał przed nimi i opór im stawiał, byłoby w sercu więcej odwagi i więcej nadziei. Znają oni bolesławowskie sposoby, znają chytrego wojownika, „który umie wyprawiać tysiące sztuk." (*)

Ta bezludna ziemia, te opustoszałe chaty, kraina, która otworem przed wojskiem niemieckim stoi, straszy i przeraża... Oni wiedzą, że król polski jest jako piorunowa chmura wisząca nad światem, nie wiesz gdzie nieszczęście spadnie, nie wiesz, w której stronie świata, w którą chatę, w które drzewo gromem ognistym uderzy.

I znowu jak dawniej, rozmyśla cesarz Henryk nad odwrotem...— —

. . . . . .

*) Mille artium scientia plenus.

Wieniec chat chłopskich nad Bobrem goreje, z obozu polskiego wśród nocy widać, jak cesarz wsie pali. Przed namiotem Stoigniew i Zdzieszko patrzą w płomienie, patrzą na ludzkie nieszczęście, w oczach ich łzy, w piersi wre gniew.

— Dość tych klęsk, dość tej pożogi, dość ludzkich łez!—zawołał Stoigniew.

— Czyż w naszej mocy położyć im tamę?

— Tak jest.

— Jakto?

— Do obozu cesarskiego idziemy.

— My? Wszak cesarz uciekać zamierza.

— Ucieczkę wstrzymać musimy.

— W jaki sposób?

— Jeśli w ucieczce go nie zatrzymamy, on bezkarnie ujdzie, aby znowu wrócić, aby znowu wieszać i palić...— — —

— Jutro rychło świt nasze wojska na kark mu wsiądą.

— On dziś ucieknie, uratuje zbójeckich band życie.

— Co zatem czynić zamierzasz?—zapytał Stoigniewa ksiądz Zdzieszko.

— Chcę, aby Bolesław starł go w proch, aby raz na zawsze najeźdzczej hydrze urwał łeb, chcę, aby najeźdzca i podpalacz przeklinał dzień, w którym ruszył na podbój

i grabież naszej ziemi, chcę, aby w naszej ojczyznie niepostała więcej jego noga.

— Mówże jaśniej.

— Idziemy w jego obóz, aby wstrzymać ucieczkę.

— Szpiegi dziś doniosły, że cesarz ducha stracił. Wojsko dawniej bitne, waleczne, bitwy teraz unika.

— Zmusić go do bitwy.

— Czem to uczynisz?

— Podstępem!—krzyknął Stoigniew.

Przeląkł się myśli Stoigniewowej ksiądz Zdzieszko...

— Bolesław Chrobry na to nie pozwoli!

— Pierwszy raz w życiu i ostatni nie będę go o pozwolenie pytał.

— A sumienia się pytałeś?

— Nie!—rzekł ze śmiechem djabelskim Stoigniew.—Ale rozumu się pytałem.

— I odrzekł ci?..

— Odrzekł mi: czyń!

— Walczyć z nimi podstępem?!

— A czem oni walczą?

— Zdradą!—zawołał ksiądz Zdzieszko.

Stoigniew mówił z ogniem w ustach, z iskrami w oku:

— Słuchaj księże! Czy ty naprawdę kazałeś mi wejrzeć we własne sumienie i su-

mienia się o czyn wielki pytać? Czy ty naprawdę sądzisz, że ze zdrajcą trzeba walczyć nie zdradą lecz... sumieniem?

— Tak jest.

— Dobrze. A czy znasz ty księże piosenkę, którą nam nad kolebką matki śpiewały, o niemieckiej uczcie wielkiej, wśród której lała się krew nie wino...

— Geron!!—krzyknął Zdzieszko.

— Ja ci pieśń przypomnę. Kazał król Henryk Ptasznik podbić słowiańską i polską krainę. Przyszedł wielki wojownik Gero do słowian, na licach jego była przyjaźń i miłość. Mówił książętom słowiańskim, że mu o wiarę Chrystusową, nie o zabór idzie, przysięgał im przyjaźń i zgodne pożycie i miłość. Wyprawił wielką ucztę; trzydziestu książąt sprosił pod gościnny dach, wino się przelewało. Gero serdecznie jednego po drugim ściska, do kielicha zachęca, winem poi. Gdy na licach gości zapanowała radość, ufność i wesele, spadł na nich Gero, do nogi wyciął...

— Żmija!!!—krzyknął Zdzieszko. Żmija! Skoczył opat, jakby go gad ukąsił.

— Wąż?! Gdzie?!

— Nie, nie—rzekł Zdzieszko, w którego oczach było przerażenie. Gdyś mi dzieje

z piosenki opowiadał, zdawało mi się, że mię kąsze żmija... Że przypełzła podle... tu...

Patrzy Stoigniew na Zdzieszka...— —

Oczy księdza dziwne, szeroko otwarte, w pożary polskich chat zapatrzone...

— Żmija—szepce opat—

— Żmija, mówisz? To zbliż się do niej chyłkiem, chwyć kamień i rozmiażdż łeb...

Pożary chat zapłonęły iskrami brylantów w łzach księdza Zdzieszka. Walka myśli stoczona...

— Ty masz słuszność Stoigniewie.

— Przyznajesz?

— Jasno widzę...

— Wielka rączość i sprawność Bolesława, ale większa tych, którzy ratować będą swe życie. Dopomożem orężowi króla, w matnie rzezi wprowadzi ich nasza myśl.

— Ty masz słuszność,—powtórzył Zdzieszko, patrząc w pożary. Jeśli się uratują, wrócą, aby znowu Łużyce i Śląsk palić.

— Kilka dni królowi potrzeba, aby ogarnąć to wielkie nieprzyjaciół mrowisko.

— Te kilka dni dla niego zdobędziem.

— Chodź!!

— Północ teraz!

— Chodź!!

— Szum jakiś słyszę. Ciche nawoływanie, szczęk broni.

— To Bolesław do napadu na cesarza wojska swoje stroi. Chodź księże! Chodź!

* * *

W wojskach niemieckich rozpasanie niesłychane, rozprzężenie jakie niesie popłoch i trwoga. Ustało prawo, zapanował nierząd.

— „Nikt Pana Boga nie chwali, nikt nie prosi o łaskę na przyszłość. Gorzko nam przyszło zapłakać." (*)

— Odwrót!.. — —

Przeszedł cesarz Odrę, ku granicy czeskiej ucieka; wnet dopadł brzegów Bobra, wszedł do ziemi Dziadoszan. (**)

---

*) Roczniki kwedlinb. **) Pamiętne to miejsce nazywa się w Thiethmarze pagus Diadesisi, to znowu w innem miejscu Diedesisi. Bartoszewicz tłómaczy to: ziemia Dziedoszczan. Szajnocha: kraina Diadesi, Szujski: ziemia Diedesów i objaśnia Dedoszanów, Koneczny: ziemia Bobrzanów. Bielowski („Mon. Pol." 259) mówi, że to powiat między Odrą, Bobrem i Kacbachem, zatem na Śląsku, w zachodniej części księstwa Lignickiego i Głogowskiego. Jestto o tyle nieścisłem, że Thiethmar łwę kładzie in terra Diedesisi, łwa zaś leży na zachód od Bobra. Że zaś ziemię ową opisuje jako bagnistą, przyjąć należy, że obóz niemiecki był między Nisą a Bobrem, koło źródlisk i bagien Czernej między Żeganiem (Sagen). Przybużem (Priegus) i łwą (Halbau).

Trzeba dać zmordowanym ludziom chwilę wytchnienia, choć jedną noc spocząć, trzeba zebrać siły na dalszą drogę przez bagna i rzeki. Wody Kwazi (*) szeroko w bagniska rozlane, za Kwazią Czerna w dziesięć rozprysła się potoków, każdy potok to nić, która jest raz strumykiem, raz bagnem, raz stawem, moczarem lub jeziorem. Przyszedł cesarz do Iłwy, dobrze to miasto rycerstwu niemieckiemu znane. Wszak niewiele lat temu przyjmował tu Ottona III Bolesław Chrobry. Tu zabiegł gościowi drogę, tu nad brzegami potoków przepych królewski rozwinął, te błonia huczały gędźbą, na tych drogach tysiące rycerstwa zbroją, szkarłatem, złotogłowem błyszczało. Biesiadą przyjęła wtedy Polska niemców, dziś ich przyjmuje głodem, wino tu niegdyś się lało, dziś poleje się krew. Trupa czuć i posokę w powietrzu...— — —

Przybył cesarz do Iłwy, wśród bagien lás, w lesie barć pszczelna i chateńka bartnika. Trzeba nocleg znaleść dla władcy. Wyrzucono z chaty bartnika, zamordowano go, krew kmieca buchła na progi; przez trupa, przez krwawy próg wszedł na noc do chaty cesarz Henryk. (**)

*) Z niemiecka Aneis. **) Historyczne.

W bartniczej chacie dopadł cesarza opat tyniecki; rozprzężony obóz niemiecki Stoigniew wraz z tłumem jurgieltników bolesławowskich spokoi.

Pozyskał mistrz chytry wiarę, odpoczęło wojsko; nie jedną noc, lecz trzy dni nad Czerną obozowało. W namiocie Folkmara Stoigniew mieszka, z pełną konwią piwa u ogniska siedzi i mówi:

— Nie trwóżcie się. Pokój chce zawrzeć, zastraszył się waszej potęgi.

— Mówią, że się do napadu gotuje. Ruszył w drogę...

— Nic to nic. Sam do obozu cesarza o spokój prosić przyjdzie.

— Z czemże ty przyszedłeś?

— Zawrzeć z cesarzem na tydzień rozejm.

Godzina za godziną, dzień za dniem mija, Stoigniew ucztuje we dnie i śmieje się z żołnierstwem, w nocy oka zmrużyć nie może, kilka razy w nocy wstaje, wychodzi przed namiot, na dalekie horyzonty patrzy, oczy i uszy wpił wdal... Tam w dali szumy, naokoło szumy, oczy się iskrzą, usta uśmiechem się krzywią, szepcą...

— Idą! Idą!!

Zbudził się obóz, wpadł żołnierz z lewego skrzydła.

— Z lewej strony wojsko nas otacza.

— Śmiej się z tego — wołał Stoigniew. Bolesław na żubry poluje.

Z prawego skrzydła dziesiętnik zdyszany do wodzów przypada, o zbliżaniu się wojsk wrogich donosi.

— Nie bój się—spokoił Stoigniew. Zgłodniałe polskie wojsko idzie na łupież do śląskich wsi.

— Bitwa wre!—krzyknął wódz Adelheid, którego pułki nad Kwazią leżały.

Spojrzał Stoigniew w stronę polskiego obozu, oczy się zaiskrzyły, serce zabiło, gdy posłyszał łomot i szum. Otworzył szeroko oczy, ledwie z orbit nie wyjdzie krwawe oko...— — —

— Słyszysz Stoigniewie okrzyki?!!—pyta się Folkmar.

— Słyszę.

— Co to znaczy?

— Chcesz wiedzieć, co to znaczy?

— Mów!

Zaśmiał się bezczelnie Stoigniew. Świecące się wściekłym bezwstydnym śmiechem oczy w niemca wlepił, parsknął śmiechem i rzekł:

— To Bolesław!!

— On?!

— Wytnie was w pień!! Zapłaci wam za szubienice, za mordy, za pożary naszych siół i miast!

Rozkazał cesarz opata tynieckiego wziąć pod straż. (*) Skoczył Folkmar, aby uwięzić księdza, zastąpił mu drogę Stoigniew, uderzył niemca pięścią między ślepie, runął na ziemię Folkmar, a Stoigniew dobył miecza i zasłaniając Zdzieszka szablicą woła:

— Uchodź księże! Uchodź!!

Rzucił się tłum, przyleciał Folkmar ze wściekłości blady, ścigają Stoigniewa, który przez obóż ieci; żołnierze pojąć nie mogą, co się to dzieje, wszak wczoraj Stoigniew z Folkmarem pił, dziś wrzask i bitka, przeleciał Zdzieszko przez obóz, na krańcu dopiero namiotów rzuciło się kilku oszczepników, rozproszył ich Stoigniew, straszne pchnięcie w pierś dostał, ale księdzu drogę do obozu polskiego otworzył. Wpadł opat w gąszcz olsz, już jest bezpieczny, wolna i dla Stoigniewa droga, wolny odwrót. Ale w sercu zakipiała zemsta, rana krwią brocząca o pomstę woła, piekło zrodziło się w duszy, ankor i zawziętość chłopska, na oślep na śmierć poszedł, w obóz niemiecki się zwrócił, na Folkmara szalony leci, oczy

*) Historyczne.

wściekłością goreją, z ust ślina się toczy, dopadł rycerza i zmiótł...— —

Ustągił strach przed szaleńcem, ustąpiło osłupienie na widok gardzącego oczywistą śmiercią człowieka, czerń spadła na Stoigniewa wtedy, gdy stracił siły, gdy przez giezło i przez żupan przeciekł strumień z piersi buchającej krwi.

Upadł Stoigniew jako kłos pszeniczny pełny ziarna zasługi, ziarna poświęcenia się dla macierzy—ziemi. Rozsiekali go niemcy, krew jego czerwona rubinami ustroiła śląską rolę.— — —

* * *

Dzień 1-go września r. 1015 krwawo wszedł nad ziemią Dziedoszan. Zaposoczyło się niebo krwawemi chmurami, wrzawa straszliwej bitwy wschód słonka powitała, powitał go płaczem cesarz, który most przez rzekę Czernę do ucieczki budować rozkazał.

Jak kruki ze wszech stron żałobni gońce lecą, jak puszczyki wróżą śmierć, napad Bolesława na armię cesarza zwiastują. Henryk stracił myśl, stracił ducha, wpadł w rozpacz, ale dzielne rycerstwo jego nie utraciło męstwa, ni zimnej krwi. Sławny Wi-

dredi na czele wojska staje, wielcy wodzowie Fryderyk, Adelheid i Iro wojsko do bitwy sprawiają. Wszak armia ta większa jest od wojska polskiego, wszak to żelazni rycerze, a nie chłopstwo, z którego Bolesław stworzył rdzeń szeregów. Rozwinięto pułki w bojową linię, uderzono w kotły, wojsko, śpiewając Kyrie elejson, idzie bić się z wrogiem.

Przykład i męstwo wodzów wojsku ducha dodało, karność wróciła, uciekali dawniej przed głodem, bojąc się iść w spustoszały kraj, dziś zjawił się przed obliczem cesarza zawsze ustępujący wróg: dziś go zetrzeć a rozbiwszy jego pułki, wejść w bogatą „złotem błyszczącą" polską krainę. Z napastowanych stali się napastnikami, dawniej ustępowali, teraz na wojska polskie nacierają.

Wpadł Widredi na czoło polskiej armii, miecz jego czyni spustoszenie wśród łuczników polskich, na widok złamanej linii tłum żołnierstwa w szczerbę leci, zachwiał się i rozsypał polski pułk, jakby popłoch, wśród armii zapanował, pogrom im, zwycięstwo niemcom wróżąc...— —

Zwycięstwo Widredego było jak ów osta-

tni promień zachodzącego słońca, co nie światło i jasność ale noc wróży...— —

— Otoczyć ich, wysiec!—woła Widredi.

W lot rozkaz wodza wykonano. Trąby się w pułkach Fryderyka odezwały, prowadzi wódz rycerstwo brzegiem Czerny, w pół godziny się do Bobra dostanie, prawe skrzydło polskie okrąży, tyły zajmie i odwrót odetnie wojskom Bolesława.

Zdala dolatuje gwar bitwy i pomruk tysięcy ludzi, krzyki i jęki, jakimi płacze płonąca wieś. Tam jakby sto wsi gorzało, tak huczy gwarem bitwa.

Dziwna zaprawdę rzecz. W lasach nad Czerną pustka, Bolesław straży nawet nie rozstawił, żywej duszy niemasz; prawdę snać Stoigniew mówił, że w obliczu niezmiernych wojsk, stracił przytomność i głowę. Przyszli do Bobra, Fryderyk zwiady brzegiem rzeki wysyła; wrócił od podjazdu goniec, wygląd jego straszny... Blady tysiącznik przypadł do naczelnego wodza...

— Co to? Natknąłeś się na wroga?

— Nie panie. Sladu wojsk nad Bobrem niemasz.

— Nie napadają nas?

— Nad Bobrem wolna i otwarta droga.

— A tyś przecie zbladł...

— Odwrót nam odcinają panie.

— Jakto?!.

— Puścili nas podstępnie, aby odciąć od głównej armii, aby rozdzielonych wysiec.

Słowa tysiącznika potwierdził straszny krzyk i pomruk ludzki. Obejrzał się wódz na prawo, tam czarniawa idzie...— —

Wpił Fryderyk palce w swe trefione włosy.

— Uciekać!—krzyknął.

Dwa staje wojska pędem poleciały, chce Fryderyk brzegiem Czernej, tą samą, co przybył wrócić drogą. Zbliżył się do świdna, którego brzeg gęste zarosły leszczyny...—

Z leszczyn grad kamieni wyleciał, chmura strzał wojsko powitała, piekielnym krzykiem zagrał bór. Napad ze wszech stron na wojska Fryderyka, broni się rycerstwo, wnet wobec przemożnych sił ustępuje, brzeg Czernej opuszcza, w olszę się cofa...

Krok za krokiem żołnierz polski wroga ściga, gradem kamieni ich procarze zasypują, z gąszcza leszczyn wypadają chłopi, straszną rzeź wśród rycerstwa kosami sprawiają. Wpierają uciekających w łąki olszyną zarosłe...

— Jezus!

— W bagna nas pchają, w bagna!

Popłoch, pogrom, śmierć! Chce żołnierz uciekać, naprożno! żelazny pierścień oszczepów dookoła ich otoczył, chce bohaterski wódz złamać pierścień, nawołuje do natarcia Fryderyk, przyskoczył do Fryderyka chłop, cepem go w łeb uderzył, zakręcił się w mózgu świat, krew arterye mózgu zalała, padł wódz na ziemię, zdeptała go czerń która rycerzy cesarskich pcha w bagnlska...— —

Tam rzeź, tam zgon, tam topiel śmiertelna.

. . . . . .

Jeszcze słonko dobrze nie wyszło nad lasy, gdy pod toporami chłopstwa padło prawe wielkiej armii skrzydło. Tam poległ Thiethmar, krewny biskupa, tam po uporczywej obronie upadł Doda, „rycerz świętego Maurycego." Gdy straszne wieści ze sktzydeł armii do uszu cesarza doleciały, gdy zamarła w sercach nadzieja, aby wroga pokonać, krzyknął cesarz rozpaczliwie:

— Uciekajmy!!!

Zaczęły się cofać wojska: przez moczary i rdzawki przechodzi armia, odwrót zasłania nieustraszony Adelheid, opór wojskom polskim stawiając. Już pierwsza kolumna przebrnęła moczary, już ma wejść w gęsty dębowy las...— —

Przyleciał z płaczem do cesarza pachołek i woła:

— Odwrót odcięty! Chłopstwo przejścia broni!!

Chwyciła cesarza rozpacz, zdobył się na czyn niesłychany, święty Maurycy wyratował swojego wiernego rycerza. Z garstką doborowego rycerstwa rzucił się na chłopskie szeregi, większą część rycerstwa czerń wysiekła, ale cesarz zdołał uciec. Oddało rycerstwo życie za swego władcę, drogo sprzedali krew, uratowali swego cesarza.

Krwawa ta garść rycerstwa była jako ziele polne: przyszła nań śmierć jesieni, liście, trzon i łodyga pomarły, ale ocalało maleńkie ziarno, które jedno uszło zagładzie. Wybito kwiat rycerstwa, ocalał władca. Dwóch jego obrońców ujść zdołało, giermek monarchy i naczelny wódz zjednoczonej armii, arcybiskup Gero. Lecą jak wicher po stepach, uciekają. Za piątą wsią się zatrzymali tam, gdzie już nie dochodził szczęk oręża, gdzie była pewność, że nie dosięgnie ich wróg. Zdjął z piersi arcybiskup kirys stalowy, rzucił krwawy miecz i gorzko zapłakał. Płakał, że nie mógł znajść słowa pocieszenia dla swego władcy...

* * *

A przecież biją się cesarskie wojska, bije się ta wiara, przecie w piersiach płonie nadzieja zwycięstwa, otucha w wielkiem, lwiem sercu Adelheida, który z pod dębów na bitwę patrząc, środkiem armii kieruje. On zatrzymał wojsko w ucieczce, on je na nowo sformował, nie ustąpił przed Bolesławem ani kroku. Murem stoi wojsko, przypadł do ludzkiego muru jakiś wojewoda, walka zawrzała, bitwa zacięta. Żelazny człowiek chce złamać szereg knechtów, uderzył jak wicher, prysła ściana ludzka, rozluźniły się szeregi: za polskim żołnierzem klin wojsk w caliznę rot cesarskich się wbija. Wpadł wojewoda w żelazny tłum jako wicher w rogoże, śmierć niesie, chłopstwo się za nim wrzyna, cepami bije, popłoch zapanował wśród cesarskich rot. A wódz natknął się na margrafa Gerona, krewnego biskupa. Skrzyżowały się miecze, dźwięczy tępo żelazo, na śmiertelne zapasy pfalcgraf Burghardt patrzy: padł trupem Gero, zapamiętały człowiek nowej ofiary szuka, nowej krwi pragnie. Ofiara nasunęła się sama. Chciał Burghardt pomścić się bratniej krwi, przypadł do szaleńca, wstrzymał go w drodze, bił się jak lew, wnet straszne cięcie dostał w piersi. Burghardt upadł na ziemię,

ciężko ranny, a polski wódz straszliwie wśród wrogich wojsk broi.

— Co to za jeden — pyta się Adelheid, w którym krew zawrzała.

— To wojewoda, Wdały Walgierz!

Krew gra. Adelheid na Walgierza leci, iskrę oddała stal, dwie straszne siły się spotkały, dwóch ludzi jako trąba huraganu splecionego z dwóch wichrów po lesie zniszczenie roznosi.

Odparł cios niemca Wdały Walgierz, odskoczył od wroga, podniósł w górę miecz, jak głaz tatrzański w przepaść, tak on na Adelheida leci... zaćmił się w oczach świat, gorąco straszliwe, jakby mózg zaparzył war, zapiekł ogniem, uderzył piorun — to cios okropny, to Walgierz padł trupem z rozpłataną głową.

Adelheid, straszliwy lew wojny, krzykiem okropnym zgromadził koło siebie wojsko, na przebój iść każe.

Jako koło kokoszy dziatwa, tak się przy Adelheidzie niemcy skupili. Widredi — to prawe tego olbrzymiego ptaka skrzydło, Jro po prawicy jego się bije. I jest to wojsko jako orzeł tatrzański w matni, skrzydła jego z sidłami się mocują, szarpie się orlę, biją się z siecią skrzydła, to je królewski

ptak roztacza, lub ku piersi cofa. Iro i Widredi to straszliwe orła pazury, wielki rycerz Adelheid to krzywy, zakrwawiony dziób. Wpił go w żywą polskiego rycerstwa caliznę, krzyk pobitych słychać. Gdy dziób orła targa polskie szeregi i szczęśliwie się bije, skrzydła jego krwią już broczą; tam padł trupem Iro, uderzył na Widredego chłop, ściął mu kosą głowę. Widzi to Adelheid, widzi, że już klęska i pogrom, lwie jego serce nie wie, co to strach. Rzucił się naprzód, złamał polskich kiryśników linię, przebił się, po trupach naprzód goni.

Na wzgórzu chorągwie barwne widać, mnisi habit się bieli, przy mnichu olbrzym, śmiech na jego twarzy, szczęściem iskrzy się jego oko...

— Kto to?

— To Bolesław Chrobry.

Jak szalony poszedł naprzód Adelheid. Żądzą pomsty zawrzała jego krew; oto tam „pustoszyciel rzymskiego cesarstwa." Jako żubr szyje puszczę, tak niemiec na Bolesława leci. Widzi to ksiądz Zdzieszko, krew się ze zgrozy ścięła, obłąkany człowiek na Bolesława dybie, odskoczył Zdzieszko od króla, przypadł do chłopów zbrojnych w siekiery.

— Chłopy! Na pana ta gadzina leci!!.

Zaświszczały w wichrze dwa topory, dwa ciężkie żelaza nogi Adelheida ranią. Zachwiał się, ma upaść na ziemię, kmieć toporem rozwalił łeb, kaskada krwi na nogi króla Bolesława prysła...

. . . . . .

Nie walka to, lecz klęska i rzeź. Chłopi motłoch koszą. Topią się ludzie w jeziorach, z falą Czarnej ludzie płyną. Tam tyle żołnierstwa, że zatamowana ciałami woda wzbiera, tam potokiem płynie nie woda, lecz krew.

Po strasznej męce skonu ciało już nie czuje nic, duch leci do Boga. „Wojownikom świętego Maurycego, którzy tam życie oddali, niech lepsze na tamtym świecie zajaśnieje życie." (1) Oto dwustu hrabiów i duków na tym pokosie trupem leży. (2) Tysiące rycerzy i pachołków. Niedobitki i ostatki skryły się w szuwarach jezior i uciekły za cesarzem.

„Niech Bóg wszechmogący w miłosierdziu swojem raczy pamiętać o duszach poległych. (3)

Zapłaczą niemcy, zapłacze naród cały.

---

1) Ann. Kwedlinb. 2) Thieth. 3) Thieth.

Płacze dziejopis niemiecki, patrząc na straszny pogrom swego narodu, na okropną klęskę „jasnowłosej Germanii."

Dzień 1 września r. 1015 zapisał kalendarz merseburski *jako dzień powszechnego i płaczu i żałoby...* — —

XXI.

Z wód i oparzelisk mgły wyszły na świat, spowiły ziemię, z mglistej calizny wystają tylko korony drzew, przesłonięte przewalającą się parą. Wśród puszczy lipa tysiąc lat stoi. Zbutwiał jej trzon, w środku pnia izba ogromna, w izbie, na podściółce próchna, przeżył cesarz straszną noc. Nad ranem przybył biskup Eid. wie już o strasznej klęsce, bieży, aby pocieszyć swego pana. Niesie słowa upojenia... Zamarły słowa, zamarły usta na widok oszalałego z boleści człowieka. Nigdy tak zrozpaczonego Henryka nie widział. Strach, grozę budzi męczennik w purpurze; wzrok obłąkany, ręce na piersiach kurczowo zaplecione, na ustach słowa bez związku. Szaleje cesarz.

— Idę! Idę!

— Dokąd, panie nasz?
— Do Bolesława idę...
— Poco? Po śmierć?
— Idę grzebać zmarłych—mówił szalony rozpaczą człowiek.

Chciał iść na pobojowisko, chciał iść we wrogi obóz, z trudem przez otoczenie powstrzymany. (*) Gdy mu wzbroniono, wysłał na pobojowisko Eida. Biskup myszneński idzie do Bolesława...— — —

. . . . . .

Na pole pogromu wszedł człowiek nagi, w biodrach jeno strzępem baraniej skóry opasany. Przeszedł przez olszyny, przez mokrzyska tatarakiem zarosłe, spowite w całun mgły. Koniec mokrzawisk, łąka jakaś kwietna, dziewanny rosną, lnianki się złocą, szalenie na wysokość człowieka się rozrosły, baldachimami białych kwiatów jaśnieją. Przekwita już szaleń, w koszyczkach kwietnych nasienie już widać, dojrzewa płód prześlicznej rośliny: ohydny jad i trucizna.

Idzie nagi biskup przez pole. Potknął się, omal nie runął, patrzy na zawadę...
— Co to?..
— Trup! Trup!

Szum zdala słychać, rzeka Czarna w dzie-

*) Hist. Thieth.

sięć potoków rozstrzelona, u stóp Eida jeden z potoków Czarnej wartko płynie. Źródła jego w wysokim lesie, woda leci z góry, szumi i huczy... Zbliżył się biskup do potoka, na spienioną wodę patrzy...— —

Tam...— — — —

Woda lecąc z góry trafiła na przeszkodę, bije się z nią i walczy, uderzyła w zator, warkoczem spłynęła, piany koło tamy się żółcą...— — —

— Ta grobla— —O!

Z wody dwoje sinych nóg wystaje; sine, snać z wodą spłynęła z tego ciała krew... to trup.— — —

Łzy w oczach biskupa, odwrócił oczy od widoku, który łzy wyciska, idzie dalej. Chce znaleść bród, przejść przez potok. Uszedł dwadzieścia kroków za wodą, nowy widok. Na fali stal srebrem się migoce, ciężka zbroja zatonęła z człowiekiem; wartki strumień, z którym spłynęły ciała zabitych ludzi, nie podołał snać ciężarowi zbroi. Na zwierciedle wód purpura się czerwieni, złoto błyszczy, to szkarłatny płaszcz spłynął i z rwiącą wodą się bije. Spojrzał Eid w twarz zabitego...— — —

— Folkmar! Folkmar!!

Wielki pan, dobrodziej biskupstwa, stawiał kościoły, rycerz niezwyciężony, bił się na wszystkich granicach państwa szczęśliwie, w krwi wrogów cesarza się pławił. Dzieje jego życia ostrzem miecza pisane, pisane ludzką krwią, krwią Francyi, Słowiańszczyzny, Włoch.

. . . . . .

Mgły się zwolna dźwigają, osiadły na olszynach, perłami rosy zwilżyły białe piaski, w które spowite rozłogi rzek. Dźwigło się słonko w górę, mgła blednie, marnieje i niknie. Odsłonił się świat...— —

— Boże Wszechmogący!

Cmentarz! Cała roztoka to cmentarz, te groby to ludzie, mogiły, które nad runią sterczą, to pobite ludzkie ciała...— —

Nie mógł zapanować nad rozpaczą, zachwiał ciałem biskupa spazmatyczny płacz; nogi straciły moc, ukląkł Eid, upadł między trupy, zanosząc się od łkania. Serce rwie się, krew gorąca targa sercem, ból ciałem wstrząsa...— — —

Opanował się wreszcie, zapłakany klęknął i jął się modlić za poległych.

. . . . . .

Mija pobitych, mija ciała śmiercią nieme. Tylu tu ludzi, a taki spokój, taka cisza...

Przeszedł przez łąkę w roztoce; gałęzie wierzby splątał chmiel, liście jego prześliczne i szyszki bielejące obryzgała ludzka krew...

Na mchach leży siny i rdzawy zeschłą krwią rycerz. Poznał go Eid, wpatrzył się w sine lica...— — —

— Widredi!

Otworzył biskup szeroko oczy, wpatrzył się wdal, przeszłość sobie przypomina. Siny Widredi błąka się w przeszłości, wspomnienie jasne kształty przybiera, jęk się wydarł z piersi wtedy, gdy się zrodziło wspomnienie...— —

— Przepowiedział mu! O!

Ten Widredi taki siny jak Wetenik...—

— Katowany człowiek... Widzę go... Ogniem palą wyłamane na torturze ciało... on ci przepowiedział... on konając w okropnej męce mówił, że ty Widredi, to posiew śmierci...— — —

Usta Eida płaczem się zwinęły, płaczem się wykrzywiły...— —

— Konający Wetenik mówił, że zapłaczą całe Niemcy...— — Bóg pomści — mówił mordowany, palony ogniem człowiek... Bóg pomścił...

Cicho.

Za chmielami wśród mięt i łopuchów coś jęczy... Westchnienie jakby płacz taki cichy, jak jęk komara, który wieczorem koło ucha przeleci i zapłacze.

— Pfalcgraf Burghardt!!!

— Litości—zajęczał człowiek.

— Toś ty grafie?! Toś ty nieszczęsny?

— Ulituj się!

— Czego chcesz?

— Śmierci!...

— Może dobry Bóg życie mi twe uratować pozwoli.

— Ja pragnę śmierci!

— Bluźnisz!

— Cierpię okrutnie za cudze winy.

— Jakto?

— Czemu nie umieram na własnej ziemi?! Przeklętym niech będzie ten, kto napada cudzy kraj.

Widzi biskup, że wijącego się z bólu człowieka ratować trzeba, minął go, ku polskiemu obozowi idzie, wyjednać pomoc, wyjednać ratunek.— — —

Na polanie w dąbrowie gromada polskich żołnierzy. Zabierają broń, pobitych polaków chowają w ziemi. Z gąszcz świdna wyszedł biskup Eid...— —

Patrzą się żołnierze...— —

Nagi człowiek wyszedł... wychudły... kości jeno i skóra; każde żebro na piersiach widać, piszczele na łydkach się rysują, oczy wiecznym płaczem krwawe... krwawe jak szkarłat, chore powieki, broda długa strzępami na piersi spada.— —

— Upiór!!! Upiór!!!

Wojsko polskie uciekło przed straszliwem zjawiskiem... (*) uszło w głąb olsz, które rosły nad bagnami. Zatrzymał ich tam setnik, który szedł z obozu.

— Uciekacie?!

— Nie chodź panie, tam duch się zjawił.

— Upiór!!

— Zjawisko trupie...

— Duch pobitego niemca chodzi po świecie, straszy ludzi...

Wychylił się przerażony setnik z gęstwiny.

— Stójcie! To biskup Eid! To gorejący czciciel Chrystusa!

— Nagi?!

— Pokutę czyni, katując swe ciało, oczy jego od modlitwy i łez krwawe.

Wrócili żołnierze, do stóp świętego starca upadli, przed króla Bolesława go chcą zawieść. Nim do Chrobrego poszli, wskazał

*) Hist. Pochód Eida przez pobojowisko według Thiethmara.

im biskup miejsce, gdzie przyjaciel jego Burghardt leży.

— Ratujcie go!

Dziesięciu ludzi na rozkaz biskupa z ratunkiem pobieżało, reszta przyprowadziła Eida przed oblicze króla.

Bolesław ze czcią najwyższą przyjął sławnego z cnót męża. Uczcił świętego złotymi, niezmiernie drogimi podarunkami, wszystkie życzenia jego natychmiast wykonać polecił. Prośbie cesarza uczynił zadość, wydał ciała znakomitych wodzów i duków, pogrzebać rozkazał rycerzy i knechtów pobitych. Gdy przyszli na pobojowisko i Eid znowu wybuchnął płaczem, zjawiły się w oczach Chrobrego łzy...— —

— I ty nawet płaczesz królu?!

— Powiedz ty święty, czym ja winien tej krwi?!

— Nie! Nie!—rzekł człowiek sprawiedliwy. Tyś bronił twej ziemi.

Wnet znaleziono ciała margrafa Gerona, Widredego, Fryderyka i Doda. Złożono zwłoki na marach, aby je zawieźć do Myszen i tam pochować.

Przybiegło na plac boju wojsko, rzucił żołnierz oręż, chłop kosę. Rydle w ich rękach i łopaty, sto dołów ogromnych ko-

pią, tysiące pobitych grzebią. W ciemnym ogromnym grobie jako snopy zboża ich układają, Eid modli się za dusze zmarłych i płacze. Biegnie ze wszech stron rycerstwo, oto z pod lasu gromada ludzi idzie, niosąc ciężar na gałęziach grabiny. Rycerz to wielki, wojak zawołany. Żołnierz polski na dębowych liściach złożył jego głowę, skronie Stoigniewa bukietami lazurowych bławatków i maków czerwonych ustrojono, stokroć biała, dzwonek liliowy stroi jego czoło, na karmazynowym żupanie ukochanego wodza błyszczą chłopskie łzy. Z kwietnych mar leci zapach macierzanki, macierzanki tej, co stroi miedze polskiej roli...—

* * *

Potargał serce ból, nie przeżyło klęski ojczyzny poczciwe i zacne Eida serce. Przeprowadził biskup do Myszen zwłoki wodzów i z żalu umarł...

* * *

Goniec za gońcem ze wschodu leci, o wyruszeniu Jarosława na Polskę wieści przynosi. Wysłał Chrobry królewicza Mieszka, aby ścigał cesarkich niedobitków, aby z band zbójeckich połabską oczyścił ziemię. Wpadł

Mieszko nad Łabę, w zwycięskim pochodzie aż pod Myszny się posuwa, kiedy ojciec jego w pospiesznych pochodach idzie na Ruś...— — —

* * *

Tu już dawno wojna na granicach Polski się toczy; Jarosław silnie wierzy, że król polski z dwóch stron napadnięty, ulegnie i startym zostanie. Kuning łowił spokojnie ryby na wędkę, gdy się dowiedział nowin, które marzenia jego w ruinę zamieniły, gdy usłyszał, że Bolesław powaliwszy cesarstwo na niego idzie. Zwołał Jarosław nowogrodzian, kijowian i waregów, nad Bug na spotkanie Bolesława idzie. Nadeszły wojska polskie, król mosty na Bugu stawiać każe. Mozolnie i powoli idzie robota, wezbrane wody niszczą pracę cieśli, pale, przęsła i deski hucząca fala zabiera. Otucha w ruskich i waregskich pułkach, ufa w siły olbrzymiego wojska Jarosław. Wszyscy pewni zwycięstwa. Nawet stary, ostrożny Błudyj wierzy w nie, pewnym jest wygranej, dworuje sobie z wroga, z polskiego wojska się naśmiewa.

Lipcowym rankiem wyszedł na brzeg rzeki Jarosław z Błudyjem, na obóz polski patrzą,

słuchają huku ciesielskich siekier, które na drugim brzegu mosty budują...

— Patrz! znowu im woda ligary zabrała.

— Padły deszcze, Bug rośnie, śmiercią i zatratą grozi.

— Marnieje ich dzieło.

— Co to? Czy widzisz?

— Strojnego rycerstwa orszak z obozu polskiego wychodzi.

— Do brzegu się zbliża.

— Na białym koniu olbrzym jakiś...

— „Wielki i ciężki, że koń się pod nim ugina." (*)

— To Bolesław.

Rychotem śmiechu zagrał Błudyj na widok wroga, przypadł nad wodę, ręce do ust nakształt wylotu trąby stulił i woła z urąganiem:

— Chodźże tu, chodź Bolesławie!! „Już my ci tu twój tłusty brzuch przeporzem." (**)

Dosłyszał snać Bolesław obelżywych słów, kazał w kotły uderzyć i rzekł do wojewodów:

— Czy słyszeliście?

— Bezczelny łotr!!

---

*) Nestor. **) Tamże.

— „Jeśli wy — zawołał Bolesław, — nie pomścicie tej zniewagi, to ja sam zginę." (*)

I poszedł Bolesław na wezbrane wody, krzyk straszliwy podniósł obóz, widzi żołnierz Bolesława na spienionej fali, wojewodowie za panem w wodę wskoczyli, wszystko „co żyje, idzie w bród, kilka tysięcy koni się przeprawia, kilka tysięcy w nurty rzeki leci."

Ucieszył się zrazu Błudyj.

— Potoną!

— Poszli na śmierć!!

— Woda ich uniesie.

— Wytopi...

— Bolesław już na środku rzeki!—woła Jarosław.

— Walczy z odmętem topieli.

— Ginie!!

— Życiem szalony czyn przypłaci.

— Co to?!

Patrzy Jarosław, oczy z orbit wychodzą, dech wstrzymał, walkę Bolesława z żywiołem okropnym śledzi, ciało jego gra ruchami w miarę strachu i nadziei; spojrzał raz jeszcze, zbladł...

— Gruntu dostał!!...

— Ratunku!!

— Do broni!!

*) Historyczne słowa zapisane u Nestora.

Wrzawa straszliwa w ruskich szeregach. „Jarosław nie zdołał uszykować się," gdy w obóz wpadło bolesławowskie rycerstwo. Krótko trwał opór, długo trwał pościg. „Poległo niezmierne mnóstwo uciekających a bardzo mało zwycięzców; jak wiatr tumany kurzu, tak Bolesław pędził rozgromione wojsko przed swojem obliczem." (1) Jarosław samoczwart uszedł do Nowogrodu.

. . . . . .

Szczera, ze serca pochodząca musiała być radość ruskiego ludu, który, jak kronikarz niemiecki twierdzi „witał z wielkiem poszanowaniem Bolesława i mnogimi czcił dary." Król polski szedł tam „nie jako nieprzyjaciel, aby zdobywać i zbierać pieniądze;" (2) on był witany przez „wszystkich mieszkańców," nad którymi ciężyła krwawa normańskich kuningów ręka.

We Włodzimierzu, Wyszogrodzie i Kijowie, lała się długie lata krew; zabójstw tych dokonał nie słowianin, nie rusin, „nie miały one nic wspólnego z ziemią słowiańską, dokonywa ich kuning waregski z pomocą waregów," (3) dziki norman, „istny Kahan wschodni." (4)

---

1) Gall. 2) Słowa Galla. 3) Bartoszewicz. 4) Słowa Sołowiewa historyka rosyjskiego.

W trzech tygodniach zapanował Bolesław nad słowiańską Rusią. Kijów, niezmierne miasto, „najkosztowniejszy klejnot Wschodu, równający się samemuż berłu carogrodzkiemu," to ostatni cel jego zwycięskiego pochodu. Zobaczył przed sobą wspaniały gród, czterysta wież cerkiewnych widać, widać zielony gaj, w którym stoją stare bożyszcza. „Perun drewniany, głowa jego srebrna, a wąs złoty, i Chorsa i Dażbóg, Strybóg Smarogl i Mokosz. Składano im żertwy, mianując ich bogami, przywożono syny swoje i córki swoje na żertwy biesom. (*) W środku miasta złoci się i błyszczy pałac kuninga Włodzimierza, tam był jego książęcy tron, tam skarby niezmierne, tam izby, w których mieszkała jego ślubna żona Rogneda i jego osiemset nieślubnych żon. (**)

Wyszedł arcybiskup kijowski, niosąc relikwie; u wejścia do monastyru świętej Zofii złotem i purpurą błyszczące duchowieństwo zbrojną drużynę wita. Jadąc przez Złote wrota, ciął Bolesław Chrobry mieczem

*) Nestor. **) Według Nestora 300 mieszkało w Wyszegrodzie, 300 w Białogrodzie a 200 na Brestowie.

w bramę, na znak, że Ruś do wielkiej rzeszy słowiańskiej przyłączona.

. . . . . .

Nie podbił Rusi, nie zagarnął jej, nie wydarł dziedzictwa ludowi, nie narzucił jarzma, nie zabrał swobody, nie narzucał swojej wiary. Pierwszym jego czynem w Kijowie jest wysłanie poselstwa do krwawego cesarza Bułgarobójcy. Grecki władca Bazyli piętnastu tysiącom bułgarów, słowian, kazał oczy wyłupić, a każdej setce zakrwawionych ślepców zostawił przewódcę, któremu wydarł tylko jedno oko, aby skaleczonych ludzi był w stanie do domu odprowadzić. Ostrzega go Bolesław i grozi „wojną od potężnego wroga, który nigdy nie był zwyciężony."

Pierwszym jego czynem w Kijowie jest bicie pieniędzy z ruskim krzyżem i z ruskim napisem na znak, że to nie zawojowana, nie podbita, ale złączona ze Słowiańszczyzną ruska ziemia, której ruski język, on, wielki budowniczy Słowiańszczyzny jako rządzący i panujący tu uznaje...— — (*)

. . . . . .

*) Pieniądz ten zachował się do naszych czasów. Aż do Bolesława bito na Rusi monetę wyłącznie z napisem greckim.

Zasiadł Bolesław na kijowskim tronie, ujął w rękę miecz. Ten żelazny szczerbiec olbrzyma słowiańskiego stworzył i zlutował państwo od Dunaju po Gdańsk, od Łaby za Dniepr, od Bałtyku po Czarne morze. Ten żelazny ogromny szczerbiec, to błyszczący proporzec, pod którego znakiem Polska, Ruś, morawianie, pomorzanie, słowacy, słowińcy, serbi, lutycy i połabianie złączyli się w niezmierne rodzinne koło...— —

* * *

Gwiazda zaranna ją z pałacu poznańskiego wywołuje, chłód wieczoru zmusza, aby do dziewczęcej wróciła izdebki. Piękne oczęta na zachodnie lasy patrzą, ucho nadsłuchuje, czy szczęsna wieść z pola bitwy nie nadleci, serca jej nie rozraduje, duszyczki jej nie pocieszy. Na wojnę poszedł, sercem wybrany, serduszko królewny tam za Śląsk, za Łużyce leci, leci nad Łabę, gdzie krew ludzka się leje...— —

Z pod Lubusza przyleciał goniec. Na pokoje królowej Emmildy spieszy, oblężenie i wzięcie Lubusza opisuje.

— Niezdobyte grodno wzięte! Twierdza przeciw Polsce zbudowana w perzynę i popioły zamieniona!!

Mówi goniec o chwale i radości Bolesława...

Aż drży z radości serce królewnie, że Bóg ukochanemu rodzicowi szczęści, że błogosławi słusznej i uczciwej sprawie. Cieszy się ze zwycięstw Polski, cieszy się, że ta Polska dziś po Łabę szeroka, bratnie przygarnęła ludy.

A przecie Dobrota jeszcze jedną wieść słyszećby chciała, chciałaby spojrzeć w oczy gońca, zapytać się... Nie może... Bo wstyd,— wstyd tamuje słowa, które na różowych wargach wiszą, o których myśl rumieniec na lica wywołuje...— —

— Pierwszym był na murach król Bolesław Chrobry, za nim wdarł się Stoigniew, który spustoszenia wśród rot oblężonych czynił...

— Mów jeszcze, mów...

— Choć Stoigniew był chory...

— Chory?!

— Tak było w istocie. Podczas bitwy wyszedł na drabiny, z przednim jakimś rycerzem bił się na murach, gdy miecze prysły, chwycił go w pół i na dół zleciał, wszystkie kości niemcowi ciężarem ogromnego ciała druzgocąc.

— Mów...— —

— Wetenik Lestek przez pana naszego rycerzem państwa polskiego pasowany!

Przyłożyła ręce do piersi, przycisnęła Dobrota serduszko... do oczów pchają się łzy, tłumią się w oczach łzy... jeno wybuchnąć płaczem radości... szczęścia niezmiernego...— — —

Uciekła. Do izdebki dziewczęcej bieży, wrzeciądze zasunęła, przed Chrystusem upadła, płacząc i płacząc... modląc się, za błogosławieństwo dziękując...— —

Znowu gwiazda ranna ją wabi...

. . . . . .

Przyszedł goniec jeden, drugi i trzeci...—

— Zwycięstwo! Zwycięstwo!!

Za gońcem wojska lecą, wojska radośnie wołają:

— Zwycięstwo!!

Przeszły wojska, przez Poznań do Kijowa przeszły...— —

. . . . . .

Ostatnia rota Poznań już opuściła, na zachodzie scichł las, który szumem zbrojnego ludu huczał.

Od kilku dni blada jak giezło królewna. Oczy jej jako jesień piękne i jako jesień smutne...

— Wszyscy z wojny wrócili?

— Nie. Bolesław mnogie roty nad Odrą zostawił, zdobywają Białogóry. Dziś się dowiedziałem, że wpadłszy między Łabę i Mildę tysiąc jeńca zabrali. Królewicz Mieszko...— —

— Brat mój...

— Niemczy broni. Niemcza, gród potężny, ale potężnym jest i cesarz, który oblega. Ogromne maszyny oblężnicze zbudowano. Mieszko maszyny w oczach cesarza spalił...

. . . . . .

Wrócił z niemieckich wojen królewicz Mieszko. Dobrota rzuciła się w ramiona brata, serdecznie go witając, że zdrów, że cały, serdecznie Bogu dziękując.. A przecie choć z radością brata wita, to w oczach jej gorączka, pytanie, usta drżą, oczy niespokojnie brata pytać się kwapią...— —

— Zwycięstwo mówisz...

— Zbici niemcy, pokój w Budziszynie zawarty.

— Dużo naszych zginęło?

— Niespełna tysiąc. Wieczne światło niech im da Bóg.

— Zdrowiż wodzowie?

Posmutniał Mieszko.

— Poległ Wdały Walgierz, poległ Stoigniew...

— Rycerze?...

— O kogo mię siostro pytasz?

— Lestek...

— Zabity!

. . . . . .

Nie wierzyła bratu, nie wierzyła ludziom. Opowiadano, jakie męki przecierpiał w Dziewinie,—nie wierzyła. Nocami płacze, w nocy rozpacz, w nocy nieszczęście i zwątpienie, a przecie ze wschodem słonka wschodzi i nadzieja. Z gwiazdą ranną wybiega Dobrota przed pałac, na zachód patrzy... Z zachodu nikt nie wraca, nikt... a jednak królewna czeka, cały dzień przebywa w kwietnym ogrodzie, aby wieczór płakać. Wysłała ludzi. Poszło kilku zbrojonych, poszli do Dziewina, poszli do rodzinnej Lestka wsi.

Przecie cała wieś go znała, cała wieś mówi...

— Matko Chrystusa!!!

Wskazali mogiłę...— —zarosła już... powój rośnie na grobie... rozmaryn się zieleni; przynieśli królewnie gałązkę rozmarynu, który rosnął na Lestka mogile...— —

. . . . . .

Zatrzasły się żelazne wrota, córuchna Bolesława Chrobrego do klasztoru wstąpiła. (*)

. . . . . .

Gdy ojciec powrócił z Kijowa, gdy pobiegł za dzieckiem w zimne klasztorne mury, wstrzymała go żelazna krata, którą od świata odcięty klasztorny grób. W tym grobie żyją nieszczęśliwe istoty, ale żyją tylko dla Boga. Dla ludzi umarli. Stanął Bolesław Chrobry przed żelazną bramą, zajaśniało coś w ciemni klasztoru, bielutka rączyna wysunęła się z za kraty i ojcu krzyżem świętym błogosławi...— — —

. . . . . .

Potrzeba ci Bolesławie błogosławieństwa Boga i ludzi. Oto wielki dzień się zbliża, dzień, w którym Polska stanie w wielkich europejskich mocarstw rzędzie, w którym prawnuk kołodzieja Piasta złotym dyademem skroń swą uwieńczy.

Z Poznania przeniósł Bolesław Chrobry stolicę do Krakowa, aby być w środku państwa, aby mu równie blizko było do Dunaju, do Dniepru i nad Łabę. Oto wszystkie krakowskie dzwony biją, z całego kraju rycerstwo się gromadzi, lud ze wsi i przysiołków się schodzi. Stoki Wawelu

*) Hist. Umarła ksienią w klasztorze.

bielą się od chłopskich siermięg, Śląsk przybył do Krakowa, lud z Mazowsza, z ruskich granic i z gór karpackich lud, który z orłami żyje u śnieżnych Tatr.

Zwiedzieli się, że dziś „najlepszego ojca chłopów" koronują, nawet komornik, nawet nędzarz, nawet biedna wdowa i wszelka chudzina przybyła do Krakowa...— — —

Wszyscy polscy biskupi w katedrze krakowskiej zgromadzeni modlą się do Ducha Świętego:

Zstąp z niebios Stwórco Duchu Święty!

Wiosna się budzi, ciepły wiatr zawiał, wszystko do życia wstaje, wszystkie jestestwa ziemi słoneczko ciepłe do bytu, do szczęścia, do radości woła.

Wschodzisz ty pamiętna wiosno, jasnością niezmierną błyszczy ten polski maj, to bolesławowskie dziejów naszych zaranie. W pierwszych dniach wiosny roku 1025 arcybiskup Hipolit Ursinus, rzymianin, namaścił Bolesława, skroń jego polską koroną uwieńczył...

Huraganem radości przeleciała wieść przez rzesze ludu, nad pomazańcem pańskim i jego ludem, nad Krakowem i Wawelem, nad Polską i złączoną pod znamieniem Szczer-

bca Słowiańszczyzną świeciło wiosenne słońce...— — —

Zakwita czarowna wiosna...

* * *

. . . . . .

. . . . . .

Nie umarł. On zasnął. Złożył senną głowę i czeka zmartwychwstania. On, pionier Chrystusa o gorejącem sercu, opiekun kultury chrześciańskiej, Bolesław za życia obcował ze świętymi. Do takich jak on rzekł Jezus: uwierzyłeś we mnie, żyć będziesz na wieki. On, wykonawca woli Jezusowej, on „Atleta Chrystusów," (*) on rycerz wielki i człowiek o sercu gołębiem, on opiekun biednej wdowy i każdej chudziny,—nie umarł. Nie wierzysz filozofie?! Porzuć mędrca szkiełko i oko i idź między polski lud. Przyłóż twe ucho do prostaczej piersi, słuchaj tętna postaczych serc, idź w Tatry, słuchaj chłopstwa, dowiesz się że on nie umarł!

Zasnął.

*) Z napisu na grobowcu Bolesława w katedrze poznańskiej. Starożytny ten zabytek zaginął w XVII wieku. Treść słów wykutych „in lapide marmoreo" zapisał Stanisław Strecza, benedyktyn, w r. 1490.

Wszedł w granity, wprowadził w Tatry rycerstwo swoje, swe wielkopolskie mieszczańskie pułki, orężnych kmieci swoich, wstąpił w bezmierne podziemia i tam w Tatrach śpią polscy rycerze. Wstanie kiedyś, aby zbudować słowiańskie cesarstwo swoje.

. . . . . .

Budzi się...— — —

Budzi się, gdy lud płacze. Wstaje z martwych, gdy biednych niedola gniecie. Widział go na oczy lud, cuda o ukochanym wodzu, o najlepszym ojcu opowiada...——

. . . . . .

Ostatni raz widzieli go ludzie, gdy straszne nieszczęście spadło na nowotarską dolinę. Wody ziemie zalały, Pieniny to niezmiernego jeziora brzeg; z żyznych pól i łąk stało się morze. Uciekł na góry zgłodniały lud, nedzę cierpi kmieć, płacze uboga wdowa i żali się chudzina...— — —

Wstał z martwych...— —

Z przepaści tatrzańskich wyszedł olbrzym straszliwy. Gdy stanął na reglach i wsparł się o Giewont, nie wytrzymał wirch mocy olbrzyma, pękło skalisko, Giewont się wyszczerbił. Wstaje król. Głowa chmur dotyka, w chmurach błyszczy się złota jego korona. Cud się dzieje niesłychany. Oto

mąż na Tatry wychodzi: jedną stopą na Garłuchu stanął, drugą nogą stąpił na Babią górę. W lazury niebieskie podniósł straszliwy szczerbaty miecz i rąbnął z całych sił w Pieniny. Prysło skalisko na pół, rozpadł się szczyt Trzech koron, w szczerbę leci woda, która Dunajcem wśród Pienin spłynęła. Leci do Wisły, Wisłą w dalekie morze, żyzną góralstwu zostawiając ziemię. (*)

. . . . . .

Zbudzi się, gdy przyjdzie wielki dzień, gdy przyjdzie czas, aby myśl jego ciałem się stała. Tysiąc lat temu zrodziła się genialna myśl w wielkiem sercu Bolesławowem, dziś nie jedno, dziś sto milionów serc dla tej idei bije. Od Łaby po Kaukaz, od Wisły po Bałkan, od Północnego oceanu po Greckie morze. Dziś wschodzi Bolesławowska myśl w sercach stu milonów, a narody Europy na widok zjawiającego się

*) Podanie o fantastycznym polskim królu opowiada lud w Łopusznej, w Maniowach, Sromowcach i Czorsztynie. Słyszałem je w Maniowcach z ust młynarza Czerniaka. Szujski pisze w „Dziejach:" „Bolesław, najpopularniejsza narodowa postać, jedynie prawie zachowała się w wyobraźni ludu. Górale tatrzańscy, lud, który przypomina nam Bolesławowych rycerzy, wierzą w jego zmartwychwstanie. W skałach tatrzańskich siedzi podług nich skamieniały Bolesław ze swym hufcem."

słowiańskiego wszecholbrzyma drżą i bledną z trwogi. Ha! Ha! Nieczyste sumienia... Nie bójcie się! Wschodzący już słowiański olbrzym ma w piersiach kulturę Chrystusową, on ma serce czyste i gołębie, takie, jakie miał Bolesław Chrobry. Olbrzym ten nie wie, co to zemsta, nie wie nawet, co to kara, on wie tylko, co sprawiedliwość. Olbrzym słowiański, co z Tatr zmartwychwstanie, będzie opiekunem wdowy i każdej chudziny... — —

. . . . . .

. . . . . .

Tysiąc lat temu! Morze łez, morze krwi się wylało. Rozkazał Bolesław, nie posłuchano rozkazu jego. Nie słuchały narody woli jego, oto wenedzi wymarli, oto pohaniec nad Dunajem lud gnębi, oto wymordowano wielkie słowiańskie narody tam, gdzie dziś Hamburg, Brandenburg i Berlin. Powiedz nam Łabo, ile z twemi wodami spłynęło naszej krwi! Nie posłuchano rozkazu Bolesława i oto lud słowińców nad Bałtykiem kona, oto soraby łużyckie żelaznym pierścieniem wrogów opasani, oto dziedzice Gerona idą w Polskę...

Słuchajcie wenedzi, słuchajcie słowianie! Oto od tysiąca lat leci głos z Tatr, oto pol-

ski król na was z kościołów granitowych nawołuje, oto jego rozkaz i polityczne wskazanie, które padło z jego ust tysiąc lat temu:

„Zaprzestańcie waśni i połączcie się!!!

. . . . . .

Pokolenie idzie w Tatry za pokoleniem. Zasnęli w granitowych kościołach ci, co pod Lignicą za wiarę, za kulturę Zachodu życie dali, ci co byli pod Grunwaldem i ci, co za Chrystusa pod Chocimem i Wiedniem polegli... Zasnął król chłopów, który Polskę gotyckimi kościołami zabudował, i jasna królowa, która za sprzedane klejnoty ufundowała krakowską akademię. Za Chrobrym poszli jagiellońscy jego dziedzice, poszli pieśniarze i mistrze słowa i ten, co dla ludzkości wydarł tajemnice nieba, wielcy królowie i większy od królów hetman, co w białym chodził żupanie. Gdy nie stało tych co nieśli miecz, poszli w Tatry ci, których gęśl sercem ludu władała...

— Śpią w Tatrach...

Widział ich na własne oczy górski lud.

„Zdawna u nas béła ta gwara między ludziami o zaśnionem wojsku. Ba, przecie bél taki kowal w Kościeliskach, co im chodził konie kuć. Przyseł raz wojak do niego, jużci pada: „my haw nie prec w Or-

naku stoimy, pudziesz nam konie kuć."— Narobił moc podków i poseł z onym wojakiem, a hań w Ornaku, po pod skałe, kryjome miejsce, wleźli do tej piwnice, godna tego beła przestronność, toz to moc wojska na koniak stoi, sytko zaśnione w siodłach, głowy poschylane na piersi, pojeden siedzi przy koniu na ziemi, powódki dzierży w ręcak i śpi.

„Kowal od strachu nic nie pedział, ino chodzi wartko od konia do konia, podkuł sytkie, pieniędzy mu dali, co mu się patrzyło, toz to poseł—i zawarło się za nim... A Franek Kostka ze Siziny, znałek go, dobry gazda, kowala we wsi ku niemu nie było, to mi tyz gadół, jako raz poseł, cy z chałupy do pola wyźreć, cy kany, a tu widzi na trzynestu białyk koniak jakisi wojaków. Jużci pyta: „a to panowie z precka?"—Ni, pojadejom, my tutejsi, my jest wojsko polskie, nie prec z tela w Babigorze stoime, kie pora przyjdzie królowi swemu na pomoc pudziemy." (*)

. . . . . .

W grudniową noc śnieżyca szaleje, tuman śniegu z lodowego szczytu odrywa, na Gar-

*) Opowiadanie Sabały, zapisał Bronisław Dembowski.

łuch je przenosi, białym całunem hale i regle zasypuje. W stary rok herold na Garłuchu się zjawił, na północ patrzy, w stronę Krakowa ucho wytęża. Słyszy. Oto na maryackim kościele zegar dwunastą bije, wleciał herold w ziemię, zadął w róg, w stu granitowych kościołach echo się rozległo, zatrzęsły się Tatry od chrzęstu broni, oto wojsko z martwych powstaje. Wstają co rok husarze i królowie wstają, chłopstwo kosy chwyta, wstają barwni ułani. Garłuch, Łomnica i Lodowy krociami duchów zaludnione...— — —

Patrzą na szeroki kraj... Cisza, cisza wielka... a potem płacz...

Wstąpił Jagiellon na granity i woła:

— Wszak mi margrafie przysiągłeś wierność na rynku krakowskim!!! Coś uczynił wiarołomny sługo mój?!!

— Ciepłem mojej piersi odżyłaś żmijo!!— żalił się wódz o odwadze lwa, o duszy gołębia...—Czemu cię konającą do życia wróciłem, czemum cię gadzie ogrzał ciepłem pod Kalenbergiem przelanej krwi?! Czemu?!!

Patrzą poznańskie pułki w dziedzictwo, tam na Odrę...

— Boże!!!

— Płacz ludzki słyszę...

— Tam nad Wartą dzieci nasze biją...—
Bóg nas zaprawdę opuścił.
Płacz... Płacz...

. . . . . .

Osuszył łzy serdeczne ojciec chłopa, opiekun wdowy, każdej chudziny. Ujął Bolesław Chrobry za rękę lirnika, co miał harfę złotą i serce złote. Wprowadził wieszcza z Czarnolasu między hetmany i króle i rzekł:

— Śpiewajże bracie pieśń twoją,

Zadźwięczały złote harfie struny, od tej czarownej harmonii ścichła śnieżyca Tatr, zamarły wichry, cała ziemia słów serdecznego gęślarza słucha. Leci ta pieśń, na Kraków, leci Wisłą aż do morza, oto lasy polskie jej pieśnią grają, w huku spadających w przepaść tatrzańskich wód gra ta pieśń, pieśnią tą huczy pod Gdańskiem polskie morze:

Kto się w opiekę poddał Panu swemu
A całem sercem szczerze ufa jemu
Śmiele rzec może: mam obrońcę Boga...

. . . . . .

Rycerze śpią w Tatrach.

KONIEC.

NOWE KSIĄŻKI

Ludwika Stasiaka

Obrona sztandaru mieszczańska powieść historyczna

Pieniądz powieść z życia artysty

Gadzina powieść pruska

Krwawe ręce powieść z dziejów rzezi galicyjskiej

Rycerze śpiący w Tatrach powieść historyczna

Pomsta powieść z dziejów dawnego mieszczaństwa polskiego

W zapadłym szybie powieść z życia górników

Humoreski

Nowe Humoreski

Trzecie Humoreski

Czwarte Humoreski

We wszystkich księgarniach.

ST. FRANCIS COLLEGE
CATHOL. SPRINGS, N. Y.